

Film 20th Century Fox z Davidem Duchovnym i Gillian Anderson

# Z A R C H I W U M



## CHCĘ WIERZYĆ



Max Allan Collins

Film 20th Century Fox z Davidem Duchovnym i Gillian Anderson

# Z ARCHIWUM X

## CHCĘ WIERZYĆ



**Z ARCHIWUM X**

**CHCĘ WIERZYĆ**

**Max Allan Collins**

Na podstawie scenariusza Franka Spolniza i Chrisa Cartera **1**

**Gdzieś w Wirginii**

**6 stycznia**

Było tak pochmurno, że Monica Bannan ledwie zauważyła zapadający zmrok. W

ostatnich promieniach zimnego światła dnia można było dostrzec ponure zimowe kolory.

Wreszcie zgasły, ustępując nadchodzącej ciemności. Czarne kontury bezlistnych drzew i pojedynczych zabudowań gospodarczych majaczyły na tle granatowego nieba. Monica odnajdowała w nich przede wszystkim spokój. Nie dostrzegała w tym widoku niczego odpychającego ani złowrogiego. Dopiero gdy w jej samochodzie automatycznie włączyły się światła mijania, zobaczyła, że jest już ciemno.

Miała na sobie bluzę z kapturem, bezrękawnik i spodnie od dresu.

Przy włączonym ogrzewaniu było jej trochę za ciepło. Kręcone blond włosy zaczesła do tyłu. Po drodze z pracy wstąpiła na basen. Wciąż jeszcze wilgotne loki zamarłyby na mroźnym wietrze, ale od podjazdu do ciepłego domu dzieliło ją tylko kilka kroków. Mogła zaryzykować.

Wydatny nos sprawiał, że bez makijażu wyglądała niemal pospolicie, choć była atrakcyjna. Kiedyś występowała nawet na pokazach mody. Teraz, kiedy zbliżała się do trzydziestki, należała do rzeszy aktywnych zawodowo kobiet, pracujących w administracji rządowej w pobliskim Waszyngtonie.

Miała za sobą zwykły długi i nieszczęśliwie zapadający w pamięć dzień. Nie mogła się doczekać wieczoru. Spędzi go przed telewizorem. Za plecami ogień będzie trząskał w kominku, a Ranger - jej ukochany pies podobny do wilczura - usiądzie na dywanie i położy łeb na jej kolanach. W oddali pojawiło się osiedle niedużych domków. Ciemne pudełkowate kształty majaczyły w mroku. Śnieg przestał padać po południu, ale miejscami droga wciąż była śliska.

Monica ostrożnie skręciła w ulicę wiodącą do osiedla.

Chwilę później bez przeszkód wjeżdżała pod wiatę przy swoim parterowym domku z drewnianą elewacją. Światła były w większości wygaszone. Gdyby spojrzała w lusterko wsteczne, zobaczyłaby wysoką postać, oświetloną czerwonymi światłami stopu jej auta.

Ale Monica nie patrzyła w lusterko.

Wyłączyła silnik. Przekręcając kluczyk, lekko uderzyła o deskę rozdzielczą bransoletką z danymi medycznymi. Już miała pójść do domu - rzeczy w bagażniku mogły poczekać - gdy usłyszała ujadanie zamkniętego w domu Rangera.

Co prawda powinna trzymać psa na dworze. Czy nie po to postawiła budę za domem? Ale przy tym cholernym arktycznym mrozie nie mogła zrobić czegoś takiego jednemu samcowi w jej życiu.

Ranger czekał zajadle. W którymś momencie zrozumiała, że nie jest to czułe powitanie, ale zacięte, przeplatane warczeniem ujadanie, które zwykle rezerwował dla kotów i wiewiórek.

Monica otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

- Ranger! Bądź grzeczny! Uspokój się! To tylko ja...

Nie zdążyła zrobić kroku ku drzwiom, kiedy ujrzała coś, co zaprzeczyło jej słowom. Ślady butów na śniegu.

Zamarła. Dobrze, że nie zamarła. Włosy zaczęły jej sztywnieć mimo kaptura. Stała nieruchomo pod wiatą, usiłując opanować strach.

Skoro Ranger ujada, to ślady są świeże...

Zrobiła krok w tył. Wciąż słyszała stłumione szczekanie pupila. Zerknęła na ścianę z narzędziami ogrodniczymi czekającymi na cieplejsze dni. Któreś z nich na pewno może posłużyć za broń. Ściskając coś w ręku, będzie się pewniej czuła, pokonując krótki dystans dzielący ją od domu. Teraz

budynek wydał się nieskończenie odległy. W środku miała pistolet.

Nagle pojawiła się przed nią postać w grubym ocieplanym kombinezonie. Rękawy kurtki były napęczniałe, jakby wypychały je wyhodowane na sterydach mięśnie. W mroku ledwie widziała nieznajomego. Twarz przesłaniał mu obłoczek pary, w którą zamieniał się jego oddech.

Jakimś cudem dojrzała surowe rysy i jasne oczy, zimniejsze od smagającego ich wiatru.

Zobaczył ją.

Ruszył do przodu.

Wyciągnął rękę...

Chwyciła motykę. Wzięła szeroki zamach i - jakby torując sobie drogę w gęstwinie dżungli - zadała cios.

Odruchowo uniósł rękę. Mimo rękawiczek ostre zęby motyki zahaczyły o nadgarstek i wbiły się głęboko w ciało, po drodze znacząc nierównymi szramami policzek intruza.

Ujadanie Rangera jakby się wzmogło. Monica chciała rzucić się w stronę domu, lecz niemal natychmiast szanse na ucieczkę przysły. Drogę zaszedł jej kolejny napastnik, który wyłonił

się z ciemności.

Drugi mężczyzna w identycznym zimowym kombinezonie miał długie przetłuszczone włosy i kanciastą zawziętą twarz. W mroźnym powietrzu jego oddech zamieniał się w kłęby pary.

Rasputin, pomyślała, patrząc na niego.

Motyka miała długi trzonek, była za duża i zbyt nieporęczna, żeby z nią uciekać. Dlaczego nie chwyciła czegoś mniejszego! Jedyne, co mogła zrobić, to rzucić narzędziem w pierwszego intruza. Drugi był już przy niej. Niemal ją chwycił, ale rzuciła się już do ucieczki. Biegła co sił w nogach w kierunku rozciągającego się na tyłach lasu.

Gdy dostanie się między drzewa, będzie mogła zatoczyć koło i pójść do sąsiadów po pomoc. Najpierw jednak musi uciec prześladowcom, zdobyć choć trochę przewagi.

Była w dobrej formie - szczupła i wysportowana, poradzi sobie. Da radę.

Tyle że intruzi okazali się równie dobrzy. Słyszała za sobą skrzypiący śnieg i chrzęst lodu pod butami. I ciężkie, acz niespecjalnie wysilone oddechy. Tymczasem ona coraz łapczywiej wciągała w płuca każdy haust powietrza. Z ust buchały jej kłęby zimnej pary. Wydawało się, że jej oddech nasączony jest strachem.

W jej głowie rozbrzmiewały strofy wiersza Frosta: *Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei... I wiele mil od snu mnie dzieli...*<sup>1</sup> Była na granicy hysterii.

W końcu ją dopadli.

Słyszała szczekanie Rangera w oddali. Zwierzę nie mogło jej pomóc. Została sam na sam z napastnikami, którzy zasłonili sobą resztę światła.

Obezwładnili ją - dwie pary rąk przeciwko jednej. Monica Bannan nie miała pojęcia, że bransoletka medyczna, którą nosiła na nadgarstku, ma dla nich szczególne znaczenie.

A mężczyźni nie zdawali sobie sprawy, że popełnili błąd, wybierając tę kobietę na ofiarę, bez względu na to, jakie kierowały nimi pobudki.

Nie wiedzieli, że wybrali agentkę FBI.

1 Robert Lee Frost *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp.

tłum.).

## **Gdzieś w Wirginii**

### **9 stycznia**

Ekipa FBI wysiadła z czarnych terenówek zaparkowanych na poboczu i ruszyła na poszukiwania. Ludzie z psami grzęzli w głębokim białym puchu. Światło słoneczne odbijające się od ciągnącego się w nieskończoność białego pola zmusiło większość ludzi do włożenia okularów przeciwsłonecznych. Szeroki rząd poszukiwaczy posuwał się po wyznaczonym terenie, kierując się do lasu na horyzoncie. Wszyscy, nie wyłączając zastępcy naczelnika biura terenowego FBI, Dakoty Whitney, mieli na sobie czarne kurtki z charakterystycznymi żółtymi emblematami.

Z jednym wyjątkiem.

Jeden z ludzi nosił szarą kurtkę i spodnie w tym samym kolorze.

Ubrany zbyt lekko jak na tak mroźny dzień, wysoki mężczyzna kroczył na czele drużyny.

Na jego bladej, pociągłej twarzy o sympatycznych rysach malowała się troska. Miał szopę czarnych włosów przetykanych siwizną i posiwiałą kozią bródkę. Za samotnym cywilem podążała rządowa ekipa poszukiwawcza z psami.

- Zróbcie mu miejsce - nakazała Whitney, choć wciąż się zastanawiała nad sensownością tego desperackiego kroku. Ale zaginęła koleżanka po fachu, Monica Bannan. Musieli ją odnaleźć, a próbowali już wszystkiego innego. Każdej z zalecanych procedur oraz kilku innych, nieopisanych w podręcznikach.

Jednak żadna z nich nie odbiegała od normalnych metod pracy FBI tak bardzo jak to, czego teraz próbowali.

Zastępca naczelnika biura terenowego - wysoka, szczupła, acz budząca respekt ciemnooka piękność z długimi ciemnymi włosami upchniętymi pod kapturem służbowej kurtki - Dakota Whitney, nie zrobiłaby kariery, gdyby zawsze postępowała zgodnie z procedurami.

W wieku trzydziestu sześciu lat miała reputację mądrej, twardej i gotowej do podejmowania ryzyka; nawet do naginania zasad, jeśli wymagała tego sytuacja. Whitney zrobiłaby wszystko, by odnaleźć swoją współpracowniczkę i przyjaciółkę...

Teraz całą nadzieję pokładała w tym brodzącym w śniegu rozchwianym żywym strachu na wróble.

Cywilny zwiadowca kręcił się niepewnie, z determinacją w oczach, prawie jak odurzony.

Wreszcie przystanął i przywołał federalnych poszukiwaczy.

- To gdzie tutaj...

I znów ruszył przed siebie.

A jego śladem FBI.

Zawodzenie wiatru przeszło w skowyt. Wysokie tony sprawiały wrażenie, że niebiosa wyśmiewają się z ich wysiłków. Whitney te szyderstwa wydawały się zasłużone. Nie śmiała się jednak ani się nie uśmiechała. Obserwowała każdy krok mężczyzny - to pewny, to chwiejny.

Dziwak sprawiał wrażenie, że wie, dokąd zmierza. Miała tylko nadzieję, że dotrze tam, nim klapnie na tyłek w śnieg.

Zawrócił nagle, jakby pociągnięty sznurkami natarczywego lalkarza. Wydawało się, że zaraz się przewróci i zrobi orzełka w śniegu. Zamiast tego puścił się biegiem. W zaspach zwalniał, ale się nie zatrzymywał.

Whitney i reszta ekipy wytrwale sunęli za nim, choć tyle samo oczu patrzyło na zastępcę naczelnika, co na człowieka, za którym podążali.

- Niech idzie! - zawołała. - Tylko trzymajcie się za nim!

Potrząsający wiechciem włosów mężczyzna w szarej kurtce nadal przedzierał się przez zaspę. Ciężko oddychał, stawiając kroki z trudem, ale z determinacją. Człowiek z misją.

Opętaniec.

Naraz przewodnik opadł na ziemię. Wyglądało, jakby się przewrócił.

- Tutaj! Tutaj! - wykrzykiwał tonem poszukiwacza, który właśnie natrafił na żyłę złota.

- Szybciej! - popędzała Whitney - Ruchy!

- Tutaj! Tutaj!

Po chwili agenci FBI z Whitney na czele otoczyli rozczochanego mężczyznę, który wyglądał niczym pogrążony w modlitwie, klęcząc w głębokim śniegu.

Nie modlił się jednak. W każdym razie nie w tej chwili. Kopał w śniegu. Odrzucał go coraz szybciej i coraz bardziej gorączkowo.

Whitney się pochyliła, lekko zde gustowana, że daje się nabierać na te bzdury, ale też z nadzieją, że ich mało wiarygodny przewodnik jednak gdzieś ich doprowadził.

A raczej do czegoś.

Spod białego puchu wyłoniło się coś szarego. Może brudny śnieg?

Nie. Szary przedmiot był kiedyś różowy i miał zupełnie inną strukturę niż otaczająca go biel.

- Czeka j! - krzyknęła Whitney - Ja to wyjmę.

Kopała wcale nie bardziej profesjonalnie niż rozczochaniec. On sam też nie przestawał.

Oboje widzieli to samo - paskudnie odbarwione ludzkie ciało. Mdlące uczucie w żołądku Whitney szybko ustąpiło miejsca uldze. Zaraz po tym przysła dezorientacja.

Trzeba przyznać, że przewodnik rzeczywiście doprowadził ich do czegoś; do odrąbanej ręki.

Whitney ulżyło, że to ramię mężczyzny, a nie kobiety. Nie mogło należeć do agentki specjalnej Moniki Bannan.

Do zniknięcia Moniki doszła jednak kolejna zagadka.

Czyja to ręka?

I dlaczego ma ranę szarpaną na nadgarstku?

2

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

**Richmond, Wirginia**

**9 stycznia**

Lekarze zasiadający przy stole konferencyjnym całą uwagę skupili na innej przedstawicielce swej profesji - pewnej siebie Murzynce w bieli.

Ta wyróżniająca się wyglądem, władcza postać nie zajmowała jednak miejsca u szczytu stołu,

widzieli ją na zawieszonym na ścianie monitorze LCD. To była wideokonferencja transmitowana przez łącze satelitarne.

- Przejrzałam dokumentację, którą mi państwo przysłali - oznajmiła lekarka. -

Skonsultowałam się też z innym neurologiem dziecięcym, który ze mną współpracuje. Muszę powiedzieć, że zaalarmowały nas dwie rzeczy.

- Obniżony metabolizm lipidów i zmniejszenie wydzielania enzymów - dopowiedziała doktor Dana Scully.

Wszystkie oczy skierowały się na ogniście rudą kobietę. Długie niczym z obrazu Tycjana loki, opadające na okryte białym kitlem ramiona, nadawały Danie Scully urokliwy wygląd dziewczęcia z rysunków [Gibsona2](#). Ale tu i teraz, w pierwszej dekadzie XXI wieku, ta drobna kształtna kobieta koło czterdziestki była szanowanym lekarzem. Jej błękitnozielone oczy śledziły twarz na monitorze z pozornie chłodnym dystansem.

- Słusznie - potwierdziła lekarka na ekranie. - Właśnie to zwróciło naszą uwagę.

- Oba te symptomy wskazują na defekt lizosomów magazynujących.

- W rzeczy samej. - Lekarka wydawała się nieco zaskoczona. Odebrało jej to nieco animuszu. - Jest pani lekarzem pierwszego kontaktu tego chłopca, doktor...

- Scully. Dana Scully.

- Doktor Scully, no tak. Sprawdziła pani funkcjonowanie lizosomów?

- Powinna pani mieć wszystkie wyniki moich badań. Myślę, że niczego nie przeoczyłam.

Lekarka na ekranie zaczęła przekopywać się przez stos papierów.

Czyżby przejrzała je niezbyt dokładnie? - zastanawiała się Scully.

- Boję się - ciągnęła spokojnie Scully, nie okazując irytacji konsultantce - że mamy do czynienia z gangliozydozą GM2... prawdopodobnie z chorobą Sandhoffa.

Choć Scully nie musiała się posiłkować dokumentacją, wszystkie informacje miała w zasięgu ręki - w notatniku, w którym po wewnętrznej stronie okładki przykleiła taśmą zdjęcie pacjenta, Christiana Fearona. Tym sposobem, gdy zerknęła na suche medyczne fakty, spoglądała też na roześmianą twarz sześciolatka. Zdjęcie miało nawet dedykację: *Dla kochanej Pani Doktor Scully od Christiana*.

- Obawiam się - ciągnęła Scully - że enzymy mojego pacjenta nie usuwają lipidów z mózgu, powodując jego atrofię i...

- Jeśli podejrzewa pani chorobę Sandhoffa - wtrąciła postać na ekranie - na pani miejscu sprawdziłabym poziom heksozoaminidazy w organizmie chłopca.



- Tak właśnie zrobiłam. To, czego teraz szukam, pani doktor, to skuteczna terapia.

- Choroba Sandhoffa jest nieuleczalna.

Odpowiedź lekarki była tyleż zdawkowa, co chłodna. Nie tego Scully oczekiwała od konsultantki cieszącej się taką renomą. Przez moment zza fasady profesjonalizmu wyjrzała zatroskana kobieta.

2 Chodzi o Charlesa Danę Gibsona, rysownika z przełomu XIX i XX wieku, który zasłynął z satyrycznego przedstawiania personifikacji kobiecego ideału urody (przyp. tłum.).

Postać na ekranie nie okazała ani krzty współczucia.

- Gdyby istniała taka terapia, doktor Scully, jestem przekonana, że poinformowałaby mnie pani o tym fakcie - dodała złośliwie.

Było to wyjątkowo niestosowne, jednak Scully nie odpowiedziała. Nie dbała o takie drobiazgi. Nie miała zamiaru przypominać elektronicznemu gościowi, że tego rodzaju konsultacje powinny się odbywać z zachowaniem minimum grzeczności. Że jakiegokolwiek starcie było nie na miejscu. Czuli się, jakby otrzymała potężny cios, jakby uszło z niej całe powietrze i cała nadzieja.

Oczy wszystkich współpracowników skierowały się na nią. Dla nich Scully była obdarzoną umysłem naukowca chłodną i obiektywną profesjonalistką. Zaskoczyło ich, iż potrafi okazywać ludzkie uczucia. Że pod powierzchnią jej zwykłego opanowania kryją się emocje.

Żadne z nich nie okazało zdumienia w sposób bardziej widoczny niż ojciec Ybarra -

ksiądz zajmujący stanowisko głównego administratora szacownej placówki medycznej.

Dana Scully wydusiła z siebie podziękowania dla lekarki na ekranie. Zebrała swoje rzeczy i wstała od stołu.

- Dana - zawołał za nią ojciec Ybarra. Nie podniósł się jeszcze z miejsca.

Zatrzymała się przy drzwiach.

Ksiądz wstał. Był wysokim, kościstym mężczyzną dobrze po czterdziestce, o pociągłej, naznaczonej smutkiem twarzy i przyjaznym spojrzeniu.

- Wiem, że musisz być rozczarowana - powiedział. - Będę się modlić za twój mały pacjenta.

- Ja również, ojciec. Ale nie jestem jeszcze gotowa powierzyć jego losu Bogu.

Wyszła z sali konferencyjnej, starając się iść pewnym krokiem.

Czuli na sobie spojrzenie Ybarry. Podążał za nią wzrokiem, ale nie poszedł jej śladem.

Była mu za to szczerze wdzięczna.

W drodze do biura, na korytarzu starego szpitala minęła kilka zakonnicek. Szła powoli, zmagając się z tym, co usłyszała od konsultantki. Spuściła głowę. Była tak rozczarowana, że nie zwracała uwagi na otoczenie. Niemal wpadła na rodzinę, której tak bardzo pragnęła pomóc.

Margaret i Blair Fearon, sól tej ziemi, małżeństwo prostych robotników przed trzydziestką, doprawdy zasłużyło sobie na lepszy los. Pchali szpitalnym korytarzem wózek inwalidzki, w którym siedział Christian. Obdarzony kasztanowymi włosami i tyczkową posturą Blair górował nad swoją żoną. Margaret była śliczną blondyneczką. Na ich twarzach malowała się nadzieja. Scully natychmiast ukryła rozpacz pod pozorami pewności siebie.

Wymizerowany chłopczyk w szpitalnym szlafrocisku w słonie i klauny obdarzył ją uśmiechem równie promiennym i krzywym - postępująca degeneracja mózgu sprawiała, że miał

problemy z komunikowaniem się ze światem.

Pochyliła się nad nim, na uśmiech odpowiadając uśmiechem.

- Cześć, Christianie. Jak się masz? - zapytała.

- W porządku, doktor Scully - odpowiedział, z trudem wymawiając każde słowo. - A pani?

- Doskonale.

- Ślicznie pani wygląda.

- Dziękuję, Christianie. Miło to słyszeć od takiego przystojnego młodego człowieka. -

Podniosła wzrok i napotkała błagalne spojrzenia rodziców chłopca. Wyzierająca z ich twarzy nadzieja była niemal równie ciężka do zniesienia, co słowa gruboskórnej konsultantki.

Ci ludzie postarzeliby się o jakieś dziesięć lat w ciągu tych kilku miesięcy. Wyglądali niczym wynędzniali uchodźcy. Nic dziwnego. Stali się ofiarami jednej z najbardziej osobistych wojen.

Blair Fearon zaryzykował nieśmiały uśmiech.

- Pani doktor, zasięgnęła pani opinii z zewnątrz?

- Tak - odparła, ściskając notatnik otrzymany w prezencie od Christiana niczym ostatnią deskę ratunku, chroniącą ją przed utonięciem w oceanie rozpaczki. - Właśnie wracam z konsultacji.

- Ma pani dla nas dobre wieści?

- Zrobiliśmy krok do przodu - oznajmiła wymijająco, przekrzywiając głowę. - Zaczniemy od kolejnych badań.

Blask w oczach rodziców nieco przygasł. Spoglądający w górę ze swego wózka Christian nie tracił pogody ducha. A chłopiec otrzymał już końską dawkę szpitalnych mąk.

- Pani doktor - odezwała się z kolei Margaret. - Christian przeszedł już dziesiątki badań.

Czy nie czas zacząć go leczyć? Zacząć prawdziwą terapię?

- Już wkrótce - uspokajała ją Scully. Nikły uśmiech miał im dać iskierkę nadziei. Byle nie za wielką.  
- Kolejna seria testów powinna nam wskazać kierunek.

- Dana Scully...

Głos za jej plecami nie zadał pytania. Był to raczej rozkaz. Powinna natychmiast się odwrócić, żeby sprawdzić, czego chce obdarzony donośnym głosem mężczyzna.

Kiedy, wbrew samej sobie, usłuchała, od razu zorientowała się, kogo ma przed sobą.

Nigdy wcześniej nie widziała tego przywykłego do rozkazywania, ponurego Murzyna. Miał

jakieś trzydzieści pięć lat. Ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu opakował w nieskazitelny granatowy garnitur, błękitną koszulę i idealnie zawiązany krawat w czarno-błękitne pasy. Ale właśnie ten garnitur - w połączeniu z tonem głosu - powiedział jej, że ma do czynienia z agentem FBI.

- Doktor Scully - odezwał się ponownie mężczyzna - szukam Foksa Muldera.

Uśmiechnęła się do rodziców Christiana, przeprosiła ich i odeszła na bok. Wysoki i szeroki w barach mężczyzna podążył za nią.

- Agent specjalny Mosley Drummy - oznajmił. - Pracuję dla...

- Domyślam się, dla kogo pan pracuje - odparła, ruszając korytarzem i zmuszając go, by dotrzymywał jej kroku. - Dla ludzi, którzy od dawna szukają Foksa Muldera.

Dla jej gościa najwidoczniej liczyły się tylko interesy.

- Stare grzechy można wybaczyć - stwierdził obcesowo. - Zarzuty wycofać.

- W jakich okolicznościach? - chciała wiedzieć.

Drummy wykrzywił usta, ale zupełnie nie przypominało to uśmiechu.

- FBI chce rozmawiać z Foksem Mulderem. To pilne. Mają nadzieję, że może im pani pomóc.

Zatrzymała się gwałtownie. Agent też. Stanęli twarzą w twarz.

- Chyba pan nie rozumie - rzuciła. - Nie pracuję już z Foksem Mulderem, Ani z FBI.

Patologia kryminalistyczna to już przeszłość. Teraz mam do czynienia z żywymi pacjentami.

- Tym lepiej - oznajmił Drummy. - Jeśli jakimś sposobem potrafi się pani skontaktować z Mulderem, to może ocali pani komuś życie.

Nie odpowiedziała, ale nie potrafiła ukryć zainteresowania.

- Życie agentki FBI, pani doktor - dodał.

Wpatrywała się w jego grubo ciosane rysy. Z oczu Drummy'ego nie dało się niczego wyczytać. Niespecjalnie ją to zdziwiło. To część wizerunku agenta FBI, tak jak odznaka i broń.

Ale w jego słowach pobrzmiwała troska. Stawką było życie agentki... a agent specjalny Mosley Drummy był jej partnerem. Scully mogła się o to założyć.

Tylko czy mogła mieć pewność, że FBI sobie z nią nie pogrywa? Że dawne grzechy rzeczywiście zostaną wybaczone, a stare zarzuty - wycofane?

Że była agentka Dana Scully nie stanie się Judaszem byłego agenta Foksa Muldera?

## **Gdzieś w Wirginii**

### **9 stycznia**

Zanim jeszcze zapadł zmierzch, Dana Scully siedziała w białym taurusie. Jechała dwupasmówką, biegnącą przez zaśnieżony krajobraz rodem z kiczowatej pocztówki. Było już ciemno, gdy zjechała na nieoznakowaną drogę, przegrodzoną oblaźłą z farby metalową bramą.

Zostawiła samochód na jałowym biegu, wysiadła, podeszła do bramy i ją otworzyła.

Mimowolnie rozejrzała się, czy nikt jej nie śledzi. Wróciła do samochodu, przejechała przez bramę, by ponownie wysiąść i zamknąć ją za sobą. Przez cały czas wodziła wokół niespokojnym spojrzaniem - stary nawyk, choć powoli zanikał.

Teraz odezwał się ze zdwojoną siłą.

Z powrotem w taurusie, podjechała wyboistą, zasypaną śniegiem, zwirową drogą do zapuszczonego parterowego domku bez podpiwniczenia. Brzydka drewniana konstrukcja wyglądałaby na niezamieszkaną, gdyby nie palące się wewnątrz nieliczne światła.

Scully zaparkowała samochód. Otworzyła frontowe drzwi i weszła do domu, odkładając bagaże na stół. W środku farma nie sprawiała równie odpychającego wrażenia, co z zewnątrz.

Była całkiem przytulna i jak najbardziej wyglądała na zamieszkaną. Meble albo kupiono z drugiej ręki, albo stały tu już tak długo, że na takie wyglądały. Scully zdjęła długi brązowy płaszcz z kaszmiru. Pod spodem miała granatową jedwabną bluzkę i szyte na miarę niebieskie spodnie. Ubrana była cokolwiek zbyt sztywnie jak na skromne warunki, w jakich przyszło jej mieszkać. A jednak, jakkolwiek by patrzeć, był to jej dom. Odwiesiła płaszcz do szafy i przeszła przez mały pokój dzienny do holu, kończącego się kolejnymi drzwiami.

Znajdujący się za nimi pokój pełnił niegdyś funkcję sypialni. Po przemeblowaniu to niewielkie pomieszczenie przypominało zagracone biuro w trzewiach kwatery głównej FBI, gdzie wraz z

Foksem Mulderem pracowała niegdyś nad sprawami z Archiwum X -

nierozwiązanymi zagadkami kryminalnymi i niewyjaśnionymi zdarzeniami oznaczonymi literą „X” i rzuconymi na kupę biurowych śmieci, do czasu aż zainteresował się nimi Mulder, młody „pistolet” z sekcji do spraw przestępstw z użyciem przemocy. Ściany pokoju oklejono fotografiami i wycinkami obrazującymi rozmaite dziwaczne zjawiska - od UFO, poprzez Wielką Stopę i potwory z jezior, aż po małe zielone ludziki. Te odpadki amerykańskiego snu, powycinane z gazet i magazynów czy wydrukowane z Internetu - opowieści o teoriach spiskowych i kosmitach oraz domniemanych zjawiskach nadprzyrodzonych - pokrywały nawet wewnętrzną stronę drzwi. Istne biuro - a może raczej matecznik czy legowisko - prawdziwego obsesjonata.

Siedział tyłem do niej, ale ledwo weszła, odezwał się, nie odwracając się od biurka.

- Co jest, doktoru? - naśladował królika Bugsa.

- Stałeś się ufny, Mulder - oznajmiła zgryźliwie. - Jesteś poszukiwany przez FBI. A gdyby to był ktoś inny?

Fox Mulder - zbieg w szarym swetrze i džinsach - nadal nie raczył się odwrócić.

Wiedziała, czym się zajmuje. Wycinał kolejny artykuł z gazety. Mulder prenumerował trzydzieści gazet i magazynów. W tym tylko celu utrzymywał skrytkę pocztową w Richmond.

- Mam oczy z tyłu głowy, Scully - odparł, nie przerywając pracy.

Z założonymi rękami oparła się o framugę. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jak Mulder.

- *Auf einer Wellenlänge*, na długości fali, jak mówią Niemcy - oznajmił rzeczowym, a zarazem melodyjnym głosem. - Stan prekognicji, Scully, często mylony ze zwykłą ludzką intuicją. Z pewnością słyszałaś o kobiecej intuicji? Mózg postrzega wówczas głęboką logikę chwili bez udziału racjonalnej części umysłu.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w jego plecy. Odkąd to „oczy z tyłu głowy” stały się naukowo dowiedzioną zdolnością paranormalną? Mój Boże, nie mógł dać sobie na wstrzymanie.

Tyle lat minęło, a on dalej swoje.

- Chwila jasności umysłu - ciągnął, wciąż szcękając nożyczkami - materializuje się jako świadomość czasoprzestrzeni niezależna od rzeczywistości postrzeganej zdroworozsądkowo.

Tak jakby Mulder wiedział cokolwiek o zdrowym rozsądku. Z rezygnacją pokręciła głową, wiedząc, że jej towarzysz i tak tego nie widzi.

On tymczasem starannie odłożył nowy wycinek na biurko. Wydawało się zagracone, ale to tylko pozory. W jego szaleństwie naprawdę była metoda. No, może oprócz tej sterty łusek po pestkach ze słonecznika, wysypującej się z talerzyka, jakby nie mogły się już doczekać, kiedy znajdą się w koszu

na śmieci.

Mulder obrócił się na krześle do Scully. Mimo pokrywającego całą twarz zarostu, mimo czterdziestu kilku lat na karku wciąż miał młodzieńcze oblicze i migdałowe oczy o szczenięcym spojrzeniu. I choć tkwił w tym biurze od - ilu to już lat? - wciąż widziała w nim tę dziecięcą zdolność do zachwyty cudami świata.

Przynajmniej w te lepsze dni.

Mulder uniósł znacząco palec, jakby robiąc jej wykład.

- Takie chwile jasności umysłu mogą się materializować całkiem jak ty przed chwilą.

Chociaż gdybyś się rzeczywiście zmaterializowała, to do tej pory zdążyłabyś się raptownie zdematerializować.

Uniosła znacząco ramiona i brwi, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Wciąż tu jestem”.

Naraz zgasły iskiereki w jego oczach. Przymknął powieki.

- Ale kto by tam jeszcze wierzył w ten cały szajs? - rzucił ponuro.

Jakby chcąc zademonstrować, o co mu chodzi, Mulder podniósł się i podszedł do ściany, żeby przyspilić do niej wycinek - na tyle blisko, że Scully mogła odczytać nagłówek; „Princeton zamyka laboratorium [ESP 3](#) po 40 latach badań nad zjawiskami paranormalnymi”. Ściślej rzecz ujmując, wycinek nie znalazł się na ścianie - Mulder przyczepił go na plakacie, przedstawiającym latający talerz, zawieszony nad drzewami na tle błękitnego nieba. Ten sam plakat stanowił istotny element wystroju ich piwnicznego biura w budynku FBI. Hasło, które na nim widniało, nieodmiennie kojarzyło się Scully z jej partnerem: „Chcę uwierzyć”.

Ale teraz zadrukowana płachta z oślimi uszami przypominała bardziej muzealny eksponat niż bojową odezwę.

- Ty wciąż wierzysz - zaproponowała Scully.

- Czyżby?

- Nawet jeśli nie... to najwyraźniej wierzy ktoś z FBI, Zza krzaczastej brody wyjrzał

nieśmiały uśmiech, ale szybko zamarł mu na twarzy, kiedy Mulder zobaczył, z jaką powagą Scully wypowiedziała te słowa.

- Odwiedził mnie dziś w szpitalu nieoczekiwany gość - oznajmiła.

- Nie spodoba mi się to, co powiesz - stwierdził, mrużąc oczy.

3 Ang. *Extra Sensory Perception*, czyli postrzeganie pozazmysłowe (przyp. tłum.).

- FBI potrzebuje twojej pomocy, Mulder, Zaginęła jedna z ich agentek.

Teraz on z kolei otworzył szeroko oczy.

- Proszę powiedz, że powiedziałaś im, żeby się walili. Wiesz równie dobrze, jak ja, że dla nich dobry Mulder to martwy Mulder.

Wrócił na krzesło. Przysunęła sobie drugie. Pochyliła się nad partnerem, lekko dotykając jego ramienia.

- Twierdzą, że wszystko ci wybaczą - rzuciła. - Wycofają wszelkie oskarżenia, jeśli tylko dołączysz do nich i pomożesz im rozwiązać tę jedną sprawę.

W jego oczach rozgorzał ogień.

- Że niby FBI mi wybaczy? A może porozmawiamy o tym, czy ja wybaczę FBI wytoczenie mi procesu na podstawie sfabrykowanych oskarżeń i próby zdyskredytowania mojego dziesięcioletniego dorobku? Naszego dziesięcioletniego dorobku.

- Mulder...

- To oni powinni prosić mnie o wybaczenie!

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Myślę, że właśnie proszą, Mulder. I to rozpaczliwie.

Wzruszył ramionami.

- Niby jak mogę pomóc tym ludziom?

- To sprawa z Archiwum X, Mulder.

- Nie ma Archiwum X.

- Ale są sprawy z Archiwum X. Tyle że nie ma agentów, którzy mogliby się nimi zajmować.

Zamilkł na chwilę.

- Czy Skinner też jest w to zaangażowany? - spytał wreszcie.

Walter Skinner, zastępca dyrektora FBI, był ich wieloletnim przyjacielem i sprzymierzeńcem, nawet w najmroczniejszych czasach.

- Nie - odparła. - Za sprawę odpowiada Dakota Whitney.

- Nie znam jej.

Teraz Scully wzruszyła ramionami.

- Ja też nie. Nie znam również agenta, który się do mnie zwrócił. Niejaki Mosley Drummy.

- A to wielce pocieszające - westchnął z niesmakiem. Wydawało się, że nie jest już tak zniechęcony.

- Niby dlaczego ja, Scully?

- Zgłosił się ktoś z obiecującymi dowodami w sprawie tej zaginionej agentki. Telepata, tak przynajmniej twierdzi.

Mulder pokręcił głową.

- To tylko sztuczka, Scully. Chcą wywabić mnie z ukrycia.

Teraz ona zaprzeczyła ruchem głowy.

- Gdyby FBI naprawdę chciało cię dorwać, Mulder, to nie wątpię, że by im się udało.

Myślę, że są zadowoleni, że mają cię z głowy.

- No i dobrze. Ja też jestem szczęśliwy, że mam ich z głowy podsumował. - Mówią ci coś słowa: „kara śmierci”? - dodał, unosząc brwi.

Na chwilę przyhamowała, ale potem podjęła wątek.

- Ile już tu mieszkamy? - zagadnęła. - W tym domu?

- Nie wiem dokładnie. Pięć lat?

- Czy sądzisz, że Skinner powiedziałby mi, że mogę wrócić do zawodu, gdybyśmy nie byli bezpieczni? Czy nie powtarzaliśmy sobie zawsze, że nie posunęliby się do zabicia ciebie?

Już samo aresztowanie wzbudziłoby zainteresowanie mediów i okryło biuro niesławą. Że nie wspomnę o rządzie.

- Wróćmy na chwilę do tego kawałka z „posuwaniem się do zabicia mnie” - rzucił, unosząc znacząco palec.

Rozłożyła ręce, wskazując na pokrywające ściany wycinki.

- Nie chciałbyś znów wyjść na światło dzienne, Mulder? Czy nie byłoby miło, gdybyśmy mogli wyjść oboje? Razem?

Odsunął się od niej na krześle.

- Stawką jest życie agentki - przypomniała.

Wzruszył ramionami i unióśł ręce, jakby chciał powiedzieć, że to nie jego problem.



- Mulder... wiem, że nie muszę ci tego mówić, ale... to mogłoby spotkać ciebie... albo mnie. Ktoś z nas mógł tak zginąć.

Podrapał się po brodzie. Jego wzrok błędził po blacie biurka, szukając diabli wiedzą czego.

- Prawda jest taka - podjęła Scully innym tonem - że martwię się o ciebie. O ciebie i o skutki długotrwałej izolacji.

- Nic mi nie jest. Czuję się tu jak ryba w wodzie.

- Doprawdy? - Mówiąc to, uniosła wzrok ku sufitowi. Zwisały z niego dziesiątki ołówków, ciśniętych w górę i wbitych grafitami w przypląwie frustracji przez zasiadającego za biurkiem brodacza.

Podniosła się z miejsca.

- Cóż, przynajmniej próbowałam. Przekażę im twoją odpowiedź.

Nie zatrzymała się w drzwiach. Po prostu przeszła do pokoju dziennego. Nie obejrzała się na mężczyznę, z którym dzieliła ten dom i całe swoje życie. Nie widziała, jak siedzi zamyślony za biurkiem. Nie dostrzegła, jak obraca się, by popatrzeć na plakat ze znajomym hasłem: „Chcę uwierzyć”.

Usłyszała jednak, jak wyszeptał:

- Pojadę.

Odwróciła się, by zobaczyć, że stanął w drzwiach. Minę miał śmiertelnie poważną, a coś w jego spojrzeniu powiedziało jej, że wygrała. Nie była pewna, czy to dobrze.

- Pod jednym warunkiem - dodał.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, jaki to warunek.

- Dobra - zgodziła się, - Pojadę z tobą.

**3**

**Waszyngton**

**9 stycznia**

Obserwowany z helikoptera cokolwiek abstrakcyjny krajobraz stolicy kraju nocą przejmował Foksa Muldera dreszczem. Tak jak każdego Amerykanina. Patriotyzm zmuszał go do podziwiania znajomych kształtów podświetlonych monumentów, wznoszących się majestatycznie z nakrapianej światełkami ciemności. Dusza romantyka dawała mu nadzieję, że wielki amerykański sen wciąż jeszcze może się ziścić - mimo wszystkich koszmarów, jakich był

świadkiem.

Ale tych koszmarów nie da się tak łatwo wyrzucić z pamięci. Siedząc obok Scully w śmigłowcu FBI i marząc mimo brązowego płaszcza, jaki narzucił na sweter i dżinsy, Mulder patrzył na swoją byłą partnerkę z Archiwum X - a zarazem partnerkę na całe życie. Myślał, jak drobna i krucha się wydaje. Mimo to wiedział, że ta niepozornej postury kobieta w istocie potrafi być silna. Co prawda namówiła go do udziału w całej tej hecy, ale to on nalegał, by z nim pojechała. Jego upór sprawił, że siedziała obok niego. Wyraz jej twarzy mówił, że podzielała jego niepokój związany z powrotem na stare śmieci.

Śmigłowiec zniżył lot nad Pennsylvania Avenue, schodząc ku znajomemu trójkątnemu kształtowi kwatery głównej FBI im. J. Edgara Hoovera, złożonej z kanciastych brył

naszpikowanych oknami na podobieństwo plastrów miodu. Mulder uśmiechnął się do Scully.

- Jeśli to pułapka, daję dyla - odezwał się, usiłując przekrzyczeć łoskot śmigieł. - Oślaniaj mnie.

W odpowiedzi Scully spojrzała na niego, wydymając usta ani do pocałunku, ani w uśmiechu. Dobrze znał tę minę.

Wysiedli z helikoptera. Na dachu budynku czekał już na nich wysoki Murzyn w granatowym garniturze. Wiatr wywołany pracą śmigieł, trzepotał połami jego ubrania. Krawat powiewał niczym flaga na maszcie. Mężczyzna wydawał się śmiertelnie znudzony. Był to ten sam człowiek, który skontaktował się ze Scully w szpitalu, agent specjalny Drummy.

Mulder podszedł do agenta, ale ten nawet nie raczył się przywitać.

- Dzięki za podwiezienie. W taką noc ciężko złapać stopa - powiedział Fox.

- Mnie nie dziękujcie - ofuknął go Drummy, patrząc na nich wzrokiem równie chłodnym jak aura. - To nie ja wysłałem helikopter.

Mulder zerknął na Scully, a ta zmarszczyła brwi. Dość zimne powitanie jak na faceta, który ich tu ściągnął. O co chodzi? Agent specjalny Drummy szedł już ku drzwiom do budynku.

Dwoje byłych agentów FBI posłusznie podążyło jego śladem, choćby po to, by skryć się przed panującym na zewnątrz chłodem.

Nie mieli wielkich nadziei, że wewnątrz czeka ich cieplejsze przyjęcie.

W nocy nawet tak gwarne miejsce jak siedziba FBI było raczej opustoszałe. Drummy szybkim krokiem przemierzał szare korytarze. Mulder i Scully, ramię w ramię, podążali tuż za nim. Oboje byli ubrani po cywilnemu. Scully miała na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny, narzucony na błękitną bluzkę i ciemnoniebieskie spodnie. Kilku mijanych agentów obdarzyło ich podejrzliwymi spojrzeniami.

- Patrzą na nas jak na podejrzanych - Scully wydawała się urażona.

- A kim niby jesteśmy? - odpowiedział z uśmiechem.

Wreszcie Drummy zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. W ciepłym wnętrzu budynku jego oczy miały w sobie taki sam chłód, jak w podmuchach lodowatego wiatru na dachu.

- Zaczekajcie tu - polecił.

Otworzył drzwi, zza których dobiegały odgłosy krzątania. A potem zamknął je gwałtownie. Może i nie trzasnął nimi, ale z pewnością dobitnie postawił kropkę na końcu swojej wypowiedzi, Mulder i Scully zostali sami.

- Chyba cię lubi - drażnił się Mulder.

- Nie wiem, o co mu chodzi.

- Może jest nieśmiały.

Scully zerknęła na zdobiące jedną ze ścian oprawione w ramy zdjęcie J. Edgara Hoovera, Mulder przyglądał się portretowi George'a W. Busha. Kiedy ostatnio odwiedził ten budynek, obecny prezydent dopiero co objął urząd. Teraz Fox wrócił, a George odchodził ze stanowiska.

Ani Mulder, ani Scully nie czuli się już związani z tym miejscem - a jednak wciąż w jakiś sposób tu przynależeli. Niczym duchy nawiedzające swoje dawne siedlisko.

Zza drzwi wyjrzało obojętne, a zarazem dziwnie posępne oblicze Drummy'ego.

Mulder z trudem powstrzymał się, by nie rzucić: „Przysłał mi [Joe4](#)”.

- Wejdźcie - zaprosił ich agent.

Mulder i Scully wkroczyli do pokoju konferencyjnego; jednego z setek podobnych, jakie odwiedzali w przeszłości. Nie zawsze jednak panował w nich taki gorączkowy ruch. Widać było, że to prowizoryczne stanowisko dowodzenia. Panujący wewnątrz kontrolowany chaos był im aż nazbyt dobrze znany. Kilkunastu agentów FBI zajmowało miejsca za stołem konferencyjnym.

Wisiele na telefonach, siedzieli zgrabieni nad laptopami, robili notatki, podczas gdy inni stali przy zawieszonych na ścianie korkowych tablicach, do których przypięto zdjęcia i mapy.

Funkcjonariusze niewiele spali od wielu dni. Wegetowali na kawie i żarciu na wynos.

Wyraźnie wskazywał na to mocny zarost mężczyzn i niedbały makijaż kobiet oraz podkrążone oczy wszystkich obecnych.

Przybycie dwojga byłych agentów, których sprowadzono do pomocy, nie spotkało się z 4 Hasło pozwalające wejść do nielegalnej spelunki w czasach amerykańskiej prohibicji (przyp. tłum.).

entuzjazmem. Żadnego uśmiechu na dzień dobry. Równie dobrze mogli faktycznie być zjawami

nawiedzającymi dawne miejsce pracy.

Dwie szczupłe kobiety dyskutowały o czymś zawzięcie po drugiej stronie pokoju. Jedna z nich - atrakcyjna mimo pewnej twardości rysów - miała na sobie białą bluzkę i czarny kostium.

Druga, piękna smukła brunetka, nosiła się prosto i stylowo, na czarno. Włosy upięła w koński ogon. Mulder i Scully zatrzymali się w pobliżu wejścia. Konwersacja trwała w najlepsze. Sądząc po spojrzeniach rzucanych im przez tę bardziej surową z wyglądu kobietę, Mulder uznał, że nie przepada ona za nim ani za Scully.

Naraz rozmowa się skończyła. Brunetka z końskim ogonem podeszła do nich, z uśmiechem wyciągając rękę do Scully. Kiedy uściśniły sobie dłonie, powiedziała:

- Dziękuję, że umożliwiłaś nam spotkanie. Jestem zastępcą naczelnika biura terenowego.

Dakota Whitney.

- Dana Scully. - Wyglądało na to, że kobieta ją zna, ale Scully przedstawiła się mimo wszystko.

Whitney, bezpośrednia i uprzejma, zwróciła się z kolei do Muldera, wyciągając rękę na powitanie.

- Fox Mulder, jak mniemam?

Ujął jej dłoń z pewną dozą podejrzliwości. Druga kobieta wciąż przypatrywała się im z niechęcią z drugiego końca pokoju. Mulder nie zdziwiłby się, gdyby zaraz założono mu kajdanki.

- Zastępcą naczelnika? - zdziwił się. - Kierujesz śledztwem?

- Owszem - odparła z lekkim skinieniem głowy. Miała wąską owalną twarz, wprost prześliczne rysy i oczy o kolorze przezroczystego błękitu. - Wiem, że to niezręczna sytuacja, agencie Mulder...

- Nie jestem już agentem. Po prostu Mulder. I Scully.

Znów energiczne skinienie głową.

- Tak czy inaczej, witamy z powrotem w biurze. Razem z moim zespołem doceniamy zaufanie, jakim nas obdarzyliście. - Sięgnęła po leżącą na pobliskim stole teczkę. Mulder, choć nadal miał się na baczności, zdążył ją już polubić, miała rozbijający sposób bycia i od razu przystępowała do rzeczy.

- Skoro mowa o zaufaniu - podjął. - Co stanie się, jeśli nie będę potrafił wam pomóc?

Albo wasza agentka znajdzie się martwa? W mojej sytuacji trudno zagwarantować, że osiągnę jakieś wyniki, agentko Whitney.

Pokręciła głową.

- Co było, to było. Znamy twoją pracę nad sprawami z Archiwum X, Uważamy, że możesz być jedyną

szansą Moniki Bannan.

- Szansą na co?

- Na przeżycie, Mulder. Na przeżycie. - Mówiąc to, podała mu akta.

Otworzył teczkę. Jego oczom ukazało się portretowe zdjęcie kobiety koło trzydziestki.

Nos cokolwiek wydatny, rysy ostre, ale zarazem pociągające.

- Kiedy zaginęła? - zapytała Scully.

- W niedzielę wieczorem - odparła Whitney. - Prawie trzy dni temu.

Scully z Mulderem wymienili ponure spojrzenia, po czym Mulder jeszcze raz zerknął na zdjęcie zaginionej.

- Agentko Whitney - odezwała się Scully - wiem, że zdajecie sobie z tego sprawę... ale szanse na to, że znajdziecie ją żywą po siedemdziesięciu dwóch godzinach, są znikome.

Whitney skinęła głową. Gwałtownie, z niechęcią.

- Rzeczywiście, mamy nikłe podstawy, by przypuszczać, że żyje.

Ale jak dotąd nie mamy też dowodów na to, że jest inaczej. A fakty, które poznaliśmy, dają nam pewną nadzieję.

Zastępca naczelnika wzięła ze stołu kolejne akta. Tym razem podała teczkę Scully, która otworzyła ją i wyjęła kilka zdjęć z laboratorium, przedstawiających uciętą lub amputowaną ludzką rękę z raną szarpaną przy nadgarstku. - Znaleźliśmy to wkrótce po zaginięciu agentki Bannan - oznajmiła Whitney, wskazując fotografię.

Mulder oderwał wzrok od zdjęcia agentki.

- Gdzie?

- Jakieś szesnaście kilometrów od jej domu.

- Nic z tego nie rozumiem. - Scully miała zachmurzoną minę. - To ramię mężczyzny.

- Ramię mężczyzny - odezwał się spokojnie Mulder, przenosząc spojrzenie ze Scully na Whitney - które odpowiada dowodom, jakie twój zespół znalazł na miejscu przestępstwa lub w jego pobliżu. Co to było? Krew? Fragmenty tkanki?

Niektórzy z agentów przy stole, w tym surowa kobieta w czerni, przysłuchiwali się ich rozmowie. Whitney rzuciła na nich okiem, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie? Mówiłam, że jest dobry”.

Potem wyjaśniła:

- Krew w pobliżu wiaty przy domu Moniki Bannan. Poza tym ostrze znalezionej tam motyki odpowiada ranie.

- I na tym opieracie swoje nadzieje? - spytała Scully z błyskiem w oku.

- Służbowa broń agentki Bannan była zamknięta w bagażniku jej samochodu - ciągnęła spokojnie niezrażona Whitney, - Miała jeszcze jedną sztukę, ale schowaną w domu. Rana odpowiadająca motyce, może być dowodem na to, że Monica Bannan opierała się porywaczom.

Z pewnością miała odpowiednie przeszkolenie i mogła to zrobić, Mulder nieznacznie skinął głową.

- Co mówią o tym ludzie z kryminalistyki? - spytał, wskazując na odrąbaną rękę.

- Mężczyzna, od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat - wyjaśniła Whitney. Pokręciła głową. - Odcisków palców nie ma w systemie CODIS5.

Mulder wiedział już, dlaczego się tu znalazł. Był niemal pewien, że Scully też się tego domyślała.

- Rozumiem, że znalezienie tej odrąbanej kończyny było jak...

- Znalezienie igły w stogu siana - dokończyła za niego Whitney.

- Myślałem raczej o igle w stosie igieł - rozwinął twórczo Mulder.

Zerknął na Scully, po czym odezwał się do agentki:

- Zaprowadził was do niej ktoś, kto utrzymuje, że posiada moce nadprzyrodzone.

Tym razem skinienie głowy było dość powolne.

- Joseph Patrick Crissman.

- A wy myślicie, że chrzani głupoty - zauważył z przekąsem Mulder.

Stojący obok agent Drummy, który przysłuchiwał się ich rozmowie, zamienił ponurą minę w uśmiezek.

- Niby dlaczego tak uważasz? - zwrócił się do Muldera.

Mulder też potrafił zdobyć się na ironiczny uśmiech.

- Może to ja jestem telepatą - odparował.

- Słuchaj no - Drummy przyczłapał bliżej - ten gość, ten cały ojciec Joe...

5 Ang. *Combined DNA Index System*, czyli połączony system indeksacji DNA. System komputerowy FBI do przeszukiwania profili DNA opracowanych przez federalne, stanowe i lokalne laboratoria kryminalistyczne (przyp.

tłum.).

- Ojciec? - wtrąciła Scully, przechylając głowę i mrużąc oczy.

- To ksiądz?

Drummy wzruszył ramionami.

- I to katolicki.

Mulder zerknął na Scully. Jak na zawołanie, padające z góry światło świetlówek odbiło się od złotego krzyżyka na jej szyi.

- Sam się z wami skontaktował? - wypytywała dalej Scully.

Drummy pokiwał głową.

- Zadzwoił do nas nieoczekiwanie sześć godzin po zgłoszeniu zaginięcia agentki Bannan.

Rozumiecie, media jeszcze o tym nie wiedziały. Wciąż przetwarzaliśmy informacje. I naraz facet twierdzi, że zobaczył ją w wizji. Że ma z nią telepatyczne połączenie.

- Zatem ojciec Joe utrzymuje, że Monica Bannan wciąż żyje podsumował Mulder.

- Właśnie tak - przytaknął Drummy.

- I twierdzi, że utrzymuje z nią więź telepatyczną. Czy znaleźliście jakiegokolwiek inne powiązania?

- Z Monicą Bannan?

Było to jedno z tych debilnych pytań, które aż się proszą o ciętą ripostę. Mulder miał właśnie rzucić coś ironicznego, gdy wtrąciła się Whitney.

- Nie. Żadnego powiązania. Dlatego posłałam po ciebie.

Mulder rzucił okiem na Scully. Wymienili uśmiechy, tak nieznaczne, że nie dostrzegł ich nikt prócz nich samych. Rozumieli teraz nastawienie agenta Drummy'ego. Mulder stanowił dla niego zagrożenie.

Drummy sztywno trzymał się podręcznikowych reguł. Tymczasem teraz przywleczono tu starego, pocziwego, nawiedzonego Muldera z Archiwum X, by odwalał jego robotę. A co jeśli Drummy wyjdzie przy nim na durnia bez wyobraźni?

- Potrzebuję twojej wiedzy, Mulder - mówiła Whitney. - Jesteś specjalistą od takich spraw. Muszę

wiedzieć, czy nie marnujemy czasu, podążając tym tropem. Bo nie mamy czasu do stracenia.

- Nie po siedemdziesięciu dwóch godzinach - wtrąciła sucho Scully.

Mulder pokiwał głową, ważąc fakty... swoją przeszłość... uwarunkowania. Angażowanie się w tę sprawę było niebezpiecznie. Samo to, że pojawił się w tym budynku, było szaleństwem.

Jednak gdzieś tam borykała się z kłopotami zaginiona agentka FBI. Dobrze wiedział, jak to jest.

Sam wielokrotnie pakował się w tarapaty. Tak samo Scully.

- Mówimy tu o człowieku religijnym - odezwał się wreszcie. Człowieku dobrze wykształconym. Dzwoniąc do was, zrobił to, co uważał za słuszne. Nie powiedział niczego, co pozwalałoby wątpić w niego samego lub jego motyw. Nie ma żadnego fizycznego powiązania z tą zbrodnią. Mimo wszystko marnujecie czas, agentko Whitney.

Ze zdumienia aż wytrzeszczyła na niego błękitne oczy.

- Że co proszę?

- Tyle że - ciągnął Mulder - marnujecie tu mój czas... oraz czas wszystkich tych agentów.

- Mówiąc to, spojrzał jej prosto w oczy. Idźcie tym tropem, i to zaraz. To wszystko co macie. Nie macie dowodów, które pozwoliłyby wątpić w słowa tego człowieka.

- Pozostaje kwestia wiarygodności... - zaczęła Whitney.

- Skoro nie macie powodu, by mu nie ufać, dlaczego mielibyście nie zaufać jego wizjom?

- Słuchaj, Mulder - wtrącił się Drummy - nie zaprowadził nas do Moniki Bannan, prawda?

Wszystko, co nam pokazał, to zakopaną w śniegu rękę jakiegoś gościa!

Mulder wzruszył ramionami.

- No cóż - tłumaczył - telepatia to nie nauka ścisła. Gdybym to ja prowadził tę sprawę, nie spuszczałbym gościa z oka dzień i noc. Kurde, byłbym z nim teraz w łóżku i całował jego świętobliwy tyłek.

Scully aż przymknęła oczy. Zgromadzeni wokół stołu agenci, obserwujący ich z różną dozą sceptycyzmu i nieufności, naraz zaczęli otwarcie okazywać pogardę.

- Ojciec Joe jest pedofilem z wyrokiem - oznajmiła Whitney.

Scully otworzyła szeroko oczy. Wbiła wzrok w swego partnera, równie zaskoczona, jak on.

- W takim razie - podjął niezrażony Mulder - nie pchałbym się jednak do jego łóżka.



## Richmond, Wirginia

### 9 stycznia

Dwa czarne samochody terenowe ford expedition zatrzymały się przed kompleksem mieszkalnym, który spośród sąsiednich domów wyróżniały jedynie surowość formy i intensywność zewnętrznego oświetlenia. Ściany z jasnego cementu pocięte czarnymi liniami schodów nadawały temu miejscu niemal więzienny wygląd, A może Mulder tylko to sobie wyobrażał, wiedząc, kto tu zamieszkuje?

Mulder i Scully wysiedli z pierwszej terenówki i podążyli za zastępcą naczelnika i agentem specjalnym Drummym. Szli chodnikiem. Minęli liche drzewa przywodzące na myśl szkielety i weszli na zaśnieżone podwórko. Oddechy parowały w zimnym powietrzu.

Scully zrównała krok z Whitney. Mulder pozostał z tyłu.

- Co to za miejsce? - dopytywała się Scully.

- Internat dla notorycznych przestępców seksualnych - odparła beznamiętnie Whitney.

- Internat?

- Sami zarządzają całym kompleksem i sami się pilnują. Ojciec Joe mieszka tu dobrowolnie, razem ze swym współlokatorem.

Scully skrzywiła się z niesmakiem. Mulder obdarzył ją promiennym łobuzerskim uśmiechem.

- Wizytę w bawialni chyba sobie daruję - podsumował.

Weszli na teren kompleksu.

Wkrótce znaleźli się w holu. Wyglądał, jakby prowadził na parking, zamiast tego przywiódł ich do zimnego korytarza pełnego drzwi. Zatrzymali się przed jednym z nich.

Drummy zapukał. Whitney, Scully i Mulder rozglądali się z zakłopotaniem. Minęła dłuższa chwila - widać ktoś oglądał ich sobie przez judasz.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi - szepnął Mulder do Scully.

Partnerka nie była jednak w nastroju do żartów.

Drzwi otworzyły się wreszcie i pojawił się w nich drobny mężczyzna koło pięćdziesiątki o pociągłej, naznaczonej smutkiem twarzy. Miał na sobie sztruksową kurtkę i pasiastą koszulkę polo. Do tego brązowe wełniane spodnie. Wyglądał nie groźniej od dobrodusznego wujaszka.

Tyle że Mulder doskonale zdawał sobie sprawę, iż tacy dobroduszni wujaszkwie-pedofile potrafili być naprawdę groźni dla siostrzenic czy siostrzeńców.

Człowiek w drzwiach się odezwał. Nie do nich, a do kogoś za plecami.

- Joe...

Z głębi mieszkania dobiegła ich odpowiedź, wypowiedziana głębokim głosem z melodyjnym szkockim akcentem.

- Zaproś ich do środka!

Cała czwórka wmaszerowała do skromnie urządzonego, nieco niechlujnego pokoju dziennego, przesiąkniętego odorem papierosów - wszystkie popielniczki były przepełnione. Tu i ówdzie powtykano kolorowe magazyny i gazety codzienne. Kineskopowy telewizor odtwarzał n-tą powtórkę *Jeffersonów*. Mulder domyślał się, że to początek lub finał odcinka, sądząc po temacie przewodnim, *Movin'On Up*. Wbrew słowom piosenki lokatorzy z pewnością nigdzie się nie wybierali.

Zdarta sofa i sfatygowany fotel były puste. Pokój oświetlały telewizor i pojedyncza stojąca lampa. Przez uchylone drzwi do sypialni Mulder dostrzegł mężczyznę po sześćdziesiątce, w pstrokatym szlafroku, T-shircie i szarych flanelowych spodniach. Klęczał na podłodze i odmawiał różaniec. Włosy tego człowieka stanowiły szary splątany kłęb, poprzątkany nielicznymi czarnymi pasmami. Jego pociągłą twarz jeszcze bardziej wydłużała kozia bródka.

Drummy przedstawił go niejako Mulderowi i Scully, odzywając się do mężczyzny przez szparę w drzwiach:

- Ojciec Joe? Można na słówko?

Nawet Pan Bóg musiał znieść ponurą impertynencję agenta.

Mulder patrzył, jak były ksiądz wstaje i otwiera drzwi na oścież. Joseph Crissman wyłonił się z sypialni.

- Przepraszam za bałagan... - wymamrotał.

Widać palił podczas modlitwy, bo teraz przypetował niemal wypalonego papierosa w przepełnionej popielniczce. Następnie odszukał pilota i zakończył wygłupy *Jeffersonów*.

- I tak nie spałem - odezwał się, wzruszając ramionami, jakby odpowiadał na niezadane pytanie. Przepchnął się obok Scully, ocierając się o jej bok, i zaczął bez większego przekonania porządkować rzeczy na kanapie, żeby zrobić miejsce dla gości. Nikt nie kwapił się, by usiąść.

Mulder z uwagą przyglądał się gospodarzowi. Wyglądał, jakby na wpół lunatykował.

- Ojciec Joe, to jest Fox Mulder - odezwał się Drummy, z trudem kryjąc irytację... Nikogo to nie zaskoczyło.

Crissman zerknął w stronę Muldera, zdawał się jednak patrzeć gdzieś hen za niego, jakby był

przezroczysty.

- Dobra - oznajmił po prostu.

Żadnego sprzeciwu. Jak Mulder to Mulder. Następny proszę.

- Chciałby zadać ojcu kilka pytań...

- Prawdę powiedziawszy - wtrąciła się Scully, postępując krok naprzód - najpierw ja chciałabym o coś spytać.

Mulder aż za dobrze znał ten ton. Wiedział, że coś ją dręczy. Whitney i Drummy odwrócili się w jej kierunku, rozpoznając w jej głosie ledwo hamowane oburzenie.

- Dopiero co widziałam, jak się pan modli - zaczęła Scully, stając z gospodarzem twarzą w twarz. - O co, jeśli wolno spytać?

Ojciec Joe miał dobre metr osiemdziesiąt wzrostu. Górował nad drobniutką Scully, ale miała to gdzieś. Rozmówca odzyskał jasność spojrzenia, zerknął wprost na nią, po czym opuścił

wzrok na zawieszony na jej szyi złoty krzyżyk.

- Modliłem się - odpowiedział spokojnie, znów spoglądając jej prosto w oczy - o zbawienie mojej nieśmiertelnej duszy.

Pokiwała w zamyśleniu głową.

- I sądzi pan, że Bóg słyszy pańskie modlitwy? - pytała dalej.

Crissman niemal się uśmiechnął. Niemal.

- Czy pani wierzy, że słyszy pani modlitwy?

- Z pewnością nie zagłuszają ich żadne krzyki niewiniątek - odparowała. Ręce skrzyżowała na piersi, pochyliła głowę, jednak głos miała mocny i spokojny. - Widzi pan, ja nie posuwałam trzydziestu siedmiu ministrantów.

Mulderowi udało się stłumić chichot na widok zrozpaczonych spojrzeń dwojga agentów FBI. Znał to spojrzenie zranionej łani, jakim obdarzali Scully ludzie nieprzywykli do jej bezpośredniości.

- Ciekawie to ujęłaś - zagadnął spokojnie.

- Znam też inne określenia - odparła - jeśli tego akurat nie rozumiałeś.

- Ależ skąd. Nadażam za tobą.

Jeśli ojciec Crissman również za nią nadażał, nie dał tego po sobie poznać. Nie drgnęła mu nawet

powieka. Opadł na sofę i sięgnął po paczkę papierosów. Zakasłał jak rasowy palacz.

Czy samobójstwo nie jest czasem grzechem? - zamyślił się Mulder. Będzie musiał zapytać Scully, czy palenie też się liczy.

- Młoda damo - odezwał się były duchowny, wybierając papierosa z paczki - muszę wierzyć, że on mnie słyszy. W przeciwnym razie po cóż by mi zsyłał te wizje?

Scully postąpiła krok w jego kierunku.

- Może to nie Bóg jest ich nadawcą - zasugerowała wrogo.

Uniósł dłoń w niemym proteście.

- Jednak pierwsza z nich nadeszła podczas komunii, moja droga.

Mulder niemal czuł, jak żar nienawiści bucha gorącem od Scully. Równie wyczuwalna była arogancja byłego księdza.

- Mówi pan o nich „wizje” - odezwał się Mulder, niby od niechcienia. - Rzeczywiście pan to widzi?

Crissman skinął głową.

- Jak to się mówi, oczyma mojej duszy.

Jego szkocki akcent miał dziwnie kojące brzmienie.

- Co pan dokładnie widzi? - dociekał Mulder.

Crissman zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i odczekał dobrą chwilę, nim wypuścił

dym z płuc. Mulder zorientował się, że facet lubi być w centrum uwagi. Nie było to jednak ani dobrym, ani złym znakiem. Wielu prawdziwych telepatów było zarazem pretensjonalnymi aktorzynami.

- Widzę - odezwał się Crissman, jakby czytał na głos listę sprawunków - jak napadają tę biedną dziewczynę. Widzę, jak się broni.

Widzę okrwawione ramię.

- Gdzie ją pan widzi? - naciskał Mulder.

Eksksjędz pokręcił głową.

- Nie wiem. Słyszę szczekanie psów.

Ze sposobu, w jaki Whitney i Drummy wymienili spojrzenia Mulder zorientował się, że to nowa informacja. Scully jednak również to wychwyciła. Spojrzenie, jakie ona z kolei rzuciła Mulderowi

zdawało się podkreślać, że szczegół ten był podejrzanie nieistotny.

- Gdzie, ojciec Joe? - wtrąciła się Whitney. - Gdzie są te szczekające psy?

Wzruszenie ramion. Kręcenie głową.

- Nie potrafię tego powiedzieć.

- Ale widzi ją ojciec żywą?

- Nie.

Mulder widział, jak Whitney zapada się pod ciężarem tych słów.

- Jednak czuję... czuję, że wciąż jest z nami - dodał były ksiądz.

- Może nam pan pokazać, jak to robi? - spytał z kolei Mulder.

Crissman po raz kolejny zaciągnął się głęboko papierosem, odłożył go na popielniczkę, po czym przymknął oczy, Scully zerknęła na Muldera. „Litości!” zdawało się mówić jej spojrzenie.

- Nie wiem - odezwał się ojciec Joe - czy potrafię to teraz zrobić.

Scully pokręciła z niedowierzaniem głową. Straciła chyba tę resztkę cierpliwości, jaką jeszcze miała. Ale kiedy znów spojrzała na Crissmana, stwierdziła, że wpatruje się w nią intensywnie

- Może poradziłbym sobie lepiej - odezwał się zimno, wskazując głową Scully - gdyby jej tu nie było.

Scully zmrużyła oczy.

- Może to, co pan „widzi”, to sposób, by ludzie zapomnieli, czym pan jest naprawdę!

Po czym obróciła się na pięcie i wyszła z mieszkania.

Mulder poczuł się rozdarty. Z jednej strony powinien pójść za nią. Z drugiej - Scully nie odejdzie daleko, a on wciąż jeszcze nie rozgryzł tego całego ojca Joego. Zostanie i zada parę dodatkowych pytań.

W końcu jego obecność w tym miejscu była pomysłem Scully A co, może nie?

4

**Richmond, Wirginia**

**9 stycznia**

Dana Scully, pozostawiona sama sobie w zimnym betonowym korytarzu budynku, który Dakota

Whitney określiła mianem internatu dla przestępców seksualnych, zajęła się studiowaniem akt FBI, Skoncentrowała się na zdjęciach uciętej ręki, znalezionej w śniegu, w miejscu wskazanym przez ojca Joego Crissmana.

Drzwi do mieszkania się otworzyły. Scully uniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Muldera. Zamiast niego ujrzała mikrogo i bladego współlokatora Crissmana, który dokądś się wybierał. Jego nieprzytomne spojrzenie zabłądziło ku jej twarzy, ale spuściła wzrok, powracając do groteskowych fotografii odciętej ręki ze szramą przy nadgarstku.

Naraz ktoś dotknął jej ramienia. Niemal podskoczyła ze strachu. Obróciła się i stanęła twarzą w twarz z partnerem.

- Jezu, Mulder! - prawie wykrzyknęła. - I ty mi mówisz o materializacji.

- I to by było tyle, jeśli chodzi o całowanie świętobliwego tyłka naszego telepaty -  
podsumował z krzywym uśmiechem.

- Wierzysz mu?

- No nie wiem. Sam już nie wiem.

Scully poczuła wstyd.

- Słuchaj... przepraszam - tłumaczyła się. - Za długo się tym nie zajmowałam. -

Przewróciła oczami. - Albo za krótko.

Mulder jednak pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie... świetnie sobie poradziłaś, Scully.

Chyba żartujesz, mówiło jej spojrzenie.

- Ja miałem tylko pytania - wyjaśnił Mulder, - Ty go przyszpiliłaś. Rzuciłaś mu wyzwanie.

Jak za dawnych dobrych czasów.

Podobało jej się to, co słyszy, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

- No cóż - rzuciła tylko - to zbok. A do tego kłamca. Mulder, on wie, kto to zrobił. To porywacze dostarczają mu tych informacji. - Skąd były ksiądz znałby tych przestępców?

- Spójrz tylko, gdzie mieszka! - mówiąc to, wręczyła mu teczkę ze zdjęciami i pokazała ostatnią fotografię, którą studiowała. - To ramię, które znaleźli - podjęła - nie zostało odcięte podczas walki, Ani z Monicą, ani z kimkolwiek innym. Odrąbano je, Mulder.

Spojrzał na zdjęcie, marszcząc brwi.

- I to czysto, sądząc po tym, co widzimy na zdjęciu - ciągnęła Scully. - To amputacja, a nie przypadkowa rana. Powiedz mi więc, jak to się dzieje, że ojczulek doprowadził ich prosto do tej ręki, kiedy nie potrafi nawet zgadnąć, gdzie znajduje się ofiara?

Mulder nie odpowiedział.

Scully nie zamierzała milczeć.

- W ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin wydarzą się dwie rzeczy. Po pierwsze, znajdą martwą agentkę FBI; po drugie, odkryją, że ten ich „telepata”, ten cały „ojciec Joe” to jedna wielka ściema.

Mulder uniósł wzrok znad fotografii i popatrzył na Scully tym dziwnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem, które potrafiło wzbudzić w niej miłość, frustrację oraz z pół tuzina innych uczuć.

Wzruszył lekko ramionami, by wreszcie przemówić.

- Możesz mieć rację, Scully.

Za ich plecami otworzyły się drzwi do mieszkania. Whitney i Drummy wyszli na korytarz.

Korowód zamykał ojciec Joe we własnej osobie. Był ubrany do wyjścia. Miał na sobie szarą tweedową marynarkę, pod nią sweter, do tego ciężkie szare spodnie i czarne śniegowce. Zakładał

właśnie brązowe skórzane rękawice. Nie patrzył w ich kierunku. Cała grupka podążyła korytarzem - zapewne do zaparkowanych samochodów.

Scully oderwała od nich wzrok, przenosząc spojrzenie na twarz Muldera.

- Powiedz mi, że nie bierzesz w tym udziału!

- A co, jeśli się mylisz, Scully? Co jeśli ojciec Joe jest rzeczywiście jedyną szansą agentki Bannan?

Ruszył korytarzem, w ślad za agentami. Scully, wciąż zła i zdziwiona, udała się za nim.

- Mulder, co ty wyprawiasz?

- Zabieramy go na przejażdżkę. Przekonamy się, jaki z niego telepata.

Przystanąła. Mulder też się zatrzymał. Westchnęła ciężko. Zamknęła oczy, po czym otworzyła je, ale nie do końca, patrząc na niego spod przymkniętych powiek.

- No cóż, dobrze się bawiłam i w ogóle...

Wrócili do zaparkowanych fordów. W którymś momencie ojciec Joe podszedł do Scully tak blisko,

że przyprawił ją o dreszcz obrzydzenia. Widząc to, Mulder dotknął delikatnie jej ramienia.

- Nikt ci nie każe z nim siadać - powiedział łagodnie.

Ale Scully pokręciła głową.

- Dzięki, jak na jedną noc wystarczy mi wrażeń. Poza tym Crissman wyraził się jasno. Nie życzy sobie mojej obecności. Zakłócam cały proces. Negatywna energia i takie tam...

Zniesmaczona, ruszyła ku jednemu z zaparkowanych pojazdów.

Rzecz jasna nie ku temu, do którego wsiadał ojciec Joe. Mulder szedł u jej boku.

- Chcę, żebyś pojechała ze mną - oznajmił.

Otworzyła drzwi samochodu.

- Każę się odwieźć do domu. Wiesz co? Ty też nie musisz w tym Uczestniczyć.

- Scully...

- To już nie jest moje życie, Mulder. Skończyłam ze ściganiem potworów po nocy. Mam za sobą swoją ostatnią wizję lokalną przy świetle latarki. I myślę, że zrobiłeś wszystko, o co cię prosili. Nie musisz z nimi jechać.

Mulder przełknął ślinę i skinął głową. Obejrzał się na Whitney i Drummy'ego, wsiadających wraz z Crissmanem do drugiego forda expedition. W tej chwili przypominał jej dziecko, które chce nocować u kolegi. Tyle że mama się nie zgadzała. Nie ma mowy. Żadnego nocowania z ojcem Joem.

- Ci ludzie potrzebują mojej pomocy - zaoponował, wskazując ich skinieniem głowy.

Czy przytaczał jej własne słowa, żeby udowodnić swoje racje, czy też tak mu się po prostu powiedziało? Tak czy inaczej, dostrzegła ironię sytuacji.

- A mnie, Scully... mnie przydałaby się twoja pomoc - wręczył jej z powrotem akta FBI.

Nie prosił już jej, żeby z nim pojechała, ale żeby się nie odcinała. Żeby poświęciła jeszcze trochę czasu dowodom. Żadnych potworów, żadnych latarek, tylko wiedza przeciw materiałowi dowodowemu. Wszystko to powiedziało jej jedno długie spojrzenie tych cholernych szczenięcych oczu Muldera.

Niechętnie skinęła głową, biorąc teczkę z jego rąk.

**Gdzieś w Wirginii**

**10 stycznia**



Ford mknął przez mrok wiejską drogą. Wokół rozciągał się pozornie idylliczny zaśnieszony krajobraz. Zmrok malował horyzont różem. Na jego tle strzelały w niebo zielone jodły i pozbawione listowia szkielety drzew. Resztę nieba i położony pod nim świat omywał

błękit.

Fox Mulder zajmował tylne siedzenie razem z ojcem Joem Crissmanem. Były ksiądz oparł się o okno i pochrapywał przez sen. Za kierownicą siedział Drummy. Whitney robiła za pilota.

Od czasu do czasu jedno albo drugie spoglądało na Muldera w tylnym lusterku, jakby spojrzeniem chciało zadać pytanie: „Co my tu robimy, do ciężkiej cholery?”

Kiedy samochód podskoczył na wyjątkowo okazałej muldzie, ojciec Joe przebudził się nagle, prychnąwszy.

Okolone siwymi brwiami oczy spojrzały wokół nieprzytomnie.

- Zbliżamy się? - spytał wreszcie.

Whitney zerknęła na niego przez otulone czarną termoodporną kurtką ramię.

- Niech ojciec sam nam powie - wypaliła. To ty jesteś jasnowidzem, pamiętasz? - mówiło jej spojrzenie.

Ojciec Joe, wciąż nieco zamroczony po drzemce, wyjrzał przez każde z okien pojazdu.

- Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy - oświadczył prostolinijnie.

- W porządku - pocieszył go Mulder.

Były ksiądz omiół spojrzeniem byłego agenta. Ten odpowiedział nikłym uśmiechem, mimo że siedzący z przodu agenci popatrywali na siebie z niecierpliwością, najwidoczniej zastanawiając się, czy cała ta eskapada to nie robota głupiego.

Mulder wyjął z teczki małe zdjęcie Moniki Bannan i wręczył je ojcu Joemu.

- Każdy ma swój styl pracy - powiedział przy tym. - Proszę się nie spieszyć.

Ojciec Joe zlustrował Muldera sceptycznym spojrzeniem.

- A tym kim niby jesteś? Dobrym gliną?

- Żadnym tam gliną.

Ksiądz zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem wbił wzrok w zdjęcie zaginionej agentki.

- Nie znam tej dziewczyny - odezwał się. - Wątpię, czy kiedykolwiek się spotkaliśmy.

Moje relacje z otoczeniem, jak zapewne wiecie, są obecnie mocno ograniczone. Nic mi to nie mówi. Nie mam żadnego punktu zaczepienia.

- Zawsze coś jest. Choćby małego - uspokajał go Mulder. - Coś, co łączy was dwoje.

Ojciec Joe pokręcił głową.

- Wierzysz w takie rzeczy?

Mulder się zawahał. Chciał dać byłemu księdzu tyle wsparcia, ile potrzebował na zachętę.

Nie mógł jednak stać się jego sprzymierzeńcem, a co dopiero marionetką.

- Powiedzmy - odparł miękko - że chcę wierzyć.

- Chce wierzyć - odezwał się pogardliwie Drummy - że jego siostrę porwali kosmici.

Mulder napotkał wzrok agenta w tylnym lusterku i posłał mu jadowite spojrzenie.

- To prawda? - zagadnął ksiądz.

Mulder nie odpowiedział.

- Czy to coś, o czym nie chcesz mówić? - wypowiadając te słowa, ojciec Joe studiował rysy twarzy Muldera. - Drażliwy temat, synu?

Mulderowi niespecjalnie się podobało, że pedofil określa go mianem „syna”, zachował jednak spokój.

- To było dawno temu - odrzekł.

Znów wjechali na muldę.

- Ona nie żyje, prawda? - Z twarzy księdza zniknęła cała arogancja. Teraz wyrażała tylko współczucie. - Mam na myśli twoją siostrę...

Przypadkowo odgadł prawdę? A może ten rozczochrany był księżulo z obłędem w oczach naprawdę był telepatą?

Samantha spoczywała w pokoju. To jedno Mulder wiedział. W to jedno wierzył. Przez tyle lat walczył o odkrycie prawdy. Podążał za niezliczonymi fałszywymi tropami. Ścigał małe zielone ludziki, seryjnych morderców i oszustów. Jego wspomnienia o porwaniu zostały zdyskredytowane, ale po tym wszystkim, przez co przeszedł, wreszcie naprawdę uwierzył, że jego siostra odeszła do lepszego świata. Fakt, że utracił ją, zanim w ogóle wyruszył na poszukiwanie, nadal go frustrował, ale teraz osiągnęła spokój, zaś on nie musiał już jej ratować.

Nie znaczyło to jednak, że podobało mu się, gdy typki takie jak Drummy ubliżały pamięci Samantha. Nie chciał też rozmawiać o swojej siostrze z przestępcą seksualnym!

Mulder zabrał księdzu fotografię zaginionej agentki. Wzrok sam mu jakoś uciekł ku sympatycznej twarzy młodej kobiety, która równie dobrze mogła być żywa i martwa. Nie widział, że Whitney obserwuje go w lusterku. Ani że przeniosła wzrok na ojca Joego... i podskoczyła z wrażenia, odkrywając, że ten patrzy wprost na nią.

- To tu - odezwał się, a jego głos nabrał nagle mocy. - To stąd ją uprowadzono.

Mulder przeniósł wzrok ze zdjęcia agentki Bannan na ojca Joego.

Ten pochylił się nagle do przodu, w takim napięciu, że aż pokazały mu się żyły na karku.

- To tu - niemal wykrzyczał duchowny - zaatakowano waszą agentkę!

Mulder napotkał spojrzenie Whitney w tylnym lusterku. „To prawda?” - zadał nieme pytanie.

„Tak”, mówił jej wzrok.

Przed sobą ujrzeli światła niewielkiego osiedla. Ich zółc na tle błękitu poranka przywodziła na myśl obrazy Maxfielda Parrisha.

- Chcę, żeby zobaczył miejsce przestępstwa - oznajmił Mulder.

Drummy wymienił spojrzenia z Whitney. Najwyraźniej miało to jakieś ukryte znaczenie, ale Mulder nie potrafił się go domyślić. W każdym razie nie chodziło o okazywaną wcześniej przez Drummy'ego pogardę. Nie, to było coś innego.

Wkrótce ford skręcił na osiedle parterowych domków, po czym zwolnił i zatrzymał się przed nieodśnieżonym podjazdem. Drummy naciągnął na głowę kaptur swojej czarnej parki i obszedł samochód, by dołączyć do Whitney. Mulder z ojcem Joem wysiedli z auta, gdy dwoje agentów FBI ruszyło już zasypanym podjazdem. Mulder dołączył do nich. Zdażył zrobić kilka kroków w głębokim śniegu, gdy zorientował się, iż ksiądz nie idzie za nim.

Obejrzał się. To samo zrobili agenci.

Ojciec Joe stał w połowie podjazdu. Zamarł w miejscu. Na tle błękitu nieba przypominał stracha na wróble.

- Nie - odezwał się, kręcąc głową. Pasma włosów wiły się na wietrze niczym węzowe loki Meduzy.  
- To... to nie tak.

Wysoki chudzielec w szarym ubraniu rozglądał się na boki, jakby chciał się zorientować, gdzie się znalazł. Oczy miał szeroko rozwarte, powieki nieruchome.

Spojrzał na zastępcę naczelnika.

- Przeprowadziliście mnie do złego domu - stwierdził wręcz oskarżycielskim tonem, nieco tylko złagodzoną przez akcent rodem z Glasgow music.

Odwrócił się i ruszył z powrotem podjazdem, by przejść na drugą stronę drogi.

Mulder wyszczerzył się do dwójki agentów.

- Z dupy se to wziął czy jak?

Po czym ruszył w ślad za Crissmanem. Agenci poszli za jego przykładem.

Ojczulek skręcił ku innemu domowi. Wiatę przy podjeździe do domu oklejono na krzyż żółtą taśmą, zabraniającą wstępu na miejsce przestępstwa. Może ksiądz zauważył oznakowanie jeszcze z samochodu, po czym odstawił na ich użytek zaimprovizowane przedstawienie? Mulder nie sądził jednak, żeby wyjaśnienie było tak banalne. W końcu on tego nie dostrzegł, a wyteżał

wzrok ze wszystkich sił.

Ojciec Joe znalazł się na miejscu jakieś pół minuty przed nimi. Mulder dotarł jako drugi, Whitney i Drummy nie śpieszyli się tak bardzo.

Ksiądz zanurkował pod smaganą wiatrem żółtą taśmę. Jego spojrzenie zatrzymało się na samochodzie Moniki Bannan. Mulder też przeszedł pod taśmą, jednak dwoje agentów na razie trzymało się z dala, nie odrywając oczu od domniemanego jasnowidza.

A on przyglądał się temu, czemu przyglądać się powinien - drzwiom od strony kierowcy, tylnej ścianie domu z zawieszonymi narzędziami, skąd agentka Bannan z pewnością porwała prowizoryczną broń, wiodącej do domu ścieżce, gdzie rozegrała się walka. Agent Drummy podszedł wreszcie do ojca Joego i ruszył za nim na podwórko za domem.

Mulder wyczuł, że Whitney staje u jego boku. Odwrócił się do niej.

- To musi być tu - odezwał się, naśladowując szkocki akcent Crissmana.

Wzruszyła ramionami.

- Ekipy telewizyjne sfilmowały całą okolicę. Mógł to zapamiętać z telewizji.

- No tak. Ale po co?

Zamrugnęła w odpowiedzi. Jej oczy miały kolor zimnego błękitu, a jednak na swój sposób były ciepłe.

- Po co? - powtórzyła jak echo.

Mulder wyszedł spod wiaty. Popatrzył, jak agent Drummy kroczy w ślad za ojcem Joem przez

zaśnieżone podwórko, za którym rozciąga się las. Wyglądał równie zachęcająco jak w baśni o Królowie Śnieżce.

- Po co miałby to robić? - rozwinął pytanie. - Po co zadawać sobie trud sfabrykowania tak wymyślnej bajeczki?

Whitney uśmiechnęła się lekko, dziwiąc się jego naiwności - całkiem jak Scully, u której widział ten uśmiech tysiące razy.

- Ekspiacja - wyjaśniła. - Odpuszczenie grzechów.

- Sądzi, że może przechytryć Boga?

- Nie Boga. Napisał już setki listów do Watykanu, błagając o przywrócenie na łono Kościoła.

Mulder uniósł brwi i uśmiechnął się półgębkiem.

- Odgrywanie jasnowidza przed FBI to dość dziwaczny sposób, by zjednać sobie Stolicę Apostolską, Pokręciła głową.

- Niekoniecznie. Człowiek, przez którego przemawia Bóg? Paru osobom przysporzyło to już sławy.

- Joannę d'Arc zaprowadziło na stos. Myślicie, że to blagier?

Nie odpowiedziała.

- Uważacie, że jest w to zamieszany? W jakimś sensie współwinny?

Tak jak Mulder nie odrywała wzroku od dwóch kroczących przez śnieg postaci.

- Owszem, musimy traktować go jak potencjalnego podejrzanego.

- Ale nie znaleźliście żadnego powiązania z przestępstwem.

Roześmiała się krótko.

- Nie myśl, że moi ludzie przestali szukać. Zajrzą pod każdy kamień w barwnym życiorysie ojca Joego Crissmana. Są pewni, że w końcu coś znajdą.

Mulder spojrzał jej głęboko w oczy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił.

- Ale ty tak nie uważasz. - Zrozumiał. - Ty mu wierzysz.

- Doprawdy?

- Tak. Inaczej by mnie tu nie było.

Otaksowała go spojrzeniem. Była pod wrażeniem tego, jak ją podszedł. Spryciarz z niego.

Kiedy się odezwała, w jej głosie było mniej chłodnego profesjonalizmu, a więcej człowieczeństwa.

- Powiedzmy, że wezwanie cię na pomoc nie przysporzyło mi popularności w FBI.

Możesz mi wierzyć.

- Skoro mowa o FBI... ja też nie należałem do najpopularniejszych osób w biurze. Żebyś widziała, w jakiej klitce mnie zamknęli! Mówi ci coś ksywka „nawiedzony Mulder”?

Pokręciła z uśmiechem głową. Gdy się odezwała, w jej głosie dało się słyszeć nieskrywany szacunek.

- Miałeś już do czynienia z osobami o zdolnościach paranormalnych. Luther Lee Boggs, Clyde Bruckman, Gerald Schnauz.... zapoznałam się ze wszystkimi tymi sprawami, Mulder.

Robią niesamowite wrażenie.

- No cóż - przechylił głowę - jestem tylko połową zespołu, jak zapewne wiesz.

Zmrużyła oczy.

- Naprawdę tak myślisz, prawda? To nie fałszywa skromność.

- Nie. Scully trzyma mnie w ryzach. Kiedy jej nie ma, lepiej mnie pilnować.

- Dobra - znów się uśmiechnęła. Przemiała kobieta. - Przyjęłam do wiadomości. Przebieg służby Dany Scully też robi wrażenie. Jednak to twojej wiedzy potrzebuję. Chcesz się przyłączyć do tańca?

Ruszyli przez śnieg w kierunku Drummy'ego. Agent stał bez ruchu, jakby wrósł w ziemię, i patrzył, jak ojciec Joe brodzi przez śnieg niczym pijak, który zgubił kluczyki do samochodu.

- Śmiechu warte - zwrócił się Drummy do Whitney. Wraz z Mulderem stała kilka metrów dalej.

- Wcale nie - odparł Mulder. On też mówił do zastępcy naczelnika.

Obserwował byłego księdza niczym naukowiec studiujący preparat pod szkłem mikroskopu.

- Jego wizje mają specyficzny charakter - tłumaczył. - Fakt, że przedstawia je tak wprost, to bardzo dobry znak. Z doświadczenia wiem, że większość osób przejawiających zdolności nadprzyrodzone łatwo ulega pokusie dramatyzacji, nawet jeśli są w transie, i z łatwością korzystają ze swoich umiejętności. Nie chcą, by wyglądało to na zbyt łatwe. Niech więc was nie zniechęca...

Tu urwał. Whitney i Drummy, którzy przyglądali się konsultantowi, podążyli teraz za wzrokiem Muldera i spojrzeli na byłego duchownego. Ksiądz przestał brodzić w śniegu. Stał

nieruchomo w miejscu.

Naraz, jakby odczuwając przemożne pragnienie modlitwy, ojciec Joe padł na kolana.

Mulder rzucił się biegiem. Buty zapadały mu się w sięgający kolan śnieg. Za plecami słyszał dwoje agentów FBI, starających się dotrzymać mu kroku.

Wciąż klęcząc, ksiądz spojrzał na stojące nad nim trzy postacie.

Twarz Crissmana jeszcze się wydłużyła. W oczach widać było cierpienie. Ból wrył się w każdą zmarszczkę.

- Biegła... próbowała uciec - odezwał się. Spojrzał w bok. - Było dwóch mężczyzn, ale ona nie mogła... - mówiąc to, znów odwrócił głowę. - Popchnął ją na ziemię!... Tutaj... - Głową wskazał śnieg. - Dokładnie tutaj... a potem włożyli ją na... na tył...

Whitney pochyliła się nad nim, opierając dłonie na kolanach.

- Gdzie? Na tył czego? - dopytywała się.

- Do samochodu... nie, nie samochodu... ciężarówki - przez cały czas nie mrugał oczami.

Patrzył wprost przed siebie i widział coś, co pochodziło z jego wnętrza. - Ciężarówki z czymś...

czymś na wierzchu. Zmrużył oczy. - Nie wiem, co...

- Potrzebujemy czegoś więcej, ojciec - rozpaczliwie perswadowała Whitney. - Musimy ją znaleźć.

Twarz mu stężała.

- Ból... wielki ból...

- Powiedz mi, gdzie jest - naciskała Whitney.

Pokręcił głową. Oczy miał na wpół przymknięte. Wyglądał, jakby się bał.

- Nie wiem. Nie widzę.

- Musimy jej pomóc. Musi ojciec spróbować.

Ale kudłaty eksksiądz wydawał się bliski płaczu. Znajdował się na granicy wyczerpania.

Znów pokręcił głową.

- Nie widzę... nic nie widzę.

I nagle upadły duchowny, nie wstając z klęczek, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

Targały nim głębokie łkania, dobiegające z głębi ciała... wręcz z głębi duszy.

Drummy rzucił Mulderowi powątpiewające spojrzenie. Mulder żałował, że nie ma tu Scully. On mógł dać się nabrać na dobre przedstawienie, ale Scully od razu by je przejrzała. O ile rzeczywiście było to przedstawienie. Potrafiłaby wskazać dokładnie, na czym polega ściema.

Jeśli to naprawdę ściema.

Gdyby tylko tu była.

- Miałeś rację, Mulder - odezwał się Drummy.

- Że co?

- Sukinsyn faktycznie z dupy to sobie wytrzasnął.

I czarny agent z niesmakiem odwrócił się na pięcie, i odmaszerował przez głęboki śnieg.

Jednak Mulder i Whitney zostali tam, gdzie byli. Patrzyli na wciąż chlipiącego ojca Joego, który coraz bardziej zaczynał przypominać kiepskiego aktora, który odstawiając szopkę, posunął

się o wiele za daleko.

I naraz Mulder zobaczył krew.

Krople krwi spadały na śnieg pod zwieszoną głową ojca Joego.

Mulder postąpił krok do przodu. Położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Ojczy? - odezwał się. - Nic się ojcu nie...?

Rozzochrany wielkolud uniósł głowę i spojrzał na Muldera, któremu aż mowę odebrało ze zdumienia.

Ojciec Joseph Crissman faktycznie łkał. Nie udawał. Naprawdę płakał.

Krwawymi łzami. Czerwone smugi znaczyły jego policzki. Ślad po łzach.

Whitney też to zobaczyła. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Skinęła Mulderowi głową.

Zrozumiał, że pokłada w nim coraz większą nadzieję.

**5**

**Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

**Richmond, Wirginia**

**10 stycznia**



Dana Scully, w białym fartuchu laboratoryjnym narzuconym na brązową bluzkę i spódnicę, skręciła z gwarneho korytarza do pokoju, gdzie podparty poduszkami siedział na łóżku jej mały pacjent, Christian Fearon. Słabowity i kruchy, wpatrywał się w rozciągającą się za oknem biel zimowego poranka.

- Cześć, Christianie - przywitała się. Stała obok łóżka. - Wczesnie się dziś zbudziłeś.

Blady chłopiec w szlafroku w słońce i klauny spojrzali na nią mętnym wzrokiem.

- Tak sobie tylko myślałem...

- Naprawdę? A o czym?

- Jak się stąd wydostać.

Jego stanowczość i odwaga sprawiły, że wreszcie się uśmiechnęła. I to bynajmniej nie tylko, żeby dodać chłopcu otuchy.

- Wiesz co? Myślałam dokładnie o tym samym.

Skinął poważnie głową. Jego oczy w niczym nie przypominały oczu dziecka. Wyglądała przez nie stara dusza, jakby powiedział Mulder.

- No więc - odezwał się Christian z lekkim drżeniem w głosie. - Czy będę mógł stąd wyjść?

To nie była tylko stanowczość. Nie tylko odwaga. W jego głosie dało się słyszeć strach.

Zmrużyła oczy.

- Coś cię przestraszyło?

Znow skinął głową.

- To, jak ten pan na mnie patrzył.

Skierowała kroki do nóg łóżka, żeby zerknąć na kartę choroby. Ale znalazła tam tylko pustą teczkę. Poczowała, jak serce zamiera jej w piersi.

- Jaki pan? - spytała.

Za odpowiedź wystarczyło spojrzenie chłopca. Scully odwróciła się, by ujrzeć podobną do widma postać w czerni - ojca Ybarre. Stał w korytarzu, przeglądając kartę choroby, której właśnie szukała.

Uśmiechnęła się uspokajająco do małego pacjenta i delikatnie uściśnęła jego ramię.

- Nie ma się czego bać, Christianie - powiedziała i ruszyła do administratora.

- Właśnie tego szukałam. - Skinieniem głowy wskazała trzymaną przez niego dokumentację.

Uśmiechała się, ale w jej głosie brzmiała żelazna stanowczość.

Na smutnej twarzy ojca Ybarry malowało się wymęczone współczucie. Takie, jakie towarzyszy nie tyle nadziei, ile beznadziejności.

- Dzień dobry, pani doktor - odpowiedział. - Chciałem zapoznać się z dokumentacją i, rzecz jasna, z wynikami nowych badań, jakie pani zleciła.

Zesztywniała. Arogancja administratora wykraczała poza wszelkie granice, wyznaczane przez profesjonalizm.

- To raczej nie należy do ojca kompetencji - odrzekła z lodowatą uprzejmością. - Jest to sprawa lekarza prowadzącego. Czyli w tym przypadku moja.

Kreskę przecinającą jego pomarszczoną twarz można było zakwalifikować jako uśmiech, ale Scully nie doszukała się w nim ani śladu sympatii czy współczucia.

- I owszem, pani doktor - odparł. - Do moich kompetencji należy upewnianie się, że wszyscy podlegli mi lekarze dokonują właściwych wyborów, w najlepszym interesie ich pacjentów... i mojego szpitala.

- Czy mogę zobaczyć wyniki? - Wyciągnęła po nie rękę.

Po chwili westchnął i wręczył jej dokumentację. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie zabrzmiał szczerzy żal. Ten pełen troski ton był niemal rodzicielski.

- Jesteśmy tu po to, by leczyć chorych, pani doktor, nie po to, by przedłużać cierpienia umierających. A już z pewnością nie po to, by pomnażać cierpienia dziecka. Czas na terapię minął. Teraz czas na opiekę, a od tego są inne placówki, które lepiej posłużą chłopcu.

Bezlitosne słowa przejęły ją dreszczem, nie mogła jednak podważyć racji księdza.

Przynajmniej nie z logicznego punktu widzenia.

Skinęła więc tylko głową.

- Rozumiem - wyszeptała miękko, po czym odwróciła się i poszła w swoją stronę, czując na plecach jego żalobne spojrzenie.

Zdaniem Dany, jak na księdza zbyt łatwo poddawał się żalobie. Zbyt szybko też pozwalał, żeby ktoś tak młody, jak Christian odszedł cicho w noc [dobrą6](#), jak pisał poeta. Człowiek wiary, który ustąpił przed twardą rzeczywistością nauk medycznych i szpitalnego budżetu.

Szła coraz szybciej, starając się nie wpaść na nikogo, żeby nie zwracać na siebie uwagi, choć płynące z oczu łzy niemal całkiem ją oślepiły.

Jej biuro było małym i ciemnym pomieszczeniem. Usiadła za biurkiem, włączyła lampkę i próbowała

skupić uwagę na dokumentacji zabranej ojcu Ybarze. Napływające do oczu łzy, wciąż nie pozwalały jej niczego dojrzeć. Poddała się smutkowi i, ciężko oddychając, próbowała zdusić wstrząsające ją łkania.

Po omacku sięgnęła po stojący na biurku pojemnik z chusteczkami higienicznymi, okazał

się pusty. Sięgnęła do stojącej na podłodze torby podróżnej. Otworzyła ją i zaczęła szukać chusteczek. Wyjęła jakieś teczki, żeby nie przeszkadzały jej w poszukiwaniach. Odłożyła je na biurko.

Znalazła wreszcie chusteczki. Wytarła oczy i wydmuchała nos. Wzięła się w garść.

Oddech jej się uspokoił, znów wyglądała na chłodną profesjonalistkę. Spojrzała na biurko w poszukiwaniu interesujących ją wyników. Dokumentacja Christiana znajdowała się teraz pod otrzymanymi od Muldera aktami FBI. To właśnie te teczki wyjęła po omacku z torby, szukając chusteczek.

Wpatrywała się w znajomy symbol FBI. Podniosła teczki, tylko po to, żeby je odsunąć...

Otworzyła je. Zaczęła przeglądać materiały, myśleć...

## **Pływalnia Somerset**

### **Somerset, Wirginia**

#### **10 stycznia**

Kryty basen funkcjonował tu od dziesięcioleci. Stare, pokryte kafelkami ściany oglądały 6 Nawiazanie do wiersza Dylana Thomasa (przyp. tłum.).

wiele pokoleń dzieciaków, które tu przychodziły. Sufitowe reflektory niesamowitymi odblaskami oświetlały wciąż nowych amatorów kąpieli. Bywalcy często odkrywali, że tutejszy mikroklimat wprawia ich w spokojny, niemal medytacyjny nastrój, tak jakby stara pływalnia była innym światem i jakby pływając tam, człowiek wślizgiwał się do innego wymiaru... może nawet w przeszłość.

Kilka osób korzystało z popołudniowych darmowych godzin. Należała do nich Cheryl Cunningham, atrakcyjna młoda programistka z Somerset. Siedziała teraz na krawędzi basenu w jednoczęściowym kostiumie koloru fuksji.

Trzydziestoczteroletnia Cheryl była szczupła i wysportowana. Jasne włosy zaczesła w opadający na plecy koński ogon. Pływanie było jej ulubionym sportem. Woląa go uprawiać poza godzinami największego ruchu - tak jak teraz. Rozbrzmiewający echem nielicznych głosów stary kryty basen wydawał się jej prywatnym azylem. Taka samotność dziwnie dodawała otuchy. Było tu jak w kościele, do którego wchodzi się po drodze, by pomodlić się przez chwilę w ciszy.

Cheryl wśliznęła się do wody, zanurkowała i popłynęła. Przepłynęła jedną długość basenu i dotarła do brzegu, by wziąć deskę do pływania. Bransoletka medyczna uderzyła o brzeg basenu.

Dziewczyna zabrała deskę i popłynęła dalej.

Cheryl nie wiedziała, że ktoś się jej przygląda. Obdarzony grubo ciosanymi rysami twarzy muskularny mężczyzna pływał po równoległym torze, tyle że pod wodą. Jego długie ciemne włosy unosiły się w niej na podobieństwo wodorostów. Kiedy wreszcie wypłynął na powierzchnię, nadal śledził Cheryl nabiegłymi krwią oczami. Nadal tego nie widziała. Zresztą tak atrakcyjna blondynka, jak Cheryl, nie byłaby zaskoczona zainteresowaniem pływającego obok mężczyzny.

Tyle że ten pływak wpatrywał się w nią z jakąś chorobliwą intensywnością. A gdyby przyjrzała się lepiej mężczyźnie o grubo ciosanej twarzy i włosach w strąkach - tak jak zrobiła to niedawno inna młoda kobieta - mogłaby pomyśleć o nim: „Rasputin”.

Jednak wcale go nie dostrzegła.

Czterdzieści pięć minut później Cheryl opuściła pływalnię i wyszła na przylegający do budynku ośnieżony parking. Wysokie muldy odgarniętego śniegu wznosiły się niczym mury fortecy wokół kilku pozostałych samochodów. Dziewczyna nadal nie wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Prawdę powiedziawszy, czuła się osamotniona, ale ta samotność szarego, pochmurnego popołudnia całkiem jej odpowiadała. Mimo chłodu i tego, że dopiero co wyszła z wody, było jej ciepło. Otulona w fioletową parkę, w golfie, dżinsach, rękawicach i śniegowcach była gotowa na wszystko, co mogła szykować zima.

Otworzyła bagażnik stareńkiego kompaktowego subaru, wrzuciła do środka torbę gimnastyczną, po czym obeszła samochód i usiadła za kierownicą. Uruchomiła silnik. Zaskoczył

od razu; Bogu dzięki, był w dobrym stanie. Z tyłu stary pikap z pługiem skończył odśnieżać parking i wyjechał na drogę. Jego przerośnięte opony hałasowały na śniegu, kiedy ją mijał, nim wycofała się z miejsca na parking. Poczekała, aż odjedzie, włączyła radio i wkrótce potem wyjechała na ośnieżoną wiejską drogą, prowadzącą do domu.

Znów zaczął padać śnieg. Z nieba sfruwały ogromne białe płatki. Mój Boże, co za zima, pomyślała Cheryl. Co za dużo, to niezdrowo! Tymczasem śnieżycą coraz bardziej się wznagała, ograniczając widoczność. Wycieraczki odgarniały śnieg z przedniej szyby do rytmu *It's my life* w wykonaniu Gwen Stefani. Cheryl śpiewała razem z nią, ale bez specjalnego zaangażowania.

Nuciła pod nosem, próbując dostrzec cokolwiek przez zasłonę coraz mocniej padającego śniegu.

Przed sobą ujrzała czerwień tylnych świateł jakiegoś pojazdu.

Dobra nasza, pomyślała. Podczepię się pod ten samochód i jakoś dojadę do domu.

Przyjrzała się lepiej pojazdowi i stwierdziła, że to stary pług, który sprzątał śnieg na parkingu. O nie, za nim nie chciała się wlec. Krowiasta maszyna odśnieżała prawe pobocze. W

tej zamieci trudno będzie ją wyprzedzić.

Cheryl zbliżyła się ostrożnie do przysadzistego pojazdu, zdecydowała, że ma wystarczająco dużo

miejsca, by wyprzedzić go po lewej i wprowadziła subaru na lewy pas, nieco tylko przyspieszając.

Ale kiedy zaczęła manewr wyprzedzania, monstrualny wehikuł zjechał w jej stronę.

Kierowca chyba jej nie zauważył! Jej maleńki samochodzik spanikował tak jak ona i najechał na oblodzony fragment jezdni. Cheryl straciła panowanie nad pojazdem i subaru uderzyło w bok pługa.

Odbiła się od niego niczym kulka we fliperze. Wyszła z poślizgu, ale nie jechała już po drodze. Koła samochodu przebijały się przez muldę na poboczu. Auto stanęło po poboczu i wbiło się w zaspę. Z sykiem otworzyła się poduszka powietrzna.

Wciąż przytomna, choć trochę oszołomiona, Cheryl z trudem zdała sobie sprawę, że jej przejazd wywołał mikroskopijną burzę śnieżną. Nie wiedziała nawet, że zakopała się swoim samochodzikiem aż po okna. Z trudem łapiąc oddech, przechyliła się przez siedzenie dla pasażera i wyjrzała przez okno. Pług się zatrzymał. Widziała, jak kierowca wysiada z kabiny. Brnął przez śnieg w jej kierunku - maleńka sylwetka ledwie widoczna w śnieżnej bieli.

Jej wybawca niósł coś przerzuconego przez ramię. Wyglądało to jak złożony kawał

ciemnego brezentu. Sam mężczyzna był dość wysoki. Miał na sobie płaszcz z płótna żaglowego, czarne dzinsy i śniegowce. Włosy miał długie, czarne, twarz beznamietną, o ostrych rysach, niczym Apacz. Wreszcie znalazł się przy oknie od strony pasażera. Nachylił się, by popatrzeć na uwięzioną wewnątrz dziewczynę.

Cheryl tymczasem uwolniła się już spod poduszki, z której zeszło powietrze.

- Hej! - zawołała przez szybę. - Boże, tak się cieszę, że pana widzę! Chyba nic mi nie jest...

Nagle niespodzianka... Mężczyzna odsunął się od okna i... Co jest, do ciężkiej cholery?!

Wskoczył na maskę subaru i ciężkim krokiem przeszedł się po metalowej powierzchni, ugniatając ją pod stopami. Po co, u diabła, to robił?

Skoczył w śnieg po stronie kierowcy. Przed oczami mignęły jej jego nagie dłonie... Bez rękawiczek w taką pogodę? Ujrzała szeroką szramę na prawej dłoni. Obie dłonie pokrywały pęcherze... Mnóstwo pęcherzy.

Była nieprzytomna? Miała halucynacje?

Jego twarz pojawiła się tuż przy oknie. Wpatrywał się w nią przeraźliwie pustym, okropnym wzrokiem. Z nabiegłych krwią oczu wyglądało szaleństwo. Ciemne, przetłuszczone włosy zwieszały się do ramion.

Rasputin! - pomyślała.

Kiedy okno rozprysło się na kawałki, krzyknęła. Nikt jej nie słyszał. Krzyczała, kiedy stawiała mu czoło, ale nikt tego nie widział. Śnieg padał coraz mocniej. Nikt nie był na tyle głupi, by wyjeżdżać

gdziekolwiek w taką pogodę. Nie było nikogo, kto usłyszałby krzyki albo chodzący na jałowym biegu silnik pług. Albo zobaczyłby, jak kierowca wraca do swego pojazdu, ciągnąc coś po ziemi.

Coś owiniętego czarnym brezentem.

Coś rozmiaru i kształtu Cheryl Cunningham.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **10 stycznia**

Fox Mulder usiadł na łóżku, był rozebrany do pasa.

Obok niego leżała ubrana w fioletową jedwabną piżamę Dana Scully. Była odwrócona plecami, ale i tak wiedział, że oczy miała otwarte.

Wiedział, że coś się stało w szpitalu. Kiedy wróciła do domu, nadal targały nią emocje.

Znał ją jednak zbyt dobrze, by próbować coś z niej wyciągnąć. Musiała mieć czas, żeby to sobie przemyśleć.

Ale wieczór zmienił się w noc, a ona wciąż milczała, leżąc w ciemności ich wspólnej sypialni. Nie mógł tego znieść. Musiał coś powiedzieć. Jakoś jej pomóc.

- Coś cię gryzie - odezwał się łagodnie.

- Przepraszam. Nie mogę zasnąć - odparła, nie odwracając się.

- Może znajdę odrobinę czegoś na sen.

Teraz odwróciła się wreszcie z uśmiechem. Włosy miała kusząco rozczochrane i uśmiech też jakiś taki... zaspiany.

- Tylko odrobinę?

Pogłodził ją po włosach.

- W czym problem?

- W niczym. Nie ma problemu.

- Scully...

Westchnęła z rezygnacją.

- Mam pacjenta. Małego chłopca z rzadkim schorzeniem mózgu. Jest bardzo chory.

Przyjrzał się jej badawczo.

- To cię dręczy od jakiegoś czasu, prawda? Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Pokręciła wolno głową.

- Sądziłam, że panuję nad sytuacją. Myślałam, że mogę coś zrobić.

- A nie możesz?

Oparła się na łokciu.

- Istnieją pewne radykalne formy terapii... tyle że nikt nie chce nawet o tym wspominać.

Specjaliści mówią, że nie można niczego zrobić.

- Niczego?

- Można tylko pozwolić mu umrzeć. A to nie wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem.

Uśmiechnął się lekko.

- Fakt.

- No i widzisz... - wzruszyła ramionami. - Leżę tu i wyklinam Boga za jego okrucieństwo.

- Doprawdy? I myślisz, że on też nie może przez to spać?

Scully zapatrzyła się w ciemność ponad ramieniem Muldera.

- Po co sprowadzać na świat dziecko, jeśli czeka je tylko cierpienie? Nie wiem, dlaczego tak jest, ale czuję więź z tym chłopcem. Jest taki otwarty. Tyle z siebie daje...

Mulder pokiwał głową.

- Ile ma lat? - spytał.

- Sześć. Prawie siedem.

Widział ból na jej ślicznej twarzy i wiedział, skąd się wziął. Skąd naprawdę pochodzi. Ale czy powinien jej o tym przypominać?

- Mulder?

- Co takiego?

- Myślisz, że to przez Williama.

Williama. Ich syna. Kiedy dla Scully nastały szczególnie niebezpieczne czasy - kiedy rozdzielono ją z Mulderem - ich dziecko zostało oddane do adopcji. Ale mimo ogromnego żalu, tego nie dało się

cofnąć.

- Sądzę, że William pozostawił w nas obojgu pustkę, której nie można wypełnić -

powiedział łagodnie.

Pokręciła głową.

- Miałam już wcześniej do czynienia z chorymi dziećmi. Zawsze potrafiłam oddzielić swoje uczucia od tego, czemu musieli stawić czoło pacjenci. Nie wiem, dlaczego nie potrafię tego zrobić teraz... W tym przypadku... - Westchnęła i znów odwróciła się od niego, zwiijając się niemal do pozycji embrionalnej. - Teraz, kiedy niczego więcej nie można zrobić - dokończyła.

- Wiesz co? - odezwał się, dotykając jej ramienia. - Idź spać, a ja zrobię to za ciebie.

- Co takiego zrobisz?

- Powyklinam trochę Boga.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Jej uśmiech był pełen miłości. Mulder pocałował ją w policzek.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

Znów ją pocałował. Tym razem w usta.

- Au. Drapiesz! - zaprotestowała.

A potem zamknęła oczy. Przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy tylko on uważa, że pocałunek - drapiący czy nie - mógł przerodzić się w coś innego. Ale wyglądało na to, że Scully wreszcie zasnęła, więc on też zaczął szykować się do snu. Już przysypiał, gdy odezwała się znowu, mamrocząc pod nosem:

- Och, było coś jeszcze...

- Coś? - podjął.

- Coś dziwnego w raporcie toksykologicznym, dotyczącym tej uciętej kończyny.

W jednej chwili całkiem się rozbudził. Uniósł się na łokciu.

- Co takiego?

- Przyjrzałam się raportom FBI. W tkance odkryto ślady specyfiku podawanego zazwyczaj pacjentom poddawanych radioterapii. I śladowe ilości acepromazyny.

- Dlaczego to takie dziwne?

- Ponieważ acepromazyna to środek uspokajający, stosowany w weterynarii.



Sądząc po głosie, Scully niemal już zasypiała, jednak Mulder usiadł na łóżku.

- Teraz to ja nie mogę zasnąć - oznajmił.

Po czym wstał i wyszedł z sypialni.

- Mulder...? - zawołała za nim Scully.

Był już w łazience. Ochlapał sobie twarz wodą z umywalki i w lustrze ujrzał stojącą za jego plecami Scully.

- Mulder... co ty wyprawiasz? - spytała, zawiązując szlafrok.

- Skąd się wziął środek uspokajający dla zwierząt w próbce tkanki, pobranej z odciętej ludzkiej ręki?  
- odpowiedział pytaniem na pytanie.

Wzruszyła ramionami i przewróciła oczami.

- Nawet nie próbuję się domyślać.

- Powiedział, że słyszał szczekające psy.

- Kto?

- Ojciec Joe.

Mulder otworzył szafkę. Wyjął z niej maszynkę do golenia i puszkę kremu. Kiedy zamknął drzwiczki, znów ujrzał w lustrze Scully, Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Mulder... co ty wyprawiasz?

Wycisnął krem do golenia na dłoń i zaczął nakładać go na twarz.

- Czy ten środek uspokajający to coś, co podaje się psom?

Nie odpowiedziała mu wprost.

- Ten cały ojciec Joe to ściemniacz. Bierze te swoje wizje nie wiadomo skąd, a ty starasz się je połączyć w jakąś logiczną całość. To zwykła cyrkowa sztuczka. „Pokaż mi swoje prawo jazdy, a powiem ci, kim jesteś” - kpiła.

- Kiedy widzę, jak ktoś stoi na śniegu i płacze krwawymi łzami - odparował, nakładając na twarz więcej kremu - w dodatku na miejscu przestępstwa, które rozpoznał, choć nigdy wcześniej tam nie był... to zaryzykuję stwierdzenie, że to chyba nie jest cyrkowa sztuczka.

Wiesz, o czym mówię?

Zmrużyła oczy i spojrzała na niego z ukosa.

- Krwawymi łzami?

- Dokładnie. Niby jak to zrobił?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jak. Nie wiem, czy to nie symptom jakiejś choroby lub wynik życia w skrajnej deprawacji. Zważywszy na okoliczności, obie hipotezy uważam za rozsądne. Wiem jedno. Istnieją granice, po których przekroczeniu nawet obsesja nie powstrzyma tego, co nieuchronne.

Nie był w nastroju do wysłuchiwanie kazań. Zaczął się golić.

- Czy nie to właśnie usiłowałeś mi powiedzieć? - powiedziała łagodnie.

Właściwie niemal jej powiedział, że próbuje ocalić tego chorego chłopca, by w jakiś sposób odzyskać Williama. A teraz ona zasugerowała, że próbuje uratować zaginioną agentkę FBI, aby „odnaleźć” swoją siostrę.

Mógł się wściec. Mógł powiedzieć, że to gówna prawda.

- Tu nie chodzi o obsesję - stwierdził zamiast tego.

Twarz Scully w lustrze nosiła ślady wyczerpania. Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć coś jeszcze, czy całkiem zamilknąć.

Mulder przerwał na chwilę golenie, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią - nie w lustrze, a bezpośrednio.

- Moja siostra umarła - przypomniał. - Ta agentka wciąż żyje.

Scully pokręciła tylko głową.

- Nie sędzę, żeby żyła, Mulder. I nie sędzę, byśmy mogli cokolwiek z tym zrobić.

Odwrócił się do lustra i popatrzył na jej odbicie.

- Myślę, że się mylisz.

Westchnęła. Pokręciła głową. Była zbyt zmęczona, by się o to spierać. Odwróciła się i wyszła z łazienki, zostawiając Muldera z jego odbiciem i z wolną znikającą brodą.

Położyła się do łóżka. Czowała się bardzo samotna. Leżała w ciszy, walcząc z frustracją.

Wiedziała, że sama to wszystko sprowokowała, namawiając Muldera, by się zaangażował w tę sprawę. Zastanawiała się, czy w ogóle usnie, kiedy - jak na zawołanie - zadzwoniła jej komórka.

Usiadła na łóżku i zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie położyła to cholerstwo.

Wreszcie wstała i, podążając za dźwiękiem, znalazła telefon na toalecie.

- Halo - odezwała się z wahaniem. Niewiele osób znało ten numer.

- Dana Scully? - rozbrzmiał po drugiej stronie nieznany męski głos.

- Tak? - powiedziała, czując, jak przyśpiesza jej puls. Czyżby złe wieści ze szpitala o stanie zdrowia Christiana?

- Łączę z Dakotą Whitney.

Scully usłyszała w tle silnik samochodu. Zorientowała się, że Whitney dzwoni ze służbowego forda.

- Przepraszam, że dzwonię do pani o takiej godzinie - mówiła Whitney. Głos drżał nieco, gdy samochód podskakiwał na wybojach.

- Próbuję skontaktować się z Foksem Mulderem.

Mulder stanął w drzwiach sypialni - nagi do pasa, ocierając piankę z gładko ogolonej twarzy.

- Kto dzwoni? - spytał.

- Nastąpił przełom w śledztwie? - zagadnęła Scully rozmówczynię.

Mulder podszedł do Scully.

- Znaleźli ją? - spytał.

- Podążamy nowym tronem - mówiła Whitney.

- Z innego źródła? - spytała Scully.

- To samo źródło. Nowe wieści.

Scully zamknęła oczy, walcząc z rosnącą frustracją. Słyszała w tle głos ojca Joego.

„Tutaj... skróćcie tutaj!”, krzyczał. „To tu... to tu!”

Stojący obok Mulder wyglądał jak młodsza wersja samego siebie. Ze świeżo ogoloną twarzą i poważnymi oczami sprawiał wrażenie dziesięciolatka.

- To do ciebie - oznajmiła Scully, podając mu telefon.

6

**Gdzieś w Wirginii**

**11 stycznia**

Świt miał nadejść dopiero za parę godzin, było jeszcze dość ciemno. Mimo tego Dana Scully za kierownicą taurusa i z Mulderem w roli pilota bez trudu dogoniła ekipę FBI. Mulder rozpoznawał zasypane śniegiem wiejskie drogi. Poprzedniego ranka jechał tędy wraz z Whitney, Drummym i ojcem Joem.

Nocny zimowy krajobraz, choć niewątpliwie piękny i jedyny w swoim rodzaju, miał w sobie coś złowieszczonego. Jeszcze zanim Scully i Mulder zauważyli dwa zaparkowane na poboczu czarne auta, dostrzegli latarki przecinające mrok. Ogniki nie z tego świata.

Scully zaparkowała za fordem, stojącym samotnie na spowitej światłem księżyca równinie, przeciętej wstęgą asfaltu. Wsiadła pierwsza, ubrana w brązowy płaszcz i w naciągnięte na dzinsy buty z owczej skóry. Szybko podeszła do odzianej w ocieplaną służbową kurtkę Whitney. Stojąca nieopodal samochodu agentka nie wyglądała na zadowoloną.

- Znaleźliście ją? Czy ona...? - dopytywała się zaniepokojona Scully.

Whitney nie odpowiedziała od razu. Spojrzenie lodowato błękitnych oczu ominęło Scully.

Była agentka obejrzała się i dostrzegła zbliżającego się Muldera. Spojrzała na zastępcę naczelnika. Whitney zdawała się nie poznawać gładko ogolonego mężczyzny. Wreszcie uśmiechnęła się na powitanie nowej wersji Muldera.

Ten przejaw kobiecości nie umknął uwadze Scully. Nieco poirytowana ustawiła Whitney do pionu.

- Znaleźliście ją? - powtórzyła.

- Nie - odparła agentka.

Mulder i Scully wymienili pełne ulgi spojrzenia. Scully wiedziała, że szanse odnalezienia zaginionej agentki są niewielkie. Tak jak reszta ekipy, miała jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Mówiłaś przez telefon - Scully przypomniała Whitney - że masz nowe informacje?

Whitney westchnęła i uśmiechnęła się krzywo.

- Obawiam się, że nasz ulubiony jasnowidz doprowadził nas dokładnie w to samo miejsce, gdzie przedtem. - Pokręciła głową. - Przykro mi, fałszywy alarm. Skoro jednak już tu jesteście...

Scully najchętniej odwróciłaby się na pięcie i wsiadła do samochodu, Mulder jednak już sadił susami przez zasypane śniegiem pole i pędził w kierunku przecinających mrok latarek.

Lekko zmarszczyła brwi i ruszyła za nim. Whitney poszła w jej ślady.

Snopy światła z latarek smagały teraz ziemię. Kilku agentów w służbowych kurtkach przedzierało się przez równinę. Brnęli przez zasy powiększone o popołudniowe opady śniegu.

Mozolnie posuwającemu się batalionowi przewodził ojciec Joe Crissman. Stał właśnie twarzą w

twarz ze wzburzonym Drummym.

Ciemnoskóry agent oddychał ciężko. Nie z wysiłku. Scully obstawiała, że raczej ze złości.

Para buchała mu z ust niczym z komina lokomotywy.

Prawdziwy dym unosił się z ust byłego księdza, który palił papierosa. Powłócząca nogami nieogolona postać przypominała szukającego schronienia bezdomnego, nie jasnowidza stojącego na czele federalnej ekipy poszukiwawczej.

- Nie przestawajcie - przekonywał Drummy'ego - W końcu to znajdziecie. - Duchowny sam wyglądał na sfrustrowanego.

- W kółko to powtarzasz - uciał Drummy. - Znajdziemy co? Gdzie?

Crissman zaciągnął się papierosem. Wstrzymał dym w płucach i wypuścił.

- Znajdziecie zwłoki.

Nozdrza Drummy'ego się rozszerzyły, a oczy zapłonęły gniewem.

- Przecież wciąż gadasz, że ona żyje!

- Bo żyje. - Ojciec Joe skinał czupryną przypominającą gniazdo węży.

Drummy wyrzucił w górę ramiona i pokręcił głową. Spojrzał na zbliżających się Muldera, Scully i Whitney. Poddaję się! - mówił całym sobą.

Scully nie miała mu tego za złe. Jej zdaniem teatrzyk ojca Joego niczego nie wnosił. Nie widziała nic nadprzyrodzonego ani w jego zachowaniu, ani w postawie. Pracując w Archiwum X, miała styczność z wieloma osobnikami, którzy ostatecznie przekonali ją, by poważnie traktowała zjawiska paranormalne. Szopka ojca Joego nie należała do przekonujących.

- Można tak całą noc, do samego świtu - stwierdził Drummy, znów kręcąc głową.

Whitney rozważała słowa agenta.

On tymczasem wskazał na poszukiwaczy. Z latarkami wymierzonymi w śnieg wyglądali, jak myśliwi szukający wiatru w polu.

- Ludzie ledwie żyją - zauważył.

Whitney wzięła głęboki wdech i wypuściła szary obłok.

- Odwołaj ich - poleciła Drummy'emu. - Czas wyciągnąć wtyczkę.

Drummy zbyt długo pracował w zawodzie, żeby się na to uśmiechnąć, ale Scully widziała, że ledwie

się powstrzymał. Ponury agent uniósł do ust dwa palce, zagwizdał przesywając i ruszył w stronę zaparkowanych przy drodze samochodów. Reszta agentów poszła w jego ślady.

Whitney spojrzała przepaszająco na Scully.

- Zrozumiem, jeśli jesteś wkurzona.

- Nie szkodzi.

- Naprawdę. Przepraszam, że was wyciągnęłam. - Whitney ruszyła za grupą agentów.

Scully została sama z Mulderem i ojcem Joem. Chciała wymownym spojrzeniem dać Mulderowi do zrozumienia, że też powinni się ruszyć. Ale jej partner przyglądał się wpatrzonemu w ciemną śnieżną dal ojcu Joemu.

- Co ojciec widzi? - zapytał cicho.

Scully jęknęła w głębi duszy.

Były ksiądz pokręcił głową. Zamknął oczy.

Słowo daję, myślała, gorszego telepaty w życiu nie widziałam...

- Widzę twarz - zaczął były duchowny. Nie otwierał oczu. - Widzę oczy... wpatrują się...

- Kto to? Czyje to oczy? - naciskał Mulder. Głos lekko drżał mu z podniecenia.

Crissman pokręcił głową. Oczy nadal miał zamknięte.

- Widzę niewyraźnie... Jakby przez brudną szybę.

Scully patrzyła na Muldera z niedowierzaniem. Chyba tego nie kupił?

- To gdzieś tam - ciągnął duchowny. - Ja to wiem. - Poruszył głową, jakby próbując zapewnić sobie lepszy widok. Tyle że nic nie widział, chyba że jego wzrok potrafił przenikać przez zamknięte powieki.

I nagle jego oczy otworzyły się szeroko.

Scully niemal podskoczyła. Tani efekt, pomyślała po chwili. Ojciec Joe ruszył marszem, na poły jak w transie, na poły jak pies, który podjął trop. Ubrany za lekko na mróz, w tweedowej kurtce i lnianych spodniach, potykał się, jednak szedł wprost przed siebie. Najwyraźniej zmierzał

do majaczącego w oddali, wystającego z ziemi głazu.

Mulder przez kilka chwil podążał za nim wzrokiem.

- O co mu chodzi? - wymamrotał - Przez brudną szybę?

Po czym ruszył za księdzem.

Scully z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Mulder... Mulder!

- Co? - zapytał, jakby oszołomiony, nawet się na nią nie oglądając.

- Stój. Stój!

Nie zatrzymał się. Po prostu kroczył przez śnieg za księdzem.

- Jezu, Mulder... jest pierwsza nad ranem. - Scully brnęła po jego śladach.

- Możesz się poddać, jak wszyscy inni.

- Już się tym nie zajmuję...

Spojrzał na nią przez ramię.

- Prawda. To moja praca. Ale to ty robiłaś za pośredniak.

Dogoniła go i położyła dłoń na rękawie jego płaszcza. Chciała go zatrzymać. Odwrócił do niej pozbawioną wyrazu twarz. Jak bardzo potrafiła kochać te jego dziecinne rysy! Jak bardzo potrafiły ją frustrować...

- Masz rację - przyznała szczerze, niemal błagalnym głosem. - To moja wina.

- Twoja wina? Co masz na myśli? - Niemal się uśmiechnął.

- Ja cię w to wciągnęłam. - Machnęła ręką. - Myślałam, że dobrze ci to zrobi. Wyjdiesz z tego swojego biura i wrócisz na łono świata.

Lekko skinął głową.

- Miałaś rację.

- Niby tak - pokręciła głową, wpatrując się w niego tęsknie. - Ale to ci wcale dobrze nie zrobiło.

Zmrużył lekko oczy. Nie pojmował, o co jej chodzi, chociaż bardzo się starał. A ona nie potrafiła właściwie dobrać słów.

- Uważasz, że ojciec Joe to oszust. Gardzisz nim za to, kim jest czy też kim był.

Rozumiem. Ale, Scully... Ja wierzę temu człowiekowi.

- Chcesz mu wierzyć, Mulder - powiedziała najdelikatniej, jak tylko potrafiła.

Odsunął się od niej. Wyjął rękę z jej uścisku.

- Tu nie chodzi o zaginioną agentkę FBI, Mulder. Chodzi o to, co zawsze. O ratowanie twojej siostry
- wypaliła Scully, czując wzbierającą desperację.

Znowu spojrzął na nią tępo.

- Moja siostra nie żyje.

- Owszem. Ale to nigdy nie powstrzymywało cię przed poszukiwaniami.

Mulder się odwrócił. Wzrokiem śledził ojca Joego.

- Tyle lat to z tobą przerabiałam. Wierzyłeś, że ją uratujesz. Nie uratujesz jej, Mulder. Ani teraz, ani nigdy - stwierdziła Scully, dając ujście emocjom.

Może i zwróciła na siebie jego uwagę, ale w oczach Muldera widziała rozgoryczenie.

- Mówię poważnie. - Jej ton kreślił między nimi niemal fizyczną granicę. Niczym linię na śniegu. - Nie zrobię tego więcej. Nie będę patrzyła, jak karzesz siebie za coś, czego nie możesz ani naprawić, ani zmienić.

Patrzył na nią z tym rodzajem pogardy, jakim potrafimy obdarzać tylko najbliższych. Była stanowcza i oboje wiedzieli, że to, co zaraz powie, nie pozostanie bez echa. Takich słów nie da się cofnąć. Nigdy.

- W takim razie nie patrz - skwitował.

Po czym przeniósł wzrok ze Scully na Whitney, Drummy'ego i pozostałych. Federalni byli w połowie drogi do samochodów. Gwizdnął wcale nie ciszej niż Drummy chwilę temu. Twarze agentów odwróciły się w ich kierunku.

- Zaczekajcie - krzyknął Mulder. - Potrzebuję tu ekipy.

Przemarznęte do szpiku kości istoty, niewątpliwie ucieszone z perspektywy powrotu do domów, stały i patrzyły na Muldera z niedowierzaniem. Wszystkie oczy zwróciły się na dowodzącą - Whitney. Do niej należy ostatnie słowo.

Mulder nie czekał na odpowiedź. Pomaszerował za ojcem Joem.

- Co robisz? - zagaiła Scully, ledwie dotrzymując mu kroku.

- Próbuję cię ignorować.

- Bo mam rację.

- I kto tu ma obsesję? - spytał retorycznie, przewracając oczami.



Wymieniali stanowcze i szorstkie słowa, lecz wciąż byli parą. Spierali się tak, jak potrafi tylko dwoje ludzi, którzy są ze sobą od zawsze.

Szybko zrównali się z ojcem Joem. To, co z daleka wyglądało na głaz, z bliska okazało się stromą granitową ścianą z błękitnym zamrożonym wodospadem, oszałamiająco pięknym w środku tego surowego zimowego krajobrazu.

Ojciec Joe zmierzał w kierunku podnóża wodospadu. Posuwał się powoli, z wyciągniętymi przed siebie rękami, by raptownie się zatrzymać.

Odwrócił się do Muldera i Scully.

- To tu - oznajmił. - To gdzieś tutaj...

Padł na kolana, jakby chciał się pomodlić. Zamiast tego zaczął kopać w śniegu.

Mulder podszedł do klęczącego mężczyzny. On też rzucił się na kolana i gorączkowo rozkopywał głęboki biały puch.

Scully stała obok i tylko się przyglądała. Zastanawiała się, czy obaj powariowali.

Uważała, że były ksiądz odstawia jakiś lipny teatrzyk i Mulder, który przez te wszystkie lata powinien był się czegoś nauczyć, dał się w to wciągnąć. Klęczał na śniegu i łykał wszystko jak młody pelikan...

Usłyszała głośne narzekania i skrzypienie śniegu pod stopami. Whitney zawróciła ekipę i przyprowadziła ich do jasnowidza i konsultanta - legendy z Archiwum X.

Dwaj mężczyźni wciąż kopali pod wodospadem. Młócili śnieg z zapalem, jak na razie zupełnie nieproporcjonalnym do rezultatów. Wokół zebrała się ekipa federalnych. Agenci przyglądali się temu dziwacznemu, wręcz żalostnemu widowisku.

Mulder spojrział przez ramię na tłum gapiów.

- Zapraszam do nas - zagaił. - Potrzebujemy tu łopat.

Następnie stanął na nogi i podniósł ojca Joego. Były duchowny wyglądał na oszołomionego. Mulder odsunął go i gestem przywołał agentów. Niczym uczniowie liczący, że nauczyciel jednak nie zrobi kartkówki, z nadzieją spojrzeli na zastępcę naczelnika. Zawiedli się.

Z samochodów przyniesiono łopaty. Agenci zabrali się do pracy i zaczęli odrzucać śnieg z podstawy wodospadu. Znaleźli dokładnie to samo co Mulder i ojciec Joe - nic. Dokopali się do skorupy lodu, przez którą nie mogli się przebić.

Drummy, z łopatą w ręce, podszedł do Whitney.

- To lity lód.

- Nie - zaprzeczył Mulder.

Oczy wszystkich obecnych, nie wyłączając Scully, zwróciły się ku niemu.

- To brudna szyba - wyjaśnił.

Wziął od Drummy'ego latarkę i wszedł pomiędzy bliskich poddania się kopaczy. Nie odpuszczał. Mało tego, zdawał się pobudzony do działania. Promieniem latarki uparcie wodził po odsłoniętym lodzie.

Jego wzrok podążał za światłem.

- Tutaj! - zawołał wreszcie.

Na moment wszyscy zamarli, jakby ostatecznie pokonani przez zimę. Po krótkiej chwili cała grupa nagle odtajała i ruszyła do Muldera, który oświetlał lód odkopany spod warstw śniegu.

Wszyscy to zobaczyli. Scully również. Potworność.

Osadzona w lodzie odcięta głowa kobiety. Szeroko otwarte oczy patrzyły wprost na nich.

Wydawało się, że martwa kobieta ich obserwuje - tak jak oni obserwowali ją. Jakby przez brudną szybę...

- Czy to ona? - spytała Scully Drummy'ego. - Czy to agentka Bannan?

Drummy zmarszczył brwi.

- Możliwe. Nie jestem pewien.

Gruby lód zniekształcał rysy ofiary.

Mulder coś udowodnił. Jasnowidz gdzieś ich doprowadził. Scully wiedziała jednak, że nie był to żaden sukces. Przynajmniej nie dla Muldera. Widziała rozczarowanie w jego oczach.

- Będziecie potrzebować dodatkowego sprzętu - ponuro oznajmił pod adresem Whitney.

W jego głosie brzmiało zniechęcenie. Takie samo, jakie malowało się na twarzy agentki Whitney. Owszem, może to jest Monica Bannan.

Ale kto wie. Wszystko wskazuje na najgorsze...

Mimo zniechęcenia Whitney wzięła się do dzieła.

- Potrzebujemy sprzętu! Pił do betonu i koparki. Ściągnijcie mi tu jak najszybciej lekarzy sądowych - krzyczała.

Agenci już biegli ku czekającym samochodom. Mulder stał bez ruchu w samym środku zamieszania.

Scully chciała go pocieszyć, ale po wcześniejszej wymianie zdań nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Kiedy ruszył do jej samochodu, została na miejscu. Wiedziała, że chce być sam.

Podskoczyła, gdy zdała sobie sprawę, że obok niej stoi ojciec Joe.

Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem.

Milczała. Uniosła górną wargę, odsłaniając zęby. Była porządnie przerażona. Gdy pedofil zwrócił się do niej, przeszedł ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z mrozem.

- Nie poddawaj się - powiedział. Słowa zdawały się dobiegać z daleka.

Wciąż na nią patrzył. Wiedziała, że przynajmniej to nie jest gra. Nie widziała żadnej sztuczności w tych niezmrudzonych, najwyraźniej szczerych i bezinteresownych oczach.

Nie odpowiedziała.

Wstrząśnięta, odwróciła się i ruszyła marszem, który zaraz przerodził się w trucht. Chciała dogonić Muldera.

Dwa razy spojrzała przez ramię na księdza.

Stał tam na tle nieba, niewzruszony niczym żona Lota.

Nadał wpatrzony. W nią.

7

## **Gdzieś w Wirginii**

### **11 stycznia**

Wiejską drogę przecinającą zaśnieżony krajobraz pogoda zawężyła do pojedynczego pasa.

Pomiędzy północą a świtem wydawała się wyjątkowo odludna. Nim jakiś inny pojazd zaryzykuje podróż tym szlakiem może upłynąć nawet godzina. Dochodziła druga nad ranem. Stary pikap z ponadwymiarowymi oponami i stalowym lemieszem przymocowanym do maski toczył się z łoskotem drogą. Jak gruboskórna bestia, która nie przejmuje się takimi drobiazgami, jak paskudna pogoda.

Ten sam pikap wiele godzin wcześniej zepchnął małe auto z drogi w zaspę. Teraz podjeżdżał pod wzniesienie. Kierowca zatrzymał pojazd, nie zjeżdżając na bok - nie było nawet gdzie zjechać - i wysiadł z kabiny. W brezentowym płaszczu z podpinką, dżinsach i ciężkich butach nie mógł narzekać na zimno. Długie przetłuszczone włosy okalały toporną twarz. Twarz na tyle charakterystyczną że dwie kobiety, niemające ze sobą nic wspólnego, pomyślały na jego widok: „Rasputin”.

Oczywiście nie nazywał się Rasputin, choć był Rosjaninem. Nic sobie nie robił z mroźnej aury. Przeszedł na tył ciężarówki i przywłókł sporych rozmiarów plastikowy worek na śmieci.

Wcześniej zawinął młodą kobietę z samochodu w czarny brezent. Ten ładunek zawierał jednak coś innego, choć na pierwszy rzut oka ciężki plastikowy wór wydawał się wypełniony niepokojącymi kształtami, jakby jego właściciel spędził popołudnie, zbierając szczątki z jakiegoś pola bitwy.

Mimo trzaskającego mrozu włókł worek nieosłoniętymi rękami. Dłonie miał pokryte dziwnymi pęcherzami, a na jednej z nich widać było świeże rozcięcie. Przemierzał zasypy jednostajnym krokiem, bez wysiłku ciągnąc swój bagaż. Gdy dotarł do szczytu wzgórza, natychmiast zaczął się wycofywać.

Na dole ujrzał ekipę poszukiwawczą, w większości ubraną w czarne kurtki z jaskrawożółtymi emblematami FBI. Wśród zwróconej do niego plecami grupy znajdowali się byli agenci Fox Mulder i Dana Scully, choć Rosjanin oczywiście nie mógł tego wiedzieć. A nawet gdyby, to i tak nie miałyoby dla niego znaczenia. Na widok stróżów prawa zareagował

niemal dziecinnie. Zaklął po rosyjsku, kopnął śnieg i na znak niezadowolenia splunął w zaspę.

Gdyby ekipa federalnych wpadła na Rosjanina, sprawa najprawdopodobniej szybko posunęłaby się naprzód. Ale tak się nie stało. Nie zauważyli zwalistej, wzbudzającej lęk postaci.

Rosjanin zaklął jeszcze raz, odwrócił się i ruszył do ciężarówki, niczym złowrogi Święty Mikołaj ciągnąc za sobą ciężki plastikowy worek. Nikt nie widział, jak odjeżdża. Na zaśnieżonej drodze nie pojawił się żaden inny pojazd. Był sam wśród pustki spowitej w błękit światła księżyca.

Nikt nie usłyszał ryku silnika, odjeżdżającej w ciemność ciężarówki. Może oprócz ekipy FBI na wzgórzu, która uznała to za odległy, nic nieznaczący sygnał, że życie trwa nawet po zamieci, choć w tym akurat przypadku nie było to do końca prawdą.

Wkrótce potem pług zbliżył się do stalowej siatki. Płot ogradzał dziwaczną strukturę, na którą składały się cztery wysłużone przyczepy kempingowe, stojące jedna obok drugiej i dobudowane do nich prowizoryczne baraki ze sklejki. Całość wyglądała, jakby została naprędce sklecona przez ocalałych z apokalipsy. Wewnątrz czekały psy poruszone przyjazdem ciężarówki. Rosjanin wyskoczył z kabiny. Przypominający pomruk pumy odgłos silnika doprowadzał zwierzęta do szału. Mężczyzna szybko otworzył stalową bramę.

Gdzieś w środku Cheryl Cunningham próbowała określić granice swego przerażającego nowego świata. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła po przebudzeniu - a nie pamiętała dokładnie kiedy straciła przytomność - było to, że przebrano ją w coś białego. Zgadywała, że to szpitalna koszula. Z jej własnej garderoby zostawili tylko jej skarpetki.

Cheryl zamknięto w jakiejś drewnianej skrzyni - wystarczająco dużej, by mogła w niej stanąć. Jej miniaturową celę zbito z pachnącej świeżością sklejki. W ścianach wywiercono kilka okrągłych otworów, żeby miała trochę światła i świeżego powietrza. Gdy była małą dziewczynką, przebijała tak śrubokrętem aluminiowe wieczka słoików, w których trzymała robaczki świętojańskie.

Siedziała oparta bokiem o ścianę. Na głowie miała kołtun. W uszach dźwięczała jej kakofonia psiego ujadania. Pochyliła się do jednego z otworów, próbując zorientować się, gdzie jest. Nie miała zielonego pojęcia, dokąd ją zabrali. Oddychała ciężko, z szeroko otwartymi ze strachu oczami. Nie dostrzegła niczego, co mogłoby jej pomóc. Przesunęła się do innego otworu, przez który widziała klatki. Nie drewniane cele, takie jak jej, lecz zardzewiałe metalowe prostopadłościanny z kratami zamiast ścian. To w nich pozamykano psy. Zwierzęta ujadają wściekle, rozpryskując wokół ślinę.

Pitbulle.

Przesunęła się do następnego otworu. Za zasłoną z mlecznego plastiku, jaką można spotkać w rzeźniach, znajdowało się drugie jasno oświetlone pomieszczenie. Za grubą folią widziała pływające cienie postaci.

- Wypuście mnie stąd! - zawołała ochryplym głosem. Musiała tu być już od jakiegoś czasu. - Proszę! Wypuście mnie!

Jednak niewyraźne postacie za plastikową kotarą nie reagowały. Nie wiedziała, czy w ogóle ją słyszą.

- Zimno mi... Proszę...

Jakaś postać przecisnęła się przez plastikową kurtynę. Na początku Cheryl ujrzała tylko biały czepek chirurgiczny i szpitalny kitel, pod nim czarne spodnie i czarne buty. Wysoki, chudy mężczyzna podszedł bliżej. Oczom Cheryl ukazała się poorana bruzdami, wynędzniała twarz o wysoko zarysowanych kościach policzkowych, szeroko osadzonych oczach i orlim nosie. Był po sześćdziesiątce, ale miał uśmiech na twarzy.

Po raz pierwszy w tych beznadziejnych i dziwacznych okolicznościach dostrzegła iskierkę nadziei.

Młodszy mężczyzna, również w kitlu i czepku, prześliznął się przez plastikową ścianę i dołączył do wychudzonego lekarza. Rozmawiali ze sobą w nieznanym języku. Pomyślała, że to chyba rosyjski. Zerkali przy tym w jej stronę i pokazywali ją palcami.

Próbowała zwrócić na siebie uwagę tych dwóch, najpewniej lekarzy. Jednak okazało się, że dla rozmawiających równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

- Proszę! Wypuście mnie stąd!

Nic.

Wreszcie zza plastikowej ściany wyłoniła się kobieta, również ubrana w lekarski fartuch i czepek. Przyniosła koc. Wynędzniały lekarz wziął go od niej, skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie. Podszedł do skrzyni Cheryl i przyklęknął. Mówił, jakby rozmawiał z dzieckiem lub z którymś z psów, które zresztą trochę się uspokoiły.

Głos miał delikatny, wręcz pocieszający. Jednak słuchając rosyjskich słów, czuła tylko pustkę w głowie.

- Pomóż mi, proszę - błagała. Wpatrywała się w troskliwe oczy.

- Nie chcę umierać!

Powiedział coś jeszcze. Coś uprzejmego, ale zupełnie niezrozumiałego i zaczął wciskać koc w otwór nad jej głową - większy od tych okrągłych, przez które wyglądała. Ta większa dziura najprawdopodobniej służyła do podawania jedzenia.

- Proszę...

Wymizerowany lekarz powiedział coś pocieszającego, chyba znów po rosyjsku. Posłał jej uśmiech pocziwego doktora, wstał, odwrócił się i poszedł w kierunku plastikowej kurtyny, aby zniknąć w świetle za nią i na powrót stać się bezkształtnym cieniem.

Mężczyzna i kobieta w kitlach zostali po tej samej stronie zasłony co Cheryl. Podeszli do klatki. Słyszała, jak facet coś otwiera. Kobieta pomagała.

Czyżby ją wypuszczali?

- Nikomu nie powiem - obiecywała Cheryl. Chaotycznie wyrzucała z siebie słowa - Po prostu mnie puśćcie... nikt się nie dowie...

Nie otworzyli jednak celi, lecz uruchomili jakiś mechanizm, który umożliwił im przetoczenie całej skrzyni. Wytoczyli ją z psiarni. Zwierzęta całkiem się uspokoiły. Gdy minęło pierwsze przerażenie, Cheryl postanowiła skorzystać z nieoczekiwanej przejażdżki, by lepiej przyjrzeć się otoczeniu. Przyciskała oko do wywierconego otworu, niczym dzieciak podglądający mecz przez dziurę w płocie. Nawet wówczas nie ustawała w prośbach.

- Nie róbcie tego. Proszę, nie róbcie tego - błagała. - Wypuśćcie mnie, nie będę robić żadnych kłopotów. Przysięgam...

Przepychali ją właśnie przez plastikową kurtynę. Przez dziurę widziała sprzęt laboratoryjny i przyrządy pomiarowe. Do mierzenia... czego?

Skrzynia się zatrzymała.

Jakaś kobieta - kolejna lekarka czy pielęgniarka - obróciła skrzynię Cheryl. Choć psy przestały szczekać, jacyś ludzie przejęli pałeczkę. Trwała tu jakaś chaotyczna kłótnia w tym samym, obcym języku.

Cheryl przemieściła się do innego otworu. Nie zdziwił jej widok odrażającego typu z włosami w strąkach - tego samego, który ją porwał. Drab wrzeszczał na wymizerowanego lekarza, wyraźnie wściekły na staruszkę. Ten zaś po prostu stał i spokojnie przyjmował krzyki Rasputina.

Przesunęła się do kolejnego okrągłego otworu w poszukiwaniu lepszego widoku. Ujrzała coś, co zaparło jej dech w piersi. Tuż obok niej leżał mężczyzna!

Może to inny porwany, może pacjent... Leżał na szpitalnym łóżku, od brody po stopy przykryty prześcieradłem. Cheryl nigdy wcześniej go nie widziała, ale druga porwana, Monica Bannan, rozpoznałaby go bez trudu. Pacjent miał na prawym policzku szarpaną ranę zadaną motyką.

Cheryl wydawało się jednak, że mężczyzna może być potencjalnym sprzymierzeńcem.

Szorstkie rysy jego twarzy łagodziły jasne, niemal kobiece oczy.

Te oczy zwróciły się ku niej i odwzajemniły spojrzenie.

- Proszę... wypuść mnie... - wyszeptała. - Ja też ci pomogę.

Facet zatrzepotał powiekami. Miał długie rzęsy. Pewnie starał się dojrzeć Cheryl. Poruszał ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku.

- Wstań - wyszeptała. - Musisz wstać i mi pomóc...

Kłótnia w tle toczyła się bez ustanku. Była teraz pewna, że słyszy rosyjski. Starszy lekarz w końcu zaczął zdecydowanym, racjonalnym głosem odpowiadać bojowo nastawionemu Rasputinowi.

- Proszę - znów zwróciła się do mężczyzny na noszach. W jej oczach było to samo błaganie, co w tonie jej głosu.

Sąsiad próbował wstać. W każdym razie tak wydawało się Cheryl. Usiłował coś powiedzieć, ale nieważne jak bardzo się starał, nie potrafił wydobyć ani słowa. W pięknych oczach widziała cierpienie. Ból. Z całą pewnością on też był ofiarą.

A to oznaczało, że jej nie pomoże.

Czuła, jak do oczu napływają jej łzy, ale sąsiad ją uprzedził.

Twarz nad białym prześcieradłem wykrzywiła się w smutku. Mężczyzna się rozplakał.

Szlochał, a po policzkach spływały mu łzy, znaczące białą pościel czerwonymi kropkami.

Pacjent płakał krwią.

A Cheryl Cunningham, uprowadzona i stojąca twarzą w twarz z Bóg wie czym, odkryła, że po tym wszystkim - Rasputinie, walce, psach, klatce, tajemniczych lekarzach - jeszcze nie osiągnęła szczytu przerażenia.

**Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

**Richmond, Wirginia**

**11 stycznia**

Wokół stołu w sali konferencyjnej, kitle lekarzy mieszały się z garniturami i krawatami zarządców szpitala. Utrzymana w oficjalnej atmosferze dyskusja mogła dotyczyć spraw bieżących, na przykład przebudowy bufetu, wydłużenia godzin odwiedzin albo sposobu najlepszego wykorzystania pieniędzy z datków.

Była to jednak dyskusja o zupełnie innym charakterze. Dana Scully przekonała się o tym, gdy włożyła kitel na szary sweter i spódnicę i przyłączyła się do rozmowy w środku zdania.

- ...możemy zatem zdecydować - mówił ojciec Ybarra - z czystym sumieniem i bez obiekcji o przeniesieniu pacjenta do ośrodka bardziej humanitarnego i lepiej przystosowanego do jego stanu?

- Przepraszam - odezwała się, szukając wzrokiem wolnego krzesła.

Gdy Scully zajmowała miejsce, na szczupłej posępnej twarzy ojca Ybarry zagościł niepodobny do niego grymas zniecierpliwienia.

- Tak, jak uzgodniliśmy, pani doktor, informowałem właśnie personel i lekarzy o decyzji szpitala w sprawie Christiana Fearona.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy, jakby próbując wyostrzyć obraz.

- Jakiej decyzji? - Nie zrozumiała.

Zniecierpliwienie przerodziło się w irytację.

- O przeniesieniu pani pacjenta do hospicjum, które zajmie się opieką paliatywną.

Na jej twarzy pojawił się półuśmieszek. Zdumienie, które zaprezentowała wobec arogancji ojca Ybarry, stało się oczywiste dla wszystkich obecnych w pokoju, nie wyłączając jego samego.

- To była dyskusja, ojcze. Nie decyzja - zaprotestowała.

Ksiądz wzruszył ramionami, po czym wskazał ręką otaczających go ludzi.

- Cóż, tutaj zostało to dokładnie przedyskutowane i nie spotkało się z żadnym sprzeciwem ze strony pani kolegów i koleżanek.

- Może i tak - odparła - ale ja zgłaszam sprzeciw.

Ybarra zamknął oczy, po czym na powrót je otworzył.

- Ma pani, pani doktor, pacjenta cierpiącego na nieuleczalną chorobę - podjął. - Prosiła pani o konsultację, którą zapewnił. Uzyskana specjalistyczna opinia pokrywa się z naszą.

Nie ulega wątpliwości, że jest to smutna i nieszczęśliwa sytuacja.



- Ale to jest mój pacjent.

Osadzone w pociągłej poważnej twarzy oczy Ybarry zwęziły się.

- Przyniosła pani może lekarstwo na chorobę Sandhoffa? Jeśli nie, to uprzejmie prosimy, by pozwoliła pani odejść temu chłopcu w spokoju.

Poczuła, że twarz oblewa jej rumieniec. Nie potrafiła przedstawić rzeczowego argumentu.

Wszelkie logiczne i empiryczne dowody przemawiały przeciwko niej.

Ybarra uśmiechnął się nieznacznie. Skinął jej głową.

- Dziękujemy, pani doktor. Dokończmy naradę i wracajmy do pracy. Mamy jeszcze do omówienia temat pacjenta z intensywnej terapii. Zdaje się, że to pacjent doktora Willara...

Gdy Ybarra sprowadzał dyskusję na nowy tor, Scully siedziała w milczeniu, wściekła.

Wypowiadane w pokoju słowa nie docierały do niej.

- Istnieje terapia - wydusiła wreszcie.

Przerwała administratorowi szpitala w pół zdania. Ybarra odwrócił się do niej, zaszokowany jej asertywnością i zuchwałością. Twarze pozostałych zebranych przy stole zdawały się świadczyć, że podzielają oni zdanie Ybarry.

- Pani doktor - odezwał się Ybarra - sprawa jest zamknięta. - Mówił głosem uprzejmym, ale stanowczym.

- Z całym szacunkiem ojcze, nie zgadzam się. Tę chorobę można leczyć terapią z użyciem komórek macierzystych, podawanych przez iniekcję międzyżebrową.

Lekarka siedząca naprzeciw Scully, koleżanka, na którą w przeszłości zawsze mogła liczyć, patrzyła na nią oskarżycielsko.

- Nie skazuj chłopaka w tym wieku na piekło, Dana...

- Zdecydowałabyś się na to, gdyby to był twój syn, Anno?

Jasnowłosa lekarka milczała.

- Cóż, to nie jest jej syn - włączył się Ybarra - ani też pani, doktor Scully. To po prostu kolejny pacjent...

Ojciec zdał sobie sprawę, że palnął gafę. Miał zamiar się poprawić, ale Scully go ubiegła.

- Czyżby, ojcze? Istnieje takie pojęcie jak „po prostu kolejny pacjent”? Mam nadzieję że nie.

- Pani doktor...

- Ta decyzja nie należy do zarządu szpitala. Leży w rękach lekarza. Wszyscy to wiecie.

Wstała z miejsca. Starła się ukryć dwie rzeczy: gniew i strach.

- Jeśli się państwo z tym nie zgadzają, sugeruję, by przekazać sprawę wyższej instancji - zakończyła, zachowując doskonale profesjonalną postawę.

Na przykład Bogu, pomyślała.

Ybarze też musiało to przejść przez głowę. Jego słowa zatrzymały ją u drzwi.

- Postanowiłem uznać wolę najwyższej instancji, pani doktor. Pani też powinna.

W odpowiedzi odwróciła się i wyszła. Dopiero na korytarzu poczuła, jak bardzo wstrząsnęły nią słowa księdza.

Nie zmniejszyło to jednak jej uporu.

**8**

**Waszyngton**

**Kwatera Główna FBI**

**11 stycznia**

Gigantyczny blok lodu skrywał pojedyncze części ciała. Unosiły się w skryształizowanej cieczy na podobieństwo owadów, zatopionych w bursztynie. Jednak kształty rysowały się wyraźnie mimo mętnej lodowej powłoki niczym groteskowe dzieło sztuki surrealistycznej. Jakby fantazja Salvadora Dalego utrzymana w klimatach Hieronima Boscha.

Ta dziwaczna rzeźba nie wisiała jednak w żadnej galerii sztuki, lecz w laboratorium kryminalistycznym FBI. Tak naprawdę nie była też wcale rzeźbą, choć przedstawiała wspólne dzieło człowieka i natury - przy czym oboje artystów wykazało się szczególnym okrucieństwem.

Lodowy obelisk podwieszono pod sufitem na bloczkach. Grube łańcuchy utrzymywały go nad kanałem odpływowym w podłodze. Ekipa techników realizowała właśnie makabryczną misję ratunkową. Skrupulatnie wydobywali z lodu poszczególne członki. Głowa tu, przedramię tam, stopa, korpus, dłoń, udo...

W innej części pomieszczenia technicy stali lub siedzieli przy różnych stanowiskach.

Każdy badał jedną z wydobytych z lodu części ciała. Pobierali próbki tkanki, robili pomiary i opisywali je odpowiednimi etykietkami. Na koniec wstępnie konserwowali próbki, zanurzając je w

roztworze formaliny i alkoholu.

W świecie laborantów w kitlach i agentów w nienaganych garniturach i w krawatach, Mulder - w swetrze i dzinsach - wyglądał, jakby uciekł z akademika. Przypominał wiecznego studenta albo młodocianego wykładowcę. Podczas gdy wokół rozpanoszył się naukowy surrealizm, Mulder utknął w czyścicu dwudziestego pierwszego wieku. Telefon, na który usiłował

się dodzwonić ze swojej komórki, uparcie odmawiał przyjęcia połączenia.

- Odbierz, odbierz... - powtarzał, drepcząc w miejscu.

Czekając na połączenie, wyjął z kieszeni małe, opieczętwane stemplem FBI zdjęcie Moniki Bannan, Przyglądał mu się, jakby gdzieś tam chowały się przed nim brakujące elementy układanki. Twarz zaginionej agentki nie kryła jednak żadnych rewelacji. Zmarszczył brwi. A może...?

Wziął z biurka szkło powiększające i przyjrzał się raz jeszcze.

Co ona ma na nadgarstku? Czy to... bransoletka z danymi?

Telefon nie przestawał dzwonić. Wkrótce połączenie zostanie przekierowane na pocztę głosową. Scully znowu była w szpitalu. Może pracowała, a może go ignorowała.

Czy to możliwe, żeby go ignorowała?

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

### **Richmond, Wirginia**

#### **11 stycznia**

Dana Scully siedziała przed komputerem. Wpisała zapytanie: „Komórka macierzysta, terapia”. Kiedy na ekranie pojawiła się niekończąca się lista wyników, zaczęła zaznaczać te, które ją szczególnie zainteresowały. Rzucony niedbale na biurko telefon dzwonił, a ona robiła, co mogła, by nie zwracać na niego uwagi. Tak naprawdę co chwilę na niego spoglądała. Dobrze wiedziała, że dzwoni Mulder.

Pracowała nad przypadkiem, który był - przynajmniej dla niej ważniejszy niż sprawa zaginionej agentki FBI. Kobieta pewnie już nie żyła. Odrąbana głowa uwięziona w lodzie zostanie wkrótce zidentyfikowana jako należąca do Moniki Bannan, sprawa zostanie sklasyfikowana jako morderstwo, a Mulder przestanie się nią pasjonować, kiedy FBI na nowo zainteresuje się ojcem Joem na płaszczyznach niekoniecznie paranormalnych.

Nacisnęła klawisz i drukarka zaczęła wypluwać kartki. Po chwili miała przed sobą pokaźny stos świeżych informacji o chorobie Sandhoffa, opiniach za i przeciw, udanych i -

przede wszystkim - nieudanych terapiach. Z poczuciem winy popatrzyła na uporczywie wibrujący telefon, lecz skierowała swoją uwagę z powrotem na ekran monitora. Wiedziała, że jej praca jest tutaj.

Monice Bannan nie można już było pomóc, Christianowi Fearonowi - owszem.

Telefon wreszcie umilkł. Zamiast ulgi Scully poczuła wstyd. Wiedziała, że partner właśnie mówi do niej, a w każdym razie do poczty głosowej.

Nie słyszała jego monologu: „Ciągłe się nagrywam, ale... W każdym razie chciałem ci powiedzieć, Scully... Głowa tej kobiety w lodzie? To nie nasza agentka. Nie Monica Bannan. Nie wiemy, kto to, ani jak się tam znalazła, ale wyciągnęliśmy jedenaście różnych ludzkich kończyn i daleko nam jeszcze do końca...”

Scully spojrzała na telefon, na monitor i jeszcze raz na telefon. Nie docierały do niej słowa Muldera. Słyszała jednak jego pasję i ból. A to z kolei przyprawiało ją o cierpienie.

Jednak miała przed sobą misję. Musiała spróbować ocalić kogoś, kogo da się ocalić...

## **Waszyngton**

### **Kwatera Główna FBI**

#### **11 stycznia**

Mulder dreptał w kółko, nagrywając się na pocztę głosową Scully.

- Tylko i wyłącznie czyste cięcia, dokładnie tak, jak w przypadku tej pierwszej amputacji, którą opisałaś. Jest coś jeszcze, Scully. Musisz to wiedzieć... znaleźli więcej śladów tego weterynaryjnego środka uspokajającego. Acepromazyny.

Zbliżyła się do niego postać w zielonym golfie i czarnych spodniach - Dakota Whitney.

Ciemne włosy miała zaczesane w koński ogon. Błękitne oczy śledziły gadającego i łążącego w kółko Muldera.

- Przyznaję, że nie wiem, co to do cholery znaczy - relacjonował Mulder pocztę głosową

- ale mam nadzieję, że coś z tego poskładasz.

Rzucił coś na pożegnanie i zakończył połączenie. Myślał, że agentka Whitney chce czegoś od niego, ale stała z rękami na biodrach i przyglądała się blokowi lodu oraz postępującym pracom, jakby rzeczywiście było to dzieło sztuki wystawione w jakimś muzeum. Choć ten eksponat bardziej pasował do [Grand Guignol](#).

Mulder podszedł bliżej. Spojrzała na niego.

- Coś nowego?

Przecząco pokręcił głową.

- Nie mogę się dodzwonić. Jest w samym środku sytuacji kryzysowej związanej z pewnym pacjentem. Ale odezwie się do nas.

- Wiem.

Spojrzał na nią.

7 Paryski teatr, działający w latach 1897-1962, specjalizujący się w naturalistycznych makabreskach (przyp.

Tłum.).

- Posłuchaj, wszystko zaczyna układać się w całość. Przełom jest blisko. Czuję to.

Niebieskie oczy otworzyły się szerzej.

- Ty to czujesz, ojciec Joe to czuje... - zaśmiała się ponuro. - A ja czuję tylko, że jestem wykończona.

- Nie. To przełom. - Wskazał ręką bryłę lodu i jej makabryczną zawartość. - Dzięki temu rozwiążesz kilkanaście spraw morderstw. Odkrylicie grubszego seryjnego mordercę. Powinnaś być zadowolona.

Pokręciła tylko głową. Zmrużyła oczy.

- Ale ani na krok nie zbliżyliśmy się do odnalezienia naszej agentki.

Miała rację i Mulder dobrze o tym wiedział. Trochę się rozpędził w swoim entuzjazmie.

Tak właśnie bywało, gdy w pobliżu nie było Scully, która hamowała jego zapały...

- Znajdziemy ją. Wiem to - powiedział mimo wszystko, sam się sobie dziwiąc.

Brwi Whitney się uniosły, a usta ułożyły się w ironiczny uśmiezek.

- No to Monica musi się ustawić w kolejce.

- Co takiego?

- Przyszłam po ciebie, Mulder. Chcę, żebyś poznał najnowszą wizję ojca Joego.

Kilka minut później znaleźli się w sali konferencyjnej, gdzie ojciec Joe siedział już przy dużym stole, otoczony agentami niczym Jezus uczniami podczas ostatniej wieczerzy.

Mulder nie przysiadł się do apostołów. Przystanął przy siedzącym duchownym. Zawisł

nad nim, z nietypowym dla niego wyrazem sceptycyzmu na twarzy.

Wyraźnie zmieszany ojciec Joe spojrzał na byłego agenta.

- Widzę twarz kobiety... Innej kobiety - zaczął.

- Nie Moniki Bannan.

- Jest przetrzymywana... chyba w skrzyni. W drewnianej skrzyni.

Agenci przy stole nie patrzyli na ojca Joego. Słyszeli już opis jego najnowszej wizji.

Wpatrywali się w konsultanta do spraw paranormalnych, Foksa Muldera...

Który w milczeniu przyglądał się księdzu.

- Gdzie ją przetrzymują? - zapytał wreszcie.

Ojciec Joe westchnął i pokręcił głową z frustracją. Agenci przy stole również pokręcili głowami z frustracją, ale jakby inną.

Mulder udał, że tego nie widzi.

- Czy jest tam też Monica Bannan? - Chciał wiedzieć.

Ojciec Joe zamknął oczy, najwidoczniej próbując przywołać wizję. Agenci znów zaczęli mu się przyglądać niczym apostołowie.

Nie trwało to długo.

- Nie wiem - wydusił ksiądz, nadal nie otwierając oczu.

- Czy ci sami ludzie porwali Monicę? - dopytywał się Mulder.

- Chyba tak... Tak, to ci sami ludzie.

Mulder się pochylił.

- Widzisz ich - naciskał - czy po prostu opowiadasz to, czego ci tutaj chcą słuchać? -

Gestem głowy wskazał agentów przy stole.

Ojciec Joe nie połknął przynęty. Po prostu siedział z zamkniętymi oczami i sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się w wizję, a przynajmniej jej szukał.

Nagle otworzył oczy i napotkał natarczywe spojrzenie Muldera.

- Nie - odpowiedział tylko.

Mulder zmarszczył brwi.

- Nie? Nie to widzisz? Wyssałeś to z...

- Nie, to nie ci sami ludzie.

Oczy Muldera wwiercały się w ojca Joego najzimniejszym ze spojrzeń. Bez mrugnięcia okiem czekał, aż duchowny pęknie.

Były ksiądz był jednak nieugięty, Mulder się wyprostował i odetchnął głęboko.

- Potrzebuję samochodu - oświadczył.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał zza stołu agent Drummy, patrząc na niego spode łba.

- Jeszcze nie wiem. - Mulder wzruszył ramionami.

Drummy pokręcił głową, nie kryjąc pogardy.

- Nie wierzę w całe to gówno... - rzucił z szyderczym uśmiechem.

Mulder posłał Drummy'emu ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Na tym właśnie od samego początku polega twój problem.

Miejsce szyderczego uśmiešku zajął grymas gniewu. Agent nie odpowiedział, ale niezadowolenie parowało z niego niczym woda z rozgrzanego asfaltu.

Mulder odwrócił się do Whitney.

- To jak będzie z tym samochodem? - rzucił.

- Mogę ci załatwić auto - odparła Whitney - ale miło byłoby wiedzieć, dokąd... dokąd to zmierza.

- Żebym mógł ci odpowiedzieć - podjął Mulder - będę potrzebował listy osób zaginionych w okolicach Waszyngtonu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin.

Whitney wpatrywała się w niego błękitnymi oczami, niczym Scully próbująca postawić diagnozę. Zdawała się zastanawiać: Czy pacjent jest przy zdrowych zmysłach?

- Dobrze, niech będzie.

Agent Drummy zamknął oczy. Mulder szczerze wątpił, że gość próbuje przywołać wizję.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **11 stycznia**

Karawanę czarnych fordów powitały radiowozy zaparkowane wzdłuż wiejskiej drogi pod zasnutym chmurami niebem. Koguty na dachach obracały się, barwiąc otaczającą biel na przemian na czerwono

i niebiesko.

Zza kierownicy pierwszego forda wysiadła zastępca naczelnika biura terenowego FBI. Z

siedzenia obok wygramolił się agent specjalny Drummy, a przez tylne drzwi wysiadł Fox Mulder, Inni agenci FBI w ocieplanych kurtkach wyskakiwali z pozostałych samochodów, które zatrzymały się z tyłu. Whitney i Drummy podeszli do policjantów, którzy najwidoczniej ledwie zabrali się do pracy, Mulder maszerował śladami agentów po świeżo wydeptanej ścieżce.

Małe subaru było ledwie widoczne pod świeżą pokrywą śniegu. Uzbrojeni w łopaty policjanci dopiero co zaczęli odkopywać auto.

Gdy dwójka agentów dyskutowała z policjantami, Mulder podszedł do niemal całkiem zasypanego samochodu. Zdawał sobie sprawę, że jest jeszcze zimniej niż wczoraj. Ze wszystkich ust unosiła się para, przypominająca dym z rur wydechowych. Ale on niemal nie zauważał

mrozu. Był skoncentrowany niczym snajper na swoim celu.

Whitney odwróciła się do Muldera.

- Cheryl Cunningham, trzydzieści cztery lata. - Szczekała zębami.

- Nie pokazała się wczoraj w pracy. Do domu też nie dotarła.

Mulder okrążył samochód i przystanął po stronie kierowcy. Szedł tak pewnie, że policjanci odruchowo rozstępowali się przed nim na boki.

- Brak śladów krwi na poduszkach powietrznych. Opuszczone okno pasażera. Kluczyki w stacyjce - Drummy głośno dzielił się swymi spostrzeżeniami. Stał ze skrzyżowanymi rękoma.

Widać było mu zimno.

Mulder zlustrował wnętrze auta.

- Nic jej się nie stało, jeśli miała zapięte pasy - ciągnął Drummy, wzruszając ramionami. -

Otrzeptała się i poszła w cholerę.

Mulder odsunął się od samochodu, jakby odtwarzając opisane przez Drummy'ego zachowanie Cheryl Cunningham. Rozglądał się, nie do końca wiedząc, czego szuka. Łączył fakty w poszukiwaniu odpowiedzi.

- Na zewnątrz ciemno - mówił Drummy głośniejszym głosem, jakby próbował przebić się przez trans Muldera - sypie śniegiem jak cholera. Wyrusza, męczy się, robi sobie krótką przerwę i siada.

Zasypia na tym cholernym mrozie. - Ciemnoskóry olbrzym pokręcił głową ze smutkiem. - Często tak się zdarza.



Mulder uznał, że Drummy niedowidzi.

- Trochę ostry skręt, jak na taki długi kawałek prostej, co?

Wszyscy, którzy to słyszeli - Drummy, Whitney, policjanci, federalni - stali tam, przyglądając się przez kilka chwil, i tak naprawdę po raz pierwszy próbując zrekonstruować tor jazdy samochodu.

Mulder uśmiechnął się w charakterystyczny sposób, ukrywając pod uprzejmymi słowami mnóstwo zjadliwej ironii.

- Dlaczego jednak mielibyśmy poprzestać na mojej opinii? - rzucił.

Po chwili pojawił się wywołany z samochodu ojciec Joe. Kroczył niespiesznie w swej szarej kurtce i spodniach w takim samym kolorze. Miał siwe włosy, brodę... w ogóle cały był

jakiś taki szary. Ksiądz wyglądał nie mniej żałośnie niż wystawieni na mróz stróże prawa.

Mulder zagiął palec i ojciec Joe posłusznie podszedł do prawych drzwi częściowo odkopanego samochodu.

- Przejedź się - zakomenderował były agent.

Wszyscy wiedzieli, że auto nigdzie nie pojedzie, ale ksiądz zrozumiał.

Pochylił się. Mulder przytrzymał mu drzwi, żeby eksduchowny mógł wsiąść za kierownicę. Ksiądz odgarnął sflaczałą poduszkę powietrzną.

Z miejsca, gdzie się znajdowali, ledwie było widać ojca Joego. Jednak oczy wszystkich były zwrócone na samochód. Stróże prawa stali ze skrzyżowanymi ramionami na wietrze i śniegu. Czekali.

Drummy spojrział na Muldera.

- Zasnął tam, czy co?

- Każdy ma własne metody.

- Tak. Jasne.

Wreszcie coś drgnęło.

Ojciec Joe wysiadł z samochodu.

- Przykro mi. - Pokręcił głową.

Po czym stanął, trzęsąc się od mrozu albo może wstrząśnięty zimną obojętnością policji i FBI.

- Nic nie widzę. - Rozłożył ręce.

Duchowny odmaszerował do samochodu. Pracujący silnik zapewniał przyjemne ciepło.

- Cóż za niespodzianka - skwitował Drummy.

Mulder zbył go milczeniem. Odprowadził wzrokiem księdza, po czym wrócił do samochodu.

Podeszła do niego Whitney.

- Jakies pomysły, Mulder? Wnioski? Wrażenia?

Sprawiała wrażenie życzliwej, lecz w jej głosie dało się słyszeć nutę sarkazmu, skrytą głęboko pod gładkimi słowami, niczym subaru w zaspie. Była zmęczona i zmarznięta. Nie mógł

mieć jej tego za złe.

Mulder pokręcił głową i spuścił oczy z poczuciem bezradności. Nagle coś do niego mrugnęło ze śniegu.

Whitney wypuściła z ust smugę pary.

- Chyba będziemy kończyć współpracę z ojcem Joem - stwierdziła.

- Może i tak - mruknął Mulder i przyklęknął. Palcami wydobył lśniący przedmiot odsłonięty przez but księdza. Nie wstając z klęczek, spojrział na Whitney i uniósł wiszący przedmiot, na pierwszy rzut oka przypominający biżuterię. - Ale jeszcze nie teraz - dodał.

Whitney się pochyliła.

- Co to jest?

- Bransoletka z profilem medycznym - wyjaśnił Mulder, stając na równe nogi. -

Zauważyłem, że Monica Bannan też taką miała.

- Po co? - włączył się Drummy.

Mulder tylko spojrział na Drummy'ego. Teraz to go interesuje?

Whitney posłała agentowi miazdzące spojrzenie.

- Przydaj się do czegoś. Zabierz się za radio.

- Nie mam radia - odparł Drummy.

Whitney nie skomentowała.

Drummy popędził drogą. Mijając ojca Joego, krzyczał do ekipy.

- Coś ci chodzi po głowie - Whitney odezwała się do Muldera.

Mulder prawie niewidocznie skinął głową. -

Co takiego? - indagowała.

Posłał jej chłopięcy uśmiech. Zasłużyła na to.

- Otwórzmy bagażnik.

Tył subaru wciąż tkwił pod śniegiem, ale dzięki policjantom i ich łopatom wkrótce został prawie całkiem odkopany. Mulder schylił się i otworzył bagażnik.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, był zestaw ratunkowy.

Na twarzy Whitney zagościł niewesoły uśmieszek.

- To nie wróży jej najlepiej.

Mulder wyciągnął rękę po sportową torbę. Otworzył ją. Na samym wierzchu znalazł jednoczęściowy strój kąpielowy Speedo we wściekle fioletowym kolorze.

- Ani to - dodał Mulder.

Ku zdumieniu Whitney Mulder uniósł kostium bliżej twarzy.

- Chlor - wyjaśnił. - Kostium zamarzną na kość.

- I co z tego?

- To znaczy, że był mokry, kiedy trafił na mróz. - Mulder odwrócił się do jednego z policjantów.

- Gdzie jest najbliższa pływalnia? - zapytał.

## **Pływalnia Somerset**

### **Somerset, Wirginia**

#### **11 stycznia**

Stary gmach z cegły nie wyglądał na miejsce aż tak interesujące, by przyciągnąć całą flotę radiowozów i aut FBI.

Jednak nawet jeśli agenci w federalnych parkach i policja w zimowych mundurach wywołali u starszego pana niepokój, to nie dał tego po sobie poznać, widząc samochody parkujące przed frontowym oknem. Nadal siedział za ladą. Był dość wysoki, miał owalną twarz o przyjemnych rysach, białe jak śnieg włosy i okulary w drucianych oprawkach. Okulary, podobnie jak jego beżowy garnitur, zdawały się być odporne na wilgoć panującą w pływalni.

Mulder, Whitney i Drummy jako pierwsi przeszli przez stare dwuskrzydłowe drzwi.

Whitney podeszła do kontuaru.

- Dzień dobry - powiedziała szybko. - Mam nadzieję, że będzie pan mógł nam pomóc...

Za plecami starszego pana majaczył słabo oświetlony kryty basen, okupowany przez garstkę pływaków. Odgłosy chlapania i nawoływania amatorów kąpieli niesły się echem po hali.

Po lewej i prawej stronie znajdowały się drzwi do szatni, oznaczone odpowiednio tabliczkami „Panowie” i „Panie”.

- Szafki dla wszystkich? - wycedził ze służbowym, uprzejmym uśmiechem.

- Nie - odparła Whitney. Mówiła nieco wolniej. - Jesteśmy z FBI. Chcielibyśmy zapytać o kilka rzeczy, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Wyglądał na nieco urażonego.

- Dlaczego miałbym mieć, młoda damo?

Whitney nie znalazła odpowiedzi. Drummy wydobył i pokazał zdjęcie Moniki Bannan.

- Zna pan tę kobietę? - zapytał.

- Niech no spojrzę. - Dziadek poprawił okulary i przyjrzał się fotografii. Pokręcił głową. -

Obawiam się, że wszyscy ci młodzi ludzie wyglądają dla mnie tak samo...

- Czy prowadzi pan rejestr? - spytała z kolei Whitney.

- Oczywiście - odparł, akcentując każdą sylabę w wyrazie - Myślicie sobie, że co to za miejsce? Dzień w dzień zapisuję wejścia i wyjścia w specjalnym arkuszu.

- Czy moglibyśmy go zobaczyć?

Zastanawiał się chwilę.

- Cóż... dlaczego nie. Reprezentujecie prawo. Możemy sobie darować nakazy i inne formalności.

- Świetnie, - Whitney uśmiechnęła się z ulgą.

Staruszek podsunął im kartkę papieru, przypiętą klipssem do tekturowej podkładki.

- Proszę bardzo.

- Cóż... - powiedziała Whitney, patrząc na kartkę spode łba chciałabym zobaczyć wczorajszy

arkusz...

- Wczorajszy już wyrzuciłem, rozumiecie.

Mulderowi skończyła się cierpliwość. Widział, dokąd to prowadzi. Donikąd. Ponieważ nikt nie wymagał nakazów i formalności, udał się prosto do damskiej szatni.

- Przepraszam pana! - krzyknął starszek - Proszę pana...

Mulder już przeciskał się przez drzwi, gdy dobiegły go słowa starszego pana.

- Czy on nie wie, że to szatnia dla kobiet?

Tak jak reszta obiektu, szatnia była reliktem, do tego zaniedbanym.

Wiedząc, że podstarzały urzędnik ma rację, zatrzymał się przy samym wejściu.

- Jest tu kto? Halo! - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Posuwał się dalej i bacznie się rozglądał. Sprawdzał nazwiska na szafkach. Wiele etykietek było starych - wyblakłych i zniszczonych wilgocią. Możliwe, że tkwiły tam nawet od połowy zeszłego stulecia. Może kiedyś był to prywatny klub, gdzie każdy miał własną szafkę?

Teraz wszystkie były ogólnie dostępne, ale nikt nie usunął nazwisk.

Niezrażony przechodził od szafki do szafki. Przeszedł do następnego rzędu i, choć w przeciwieństwie do aury na zewnątrz w szatni panowała parna duchota, stanął jakby mróz skuł

mu stopy.

Na ławeczce siedziała dama w wieku nie mniej zaawansowanym niż dżentelmen z recepcji. Miała na sobie strój kąpielowy, który najprawdopodobniej właśnie zamierzała zdjąć. Na widok intruza zamarła tak samo, jak Mulder. Patrzyła na niego z zakłopotaniem, które w każdej chwili mogło przejść w przerażenie.

Spodziewając się przeszywającego wrzasku, Mulder uniósł dłonie w geście kapitulacji. W

odpowiedzi starsza pani posłała mu uśmiech. Leniwy, figlarny, żeby nie powiedzieć frywolny...

Zaczęła rozpinać ramiączko. Mulder się wycofał i niemal natychmiast zmaterializował się z powrotem przed szatnią.

- Ma pan nożyce do stali? - zapytał sędziwego recepcjonistę, zmieszany, jak rzadko kiedy.

Gospodarz, nieco przygaszony, westchnął.

- Więc nie przyszliście popływać...?

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

**Richmond. Wirginia**

**11 stycznia**

Ubrana w czepek i fartuch chirurgiczny Dana Scully przeglądała kartę choroby, kiedy do sali operacyjnej wwieziono Christiana Fearona.

Podeszła do pacjenta. Przez ogoloną głowę dzieciak wydawał się jeszcze bardziej bezbronny. Wątle ciało tonęło w szpitalnej koszuli. Scully uśmiechnęła się ciepło.

- Jest tu cała armia ludzi, którzy się dziś tobą zajmą, Christianie.

Chłopiec zdobył się na uśmiech. Usta mu zadrżały, gdy kółka łóżka wskoczyły w zatrzaski.

Scully przekrzywiła głowę.

- Słuchaj, nie musisz się bać.

Uśmiech chłopaka zrobił się jakby mniej wymuszony.

- Pani też.

- Umowa stoi. - Uśmiechnęła się.

Gdy anestezjolog wszedł do sali, Scully szorowała rękę. Była odwrócona tyłem do chłopca, na jej twarzy malowała się determinacja.

Odwróciwszy się od umywalki, ujrzała zespół zajęty przypinaniem ogolonej głowy Christiana do uchwyty stereotaktycznego. Patrząc na to upiorne ustrojstwo, przypominające średniowieczne narzędzie tortur, zaczęła wątpić w słuszność swojej decyzji. Teraz, czując na sobie wzrok całego zespołu, mogła tylko mieć nadzieję, że nie wyczuli wątpliwości, które ją właśnie naszły...

- Pani doktor...? - Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

- Musimy usztywnić mu głowę. Potrzebuję też czterocalowej igły dołędźwiowej, średnica osiemnaście. I trochę lidokainy w strzykawce...

Nie spuszczała oka z pacjenta. Unikała patrzenia na personel. Nie chciała, by ktokolwiek spojrzął jej w oczy i zauważył przyczajony w nich strach.

Dostała do ręki strzykawkę. Zawartość zaaplikowała w skroń pacjenta.

- Wiertło różyczkowe, pięć milimetrów - zarządziła.

Dostała je i przyłożyła czubek przyrządu do skroni dzieciaka.

Pielęgniarka skoncentrowała się na monitorze, który ukazywał na trójwymiarowym obrazie każdy ruch szpikulca penetrującego czaszkę - tyleż z chirurgiczną precyzją, co z pewnym dystansem.

Nim zabieg dobiegł końca, popołudnie przeszło we wczesny wieczór. Scully, w poplamionym krwią fartuchu, siedziała samotnie na ławeczce w szatni dla lekarzy. Robiła notatki w zeszycie, który dostała od Christiana, Z wewnętrznej strony okładki spoglądało na nią podpisane zdjęcie pacjenta.

- A ludzie myślą, że to ja zszedłem do podziemia - usłyszała za plecami znajomy głos.

Spojrzała w kierunku drzwi, gdzie stał Mulder, w swetrze i dżinsach, z rękami na biodrach. Wyglądał na zmęczonego, ale czujnego.

Uśmiechnęła się zdawkowo, lecz nie wstała.

Podszedł do niej i usiadł obok. Miło było mieć go koło siebie, ale napięcie po wczorajszym starciu jeszcze nie opadło.

- Przepraszam - odezwała się, zamykając zeszyt. - Na pewno się martwiłeś. Ale musiałam skupić się na innych sprawach.

Spojrzał na zakrwawiony fartuch i podniósł wzrok. Ich spojrzenia się spotkały.

- To ten chłopiec, tak? - Mars na jego czole świadczył, że zdaje sobie sprawę z ciężaru spoczywającego na jej barkach - Scully...?

Przełknęła ślinę i przytaknęła ruchem głowy.

- Myślałem, że już nic nie da się dla niego zrobić.

- Podejmuję duże ryzyko - westchnęła. - Postanowiłam zastosować radykalną... i szczerze mówiąc bolesną... nową procedurę.

Zmrużył oczy. Baczenie się jej przyglądał.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś, że ta procedura nie wchodzi w grę.

- Wczoraj wieczorem nie wchodziła.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Jak mogła mu to powiedzieć i nie wyjść na hipokrytkę i idiotkę? Jak mogła mu stwierdzić:

„Ten był ksiądz, którego nazwałam oszustem, ten za którego cię krytykowałam... No właśnie.

Powiedział mi, że bym się nie poddawała. No i się nie poddałam".



W odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami, pokręciła głową i odwróciła wzrok.

- Kiedy będziesz wiedziała, czy się udało?

- Potrzebna jest cała seria zabiegów. To zajmie trochę czasu, Znow spojrzala na niego zupełnie otwarcie. - I tak naprawdę będziemy coś wiedzieć dopiero wtedy, kiedy przeprowadzimy wszystkie.

Mulder skinął głową. Teraz to on odwrócił wzrok. Zmagał się z czymś, widziała to. Z czymś poważnym.

Zmarszczyła brwi. Martwiła się.

- Chyba nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać. Nie o moim pacjencie, prawda?

- Prawda - przyznał. Gapił się na szafki, - Zaginęła następna kobieta.

Przekrzywiła głowę, jakby go nie dosłyszała.

- Że co?

- Zaginęła kolejna kobieta, ale mamy punkt zaczepienia. - Ich spojrzenia znów się spotkały. - Ona i zaginiona agentka chodziły na ten sam basen. Monica Bannan miała tam swoją szafkę. Uważamy, że napastnik wyszedł tam obie kobiety. No i gwóźdź programu. Obie nosiły bransoletki medyczne.

- Serio?

- Serio. I mają tę samą grupę krwi. AB minus.

- Organy. Do transplantacji - zawyrokowała Scully, zainteresowana wbrew sobie.

Mulder kiwnął głową. Nic nie mówił, nie chcąc przerywać jej wątku.

- Na tej podstawie je wybrali - ciągnęła. - Grupy krwi dawcy i biorcy muszą być zgodne.

Wie o tym ktoś, kto korzysta z tego basenu...

- Ktoś, kto realizuje zamówienia. Na czarny rynek.

Scully potakiwała.

- Na basenie znajdziesz zdrowych, sprawnych fizycznie potencjalnych dawców.

- Prawda.

- Muszą mieć kontakty: biorców, szpitale...

Teraz Mulder potakująco kiwał głową.

- To twój świat, Scully. Twoja wiedza na temat tego świata pozwoli zaoszczędzić mnóstwo czasu. A czas działa, jak zwykle, na naszą niekorzyść.

- Możecie zacząć od kurierów.

Uśmiechał się, choć zdradzał przy tym lekką desperację.

- Jesteś mi potrzebna. Coś zaczyna mi się układać, ale potrzebuję cię, żebyś trzymała mnie w ryzach... Wcześniej prosiłaś o moją pomoc, teraz ja potrzebuję twojej...

Jej entuzjazm opadał z każdym jego słowem. Pokręciła głową, nim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej.

- Nie jestem ci potrzebna, Mulder. A oni tak naprawdę też ciebie nie potrzebują.

Udzieliłeś im pomocy. Podzieliłeś się wiedzą i doświadczeniem. Doprowadziłeś ich do tego punktu, rozwiązałeś za nich tę sprawę. Niech FBI pociągnie to dalej. Niech oni doprowadzą to do końca.

- Ale Scully, jesteśmy już tak blisko...

- Nie my. Oni. I proszę, żebyś to im zostawił. Proszę, żebyś dał sobie spokój.

Gdy na nią spoglądał, uśmiech na jego twarzy przygasł. Początkowo myślał, że nie mówi serio, lecz po chwili uświadomił sobie, że jest śmiertelnie poważna. Przez kilka chwil brakowało mu słów.

- To nie takie proste, Scully - stwierdził wreszcie.

- Rzeczywiście. To jest skomplikowane.

- Co to miało znaczyć? - Twarz Muldera zwiotczała.

Uniosła brwi i westchnęła.

- To znaczy, że coś, o czym wiedziałam, iż musi się wydarzyć, wreszcie się wydarzyło.

Coś, czemu bałam się stawić czoło. I do teraz nie musiałam stawiać.

Oczy płonęły mu z niecierpliwości.

- Po prostu powiedz mi, co...

- Jestem lekarzem - przypomniała. - Pedofil jasnowidz, odrąbane głowy, uprowadzone kobiety... To już nie moje życie.

- Wiem.

Czy aby na pewno?

- Dokonałam wyboru - mówiła. - Wstępując do FBI, odsunęłam karierę lekarza na drugi plan. Ale już nie pracuję w FBI, Mulder. Tamten rozdział mojego życia jest zamknięty. Teraz jestem lekarzem, po to się uczyłam. By szukać prawdy. Wciąż szukać prawdy, ale... wśród żywych.

Widziała, że jej partner toczy wewnętrzną walkę.

- Nie proszę cię, żebyś to rzuciła - stwierdził tylko, gdy wreszcie się odezwał. - Nigdy bym...

- Nie rozumiesz, Mulder. Ja już nie dam rady. Nie mogę razem z tobą patrzeć w otchłań.

Nie mogę znieść myśli, do czego to może ciebie... lub mnie... doprowadzić.

Zesztywniał, maskując urazę postawą obronną.

- Mnie to odpowiada. Szukać odpowiedzi w ciemnościach... tam właśnie jest wiele odpowiedzi, Scully. Prawdę powiedziawszy, to jestem w tym dobry.

- I to mnie właśnie przeraża.

Najwyraźniej sfrustrowany zmarszczył brwi.

- Gdzie jeszcze mam szukać? Jeśli chcemy znaleźć te kobiety żywe.

- Proszę, żebyś poszukał siebie, Mulder.

- Dlaczego? To nie ja się zmieniłem.

Podobnie jak wiele kłótni, ta ruszyła szybko i jeszcze szybciej zmierzała ku gorszemu.

Jego rozdrażnienie udzielało się Scully.

- Już nie pracujemy w FBI - przypomniała. - Jesteśmy dwójką ludzi, którzy wieczorami wracają do domu. W każdym razie ja wracam do domu. A gdy wracam do domu - naszego domu

- nie chcę, by czekała na mnie ta ciemność.

Mulder gestem wskazał otaczający ich szpital.

- Tym się zajmujesz i ja to szanuję. Rozmawiamy jednak o tym, co ja robię, Scully, Co robiłem, zanim w ogóle cię poznałem. Na niczym innym się nie znam.

- Świetnie. Opisz to. Nie jesteś im nic winien. Swoje odsłużyłeś. Opowiedz o tym światu.

Napisz książkę.

- Co sugerujesz? - zapytał z niedowierzaniem. - Mam się poddać?

- Siedzisz przed komputerem, wycinasz artykuły z...

- Nie. Wróciłem tam, gdzie moje miejsce. Próbuję uchronić kogoś od zła. Wróciłem, bo ty mnie o to poprosiłaś.

Wpatrywała się w niego. Zdawała sobie sprawę z ironicznej prawdy jego słów.

- Nie - odrzekła i spuściła oczy. - Masz rację. Nie mogę ci powiedzieć, żebyś przestał.

Moment napięcia minął. Mulder jakby nieco się rozluźnił. Wiedziała, że szuka sposobu, by to odkręcić i zacząć od nowa.

Było już jednak za późno. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mogę ci jednak powiedzieć co innego - podjęła. - Nie wracam do domu, Mulder -

oświadczyła. - Zostaję tutaj.

Mulder zrobił minę, jakby wymierzyła mu cios, walnęła pięścią w brzuch, pozbawiając go tchu. Najwidoczniej tych słów się nie spodziewał. Tak samo jak Scully nie spodziewała się, że je wypowie. ■

- Muszę teraz toczyć swoje własne boje - dodała bardzo cicho, bez złości,

- Scully...

- Nie kłóć się ze mną, proszę.

- Proszę, nie rób tego.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Jej spojrzeniu nie brakowało miłości, było jednak twarde i gniewne... wręcz zranione. Gdyby powiedziała cokolwiek więcej, być może padłoby niewypowiedziane pytanie, na które musiałyby odpowiedzieć: Nie wracasz dzisiaj? Czy już nigdy?

W tej chwili żadne z nich nie było w stanie podjąć tego ryzyka.

- Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić - powiedziała Scully.

Wszystko zostało powiedziane. Nie miała zamiaru ani trochę ustępować, tak samo jak Mulder. Żadne z nich nie chciało porzucić tego, w co wierzy. To nie w ich stylu.

- W takim razie - Mulder wstał - powodzenia.

- Nawzajem. - Kiwnęła głową.

Wyszedł szybko. Scully wiedziała dlaczego. Nie chciał, żeby widziała emocje, które już miała okazję oglądać, tak samo jak ona nie zniosłaby, jak patrzy na jej twarz i widzi zacięte spojrzenie i zbierające się w oczach łzy.

11 stycznia

W szpitalnej kostnicy ubrane w lateksowe rękawiczki wprawne ręce patologa wykonały klasyczne nacięcie w kształcie litery „Y” na piersi niedawno zmarłego mężczyzny. Dłonie lekarza znalazły się w jamie brzusznej i usunęły wątrobę ze sprawnością kucharza patroszącego dziękczynnego indyka.

Patolog - wysoka i zadbana kobieta koło sześćdziesiątki, w zielonym mundurku chirurgicznym, fartuchu i czepku, wycięła wątrobę z wnętrzości i wyjęła ją z ciała denata.

Trzymany w rękach organ ostrożnie włożyła do izolowanego pojemnika.

Atletyczna postać w czarno-szarej kurtce służby transportu organów nie pasowała do tego sterylnego środowiska. Poorana bruzdami twarz i posklejane w strąki czarne włosy kuriera sprawiły, że obie porwane przez niego kobiety na jego widok pomyślały o rosyjskim szalonym mnichu Rasputinie.

Rosjanin, w lateksowych rękawiczkach, zamknął pojemnik i wręczył pani doktor podkładkę z dokumentami, które podpisała. Przeszła do kolejnego martwego pacjenta, gdy Rosjanin, z dokumentami pod pachą i z pojemnikiem w ręce, skierował się ku wyjściu.

Przypominał robotnika taszczącego drugie śniadanie.

Szybko przemierzył tętniący życiem korytarz. Z nikim nie rozmawiał. Ot, anonimowy pracownik branży medycznej, zajęty swoją pracą. Zatrzymał się przy windzie, nacisnął przycisk i czekał.

Czekając, dostrzegł w holu kilku ludzi - dwóch umundurowanych funkcjonariuszy policji i ciemnowłosego mężczyznę w garniturze i krawacie, który rozmawiał z młodą pielęgniarką. Z

perspektywy Rosjanina nie wróżyło to niczego dobrego, gdyż pielęgniarka, atrakcyjna brunetka, wcześniej udzielała mu wskazówek, jak trafić do kostnicy.

A teraz pokazywała go palcem.

W każdym razie wskazywała gdzieś w jego kierunku. Rosjanin odwrócił głowę ku drzwiom windy. Ale ta nie zamierzała nadjechać. Usiłował nie okazywać zdenerwowania na widok dwóch gliniarzy i młodego, profesjonalnie wyglądającego gościa, zmierzających w jego kierunku.

Patrzyli wprost na niego...

Gdy drzwi windy się rozsunęły, natychmiast wszedł do środka. Gliny i facet w garniturze znajdowali się może dziesięć metrów dalej, gdy znalazł się w pustej windzie. Uśmiechnął się do siebie i nacisnął przycisk z jedyneką. Miał poczucie, że najgorsze ma za sobą.

Nagle do windy wsunęła się ręka - zapobiegła domknięciu się drzwi i spowodowała ich

automatyczne otwarcie. Oczom Rosjanina ukazało się dwóch gliniarzy i facet w garniturze. Cała trójka spoglądała wprost na niego.

Elegant miał ciemne kręcone włosy i młodzieńczą twarz, mówił jednak stanowczym głosem.

- Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Przewożę organ, od którego zależy ludzkie życie - odparł Rosjanin. Miał ciężki akcent, ale wyrażał się jasno. Miał nadzieję, że skutecznie ukrywa złość. Nie zdawał sobie sprawy, że z jego ciemnych oczu emanowała siła, która mogła mu tylko zaszkodzić.

Facet w garniturze się uśmiechnął.

- O tym właśnie chcę porozmawiać...

- Pan chyba nie rozumie.

- Proszę pana, proszę opuścić windę. Natychmiast - nakazał jeden z policjantów i ramieniem przytrzymał drzwi windy.

Rosjanin westchnął ciężko i wyszedł na korytarz, nieświadomy widocznej na jego twarzy arogancji.

- Nazywam się Robert Koell - przedstawił się mężczyzna w garniturze. - Jestem z biura prokuratora okręgowego w Richmond. Czy mógłbym zobaczyć pana dokumenty i prawo jazdy?

Wciąż trzymający pod pachą podkładkę z dokumentami Rosjanin zawahał się, po czym postawił pojemnik na podłodze.

- Wyciągam portfel.

- Śmiało. - Przedstawiciel prokuratury skinął głową.

Wzrok policjantów przywarł do Rosjanina niczym magnes do stali. On tymczasem wydobył portfel z tylnej kieszeni spodni. Zlustrował korytarz po obu stronach, nie mając pojęcia że zdradza w ten sposób chęć ucieczki.

- Mam zieloną kartę - zakomunikował.

- Świetnie - odparł Koell. - Co pan przewozi?

- Ludzką wątrobę do przeszczepu.

- Poproszę dokumenty i prawo jazdy.

- Marnuje pan mój czas! Zagraża pan ludzkiemu życiu!

- Dokumenty i prawo jazdy.

Rosjanin wręczył podkładkę z papierami, z portfela zaś wyjął prawo jazdy i podał je Koellowi.

- Dokąd ma pan dostarczyć ten organ?

- Szpital pod Cedrami. Spodziewają się mnie. Pacjent czeka na wątrobę.

Facet otaksował Rosjanina wzrokiem zimniejszym niż zawartość pojemnika.

- Czy kiedykolwiek pozyskiwał pan lub dostarczał organy nielegalnymi kanałami?

- Nie!

- Czy ktoś kiedyś pana do tego nakłaniał?

- Nie.

Koell uniósł podkładkę z papierami.

- Jest pan pracownikiem tej firmy?

- Tak.

- Jak brzmiałyby odpowiedzi pańskiego pracodawcy na te pytania?

- Mój pracodawca jest chory. Ma raka.

Koell zmarszczył brwi.

- Nie o to pana pytałem, panie Dacyszyn.

- Czy jestem o coś podejrzany? Wykonuję swoją pracę, a wy marnujecie mój czas.

- Mniejsza o to - uciał Koell, wskazując rząd krzeseł naprzeciw wind. - Chciałbym, żeby pan tam usiadł,.

- Nie chcę siadać.

- Proszę usiąść - odezwał się policjant. Ten sam co wcześniej.

Rosjanin rozważył możliwości. Fakt, mógłby się postawić tutaj. Nie bał się tych ludzi, choć byli uzbrojeni. Szpital nie był jednak najlepszym miejscem.

Usiadł, stawiając pojemnik na kolanach. Z rosnącym niepokojem patrzył, jak młody człowiek wyjmuje telefon i jednym przyciskiem wybiera numer.

## Richmond, Wirginia

### 11 stycznia

Dana Scully, z rudymi włosami wilgotnymi po kąpieli i w nastroju cokolwiek odbiegającym od radosnego, wyszła z szatni personelu na korytarz. Niemal wpadła na Margaret Fearon.

Scully, w cywilnym ubraniu - błękitnej bluzce i granatowych spodniach - akurat w ogóle nie myślała o medycynie. Wybierała się do bufetu w poszukiwaniu czegoś jadalnego, zanim dołączy do lekarzy na dyżurze. Była wyczerpana po długiej operacji, a kłótnia z Mulderem nie podniosła jej na duchu. Nie była w nastroju do rozmowy z rodzicami pacjenta, ale oboje stali tutaj. Tuż przed nią.

Wyglądali tak młodo - oboje przed trzydziestką, piękna blondynka o trójkątnej twarzy i wysoki brunet o intensywnie niebieskich oczach. Zaledwie kilka lat temu ta dwójka była uosobieniem snów o przyszłości i rodzinie. A teraz...

- Pani doktor - zaczęła Margaret Fearon - przepraszamy, że panią niepokoiimy...

Scully miała wrażenie, że oczekująca jej para koczowała tu już od jakiegoś czasu.

- Chcielibyśmy z panią porozmawiać, jeśli można - dokończył ojciec chłopca. - O naszym synu. O Christianie.

Ta wymuszona ceremonialność i przesadne maniery zapaliły w głowie Scully lampkę ostrzegawczą.

- Przyszliście państwo zobaczyć się z synem? - zapytała, przyglądając się rodzicom z poważnym, acz nie grobowym wyrazem twarzy.

Margaret skinęła głową.

- Tak, ale spał. Tylko że my... - Z zakłopotaniem spojrzała na męża.

- Zmieniliśmy zdanie - stwierdził stanowczo Blair Fearon - odnośnie kontynuowania tej nowej terapii.

Rodzice wyglądali, jakby spadł im kamień z serca. Wreszcie mieli to za sobą. Zrzucili ciężar na barki osłupiałej Scully.

Po chwili się odezwała. Powoli, ostrożnie.

- Za wcześnie na to. Nie wiemy nawet, czy będzie skuteczna...

- Jest po prostu zbyt radykalna - ciągnął Blair, kręcąc głową.

Oczy, podobnie jak żona, miał zaczerwienione. - Uważamy, że Christian przeszedł już wystarczająco dużo.



Margaret się pochyliła, jakby chcąc dotknąć ramienia Scully, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Zdajemy sobie sprawę, że ma pani najlepsze intencje, pani doktor - powiedziała. - Ale czy nasza rodzina nie przeszła już wystarczająco wiele? Postanowiliśmy oddać nasz los w ręce Boga.

- Nauka, medycyna - wtrącił Blair - może zrobić tylko tyle. Christian potrzebuje cudu, nie tych... tortur.

Scully zeszywniała. Przełknęła ślinę.

- Rozumiem - rzekła.

W oczach matki widać było trwogę.

- Proszę! Wiemy, że ma pani jak najlepsze chęci, ale patrzeć, jak nasz syn cierpi... To nie do zniesienia! Pani doktor, to nic osobistego.

- Nie - przytaknęła Scully.

- Gdyby pani sama była matką, zrozumiałaby pani.

Po emocjonalnej walce z Mulderem to było niemal nie do wytrzymania. Scully zebrała się jednak w sobie, z trudem zachowując spokój.

- Rozumiem, że rozmawialiście już państwo z ojcem Ybarrą? - zapytała cicho.

- Tak - potwierdził pan Fearon.

- Rozumiem.

- Ale to my podjęliśmy decyzję!

Scully skinęła głową. Wzbierał w niej gniew, który musiała zwalczyć. Wątpliwości rodziców były uzasadnione i racjonalne. Powinna to uszanować.

Napotkała wzrok ojca chłopaka.

- A co, jeśli by się udało? - spojrzała w oczy matce - Co, jeśli kiedyś przekonamy się, że przerwanie terapii było złą decyzją?

Margaret przekrzywiła głowę.

- Mówi pani, że może ocalić mojego syna?

- Tego nie mogę obiecać - przyznała Scully. Sama przecież miała wątpliwości. - Po prostu... nie chciałabym się teraz poddawać.

Oczy Margaret zasły łzami.

- Wiemy, że bardzo pani zależy na Christianie. A on nie widzi świata poza panią.

Zdajemy sobie z tego sprawę.

- Musimy jednak zrobić to, co będzie najlepsze dla naszego syna, pani doktor - dodał jej mąż.

- W takim razie proszę poczekać - odparła Scully. - Christian zostanie tu przez kilka dni na rekonwalescencji pooperacyjnej. Dajmy sobie trochę czasu i nie podejmujemy pochopnych decyzji. Potem omówmy to jeszcze raz.

Odeszła korytarzem, zanim zdołali cokolwiek odpowiedzieć.

## Ośrodek

### Gdzieś w Wirginii

#### 11 stycznia

Tymczasem Cheryl Cunningham leżała w pozycji embrionalnej w swojej drewnianej celi z wywierconymi otworami, szczelnie opatulona kocem. Spała od kilku godzin. Śniła, że jest w lepszym miejscu, gdy metaliczny pisk obudził ją i sprowadził do przerażającej rzeczywistości.

Otworzyła szeroko oczy na dźwięk kolejnego pisku, któremu towarzyszył metaliczny grzechot.

Chcąc zobaczyć, co się dzieje, podniosła się na kolana i przycisnęła oko do otworu w klatce.

Dźwięki wydawały otwierane właśnie stalowe drzwi klatek, które szorowały po podłodze.

Chuderlawy, wysoki, starszy mężczyzna w stroju lekarskim i czepku podchodził kolejno do klatek z pitbulami i wypuszczał zwierzęta. Chwytał psy za obroże i prowadził je do nieco za dużych drzwiczek dla psów w dolnej części ściany, po czym przepychał je przez otwór. Psy nie protestowały - najwidoczniej były do tego przyzwyczajone. Ubrana w szpitalną biel kobieta robiła to samo, co chudy lekarz. Cheryl domyślała się, że wypuszczają psy na ogrodzony wybieg na dworze.

Po opróżnieniu klatek lekarz podszedł do niej i zajrzał przez jeden z otworów.

Cheryl, na kolanach, opierając się dłońmi o szorstkie drewno skrzyni, posłała mu błagalne spojrzenie, szukając w jego oczach ludzkich uczuć.

- Proszę... Mam rodzinę. Mam mamę i tatę, tak jak pan. Chcę jeszcze zobaczyć swoją rodzinę. Proszę... proszę. Nie chcę umierać. Czy mnie pan słucha?

Wychudły lekarz uśmiechnął się uprzejmie i przemówił do niej kojąco. Mówił jednak w tym obcym języku, najpewniej znowu po rosyjsku.

- Nie rozumiem - odrzekła. - Ja nie... jak...?

- Chcesz... buziaki?

Dziwaczne pytanie, zadane łamaną angielszczyzną nawet by ją rozśmieszyło, gdyby nie przeszło jej dreszczem. Nic nie rozumiała. Przerazona, patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami.

Wsunął rękę do kieszeni kitla. Gdy ją wyjął, trzymał garść małych srebrzystych przedmiotów, które wsypał przez otwór do podawania jedzenia. Czekoladki Hershey's Kisses<sup>8</sup>.

Zignorowała je. Wciąż błagała staruszkę.

- Muszę do domu... proszę. Muszę do domu!

Lekarz jednak wstał i oddalił się spokojnym krokiem. Przecisnął się przez plastikową zasłonę i przeszedł do jasnego pomieszczenia pełnego urządzeń medycznych, gdzie wcześniej pobrano od niej próbkę krwi.

- Nie zostawiaj mnie - wołała za nim przez łyż. - Nie zostawiaj mnie!

Tyle że on już zdążył to zrobić.

## **Internat dla przestępców seksualnych**

### **Richmond, Wirginia**

#### **11 stycznia**

Ubrana w brązowy kaszmirowy płaszcz, narzucony na wyjściowe ubranie, Dana Scully stała przed drzwiami mieszkania. Wahała się. Sama nie mogła uwierzyć, że w nocy przejechała całe miasto, by wylądować właśnie tutaj. Czyżby była aż tak wyczerpana, tak emocjonalnie wyniszczona, że została lunaticzką w koszmarze na jawie?

Mimo wszystko zapukała.

Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili. Zaszokowany ojciec Joe otworzył drzwi. Stał

w przejściu, ubrany w szlafrok i kapcie. Włosy miał rozczochrane jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

Wyglądał jakby palcem u nogi trafił do kontaktu. Wrażenie to pogłębiały jeszcze wybałuszone oczy i opadnięta szczęka.

- Teraz to faktycznie mam wizję - przemówił. - Wizję, jakiej nigdy...

Dana przestąpiła z nogi na nogę.

- Czy mogę z ojcem porozmawiać? - zapytała niepewnie, pełna niepokoju.

Były ksiądz nie odpowiedział. Patrzył na nią z otwartymi ustami, jakby mu właśnie 8 *kisses* (ang. ) - buziaki (przyp. tłum.).

przywalila mokrym ręcznikiem. Wreszcie przybrał niemal ludzki wyraz twarzy, nawet wcale uprzejmy.

- Z największą przyjemnością, pani doktor.

Otworzył szerzej drzwi i odsunął się na bok.

- Zechce pani wejść? - Zaprosił ją gestem ręki.

Scully niezręcznie prześliznęła się obok niego. Niemal podskoczyła, gdy drzwi zatrzęsły się za jej plecami.

Znalazła się w mrocznym, szarym i obskurnym pokoju dziennym. W telewizji leciał

program Davida Lettermana. Na kanapie leżały poduszka i koc. Czyżby ojciec Joe tu sypiał? A na stoliczku stała popielniczka pełna niedopałków. Śmierząca mgła tytoniowa wisiała w powietrzu niczym kurtyna. Były ksiądz żył w zimnym i zatechłym świecie.

Ileż to razy rozmawiała z Mulderem o osławionej banalności zła? Teraz zaś stała w tym zapuszczonym mieszkaniu i czuła się, jakby właśnie przekroczyła bramy piekieł.

- Proszę się rozgościć - rzekł ojciec Joe, wskazując sofę.

- Nie zabawię długo - pokręciła głową.

Przeszedł za nią, blisko niczym cień i podszedł do sofy. Nie usiadł jednak, ale przystanął i wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem.

- Przyjechała pani sama? - zagaił.

Nie, to miejsce jest otoczone i jeśli choćby mrugniesz okiem, to, tak mi dopomóż Bóg, SWAT spadnie na ciebie jak na Bonnie i Clyde'a...

- Tak - przytaknęła.

Dlaczego tak się gapił? Sprawdzał jej nerwy? Zastanawiał się, czy jest strachliwa? Może po prostu chciał zbić ją z tropu...

Tak czy siak, usiadł wreszcie na sofie.

- Proszę usiąść. Nalegam.

Rozejrzała się za innym miejscem, lecz w zasięgu wzroku nie było żadnych krzeseł, Wreszcie przysiadła na krawędzi kanapy, utrzymując solidny dystans od gospodarza. Musiała uszanować jego

wolę - przecież przyszła bez zaproszenia.

- No dobrze... - zagaił z rękami skrzyżowanymi na brzuchu, Przyjechała pani, żeby mnie o coś zapytać.

Skinęła głową. Uśmiechnął się uprzejmie, najwyraźniej wyczuwając jej wahanie.

- Jesteśmy sami - zapewnił ją. - Mój współlokator wyszedł. Może pani śmiało mówić.

Świetnie. Lepiej być nie mogło. Sam na sam z tym zboczeńcem...

Jakbym już nie miała gęsiej skórki...

- Powiedział mi coś ojciec... - westchnęła.

- Tak. - Skinął głową.

- Wczoraj, tam na śniegu...

- Tak. Powiedziałem: „Nie poddawaj się”.

Teraz z kolei Scully potaknęła ruchem głowy. Dziwnie jej ulżyło, że ojciec Joe odgadł cel jej wizyty.

- Muszę wiedzieć - ciągnęła - dlaczego ojciec to powiedział.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Słowo.

Gapiała się na niego.

Uniósł brwi. Uśmiechnął się przepaszajaco.

- Nie na taką odpowiedź pani liczyła.

Odwróciła wzrok. Przez całą drogę tutaj myśli kotłowały jej się w głowie i teraz wcale nie przestały. Zamilkła na chwilę, żeby się zastanowić.

- Czy ojciec coś o mnie wie? - spytała.

Gdyby nie wiedziała kim jest, mogłaby uznać jego uśmiech za ujmujący.

- Coś oprócz tego, że wzbudzam w pani odrazę, moja droga?

- Czytał ojciec o mnie? W gazetach, magazynach, Internecie?

- Nie. Nawet nie mam komputera.

- Wie ojciec, czym się zajmuję? - próbowała dalej. - Co kiedyś robiłam, co robię teraz...?

- Nie. Ale widzę, że jest pani wierząca.

Do tego nie trzeba było telepaty. Jak mówiła Mulderowi, pierwszy lepszy cyrkowy kuglarz od razu stwierdziłby to samo na widok złotego krzyżyka na jej szyi.

- Jednak wierzy pani w zupełnie inne rzeczy niż pani mąż - dodał ojciec Joe.

- To nie jest mój mąż.

Dlaczego to zabrzmiało tak defensywnie? Widziała, że nie umknęło to uwadze byłego księdza. Przeniósł wzrok z jej twarzy na złoty krzyżyk.

- Zechciałaby pani opowiedzieć mi o sobie, moja droga?

- Nie.

- Chciałaby się pani wypowiadać?

Wpatrywała się w niego trochę przerażona i lekko zniesmaczona.

- Nie wydaje mi się, by ojciec miał prawo...

- Co, osądzać? Pewnie nie. Ale czyż pani nie osądziła mnie?

Zaśmiała się sucho.

- Ojciec nie zasługuje na osąd?

- Jako drapieżnik? Pederasta? Ohydna abominacja dla ziemskiego królestwa Boga?

- Coś w tym stylu. Tak.

Uśmiechał się uprzejmie, co jeszcze bardziej przyprawiało ją o dreszcze.

- Mimo tego, pani doktor, czyż nie jestem dziełem Boga. Tak samo jak pani?

Wstała.

- Nie sądzę, żeby Bóg przyznał się do ojca. Nie po tym, co zrobił ojciec tym chłopcom.

Głos duchownego zatrzymał ją w połowie drogi do drzwi.

- Wie pani, dlaczego żyjemy tutaj? My, ludzie, którzy nazywają domem tę szpetną budę pełną potworów?

Odwróciła się do niego.

- Żyjemy tu - ciągnął - bo nienawidzimy jeden drugiego tak, jak nienawidzimy samych siebie. Za nasze obrzydliwe ciągoty.

Uniosła górną wargę.

- To wcale nie umniejsza ich obrzydliwości.

Rozpostarł ramiona, niemal jak przy błogosławieństwie.

- Więc skąd biorą się te skłonności? Te nasze niekontrolowane impulsy?

- Nie od Boga - stwierdziła.

- Nie ode mnie - zapewnił ojciec Joe. - Wykastrowałem się w wieku dwudziestu sześciu lat.

To nią wstrząsnęło. To rzeczywiście było piekło. Piekło ojca Joego, z którego musiała się wydostać. Podeszła do drzwi.

- No i... - ciągnął dalej - o te wizje też się nie prosiłem.

Zatrzymała się z ręką na klamce. Spojrzała za siebie.

- Księga przysłów, rozdział dwudziesty piąty, werset drugi oznajmił.

- Co? - Zmarszczyła brwi, urażona.

- Chwałą Bożą jest rzeczy strzec w tajemnicy. A chwałą królów te rzeczy roztrząsać<sup>9</sup>.

- Proszę przestać cytować Pismo Święte!

- Po co pani przyszła? - zapytał cicho.

Nie odpowiedziała. Trzęsa się. Stała z ręką na klamce, ale jej nie nacisnęła.

- Czego się boisz, moje dziecko?

- Powiedział ojciec: „Nie poddawaj się” - odrzekła, marszcząc czoło. - Dlaczego? Po co?

Wzruszył ramionami. Pokręcił głową. Włosy zafalowały niczym gniazdo węży.

Podeszła do niego, wściekła jak cholera.

- Dlaczego ojciec to powiedział? - żądała odpowiedzi.

Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem.

- Nie wiem - odpowiedział niemal szeptem.

- Nie wierzę!

- Nie kłamię. Mówię prawdę.

- To były ojca słowa. Co miały znaczyć?

Znów wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

- Patrzył mi ojciec prosto w twarz... - Wisiała nad nim rozwścieczona. Dłonie zwinęła w pięści. Miała ochotę go stłuc, tak jak dziecko chce uderzyć surowego rodzica.

Jakby jej gniew wzbudził jego emocje, eksklecha nagle się strapił, a oczy zaszły mu łzami.

- Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to służyć Bogu. Zawsze chciałem jedynie tego...

Pochylił głowę i zamknął oczy. Zaczął szeptać pod nosem. Najprawdopodobniej się modlił.

- Śmiało. Proś o miłosierdzie. Ale nie oczekuj go ode mnie - rzuciła Scully.

Była już prawie przy drzwiach, gdy usłyszała, jak gwałtownie i szybko oddycha.

Roztrzęsiony patrzył na nią błagalnie. Czowała, że znowu gra, że przechodzi samego siebie, by wzbudzić litość, której mu odmówiła.

- Może ojciec przerwać w dowolnym momencie - rzuciła nawet.

Po kilku sekundach doktor Dana Scully rozpoznała jednak symptomy ataku 9 Cytat za *Pismem Świętym Starego i Nowego Testamentu* w przekładzie z języków oryginalnych, pod redakcją ks. Michała Petera (przyp. Tłum.).

padaczkowego.

Wróciła do sofy i stanęła przed ojcem Joem. Położyła ręce na jego ramionach.

- Patrz na mnie - nakazała, lecz jego głowa zwisała luźno, jak u szmacianej lalki. Miał

wywrócone oczy i dławił się własnym językiem.

Wydobyła komórkę, zadzwoniła po pogotowie i zajęła się nowym pacjentem.

**Ośrodek**

**Gdzieś w Wirginii**

**11 stycznia**



Kłęcząc w drewnianej celi, zrozpaczona Cheryl Cunningham usłyszała dźwięk otwieranego zamka. Słyszając uprzejmy głos chuderlawego lekarza, po raz pierwszy od wielu godzin dojrzała iskierkę nadziei.

Drzwi klatki się uchylily. W środku pojawiła się ręka, która postawiła obok niej talerz gorącego gulaszu - posiłek nie zmieściłby się w otworze, przez który wcześniej lekarz obsypał ją czekoladkami.

Potem doktor zatrzasnął drzwi. Nie zdążył przekręcić klucza w zamku, gdy jego uwagę przykuły inne głosy mówiące po rosyjsku, lecz znacznie głośniej. Za plastikową zasłoną ruchome ciemne kształty wymieniały ostre słowa. Przez kilka chwil ciągnęła się głośna kłótnia. Do awantury włączyła się dwójka lekarzy, których Cheryl widziała wcześniej - mężczyzna i kobieta.

Oboje mówili głośnie w obcym języku i gestykulowali. Ponury lekarz słuchał ich w skupieniu.

Gdy przechodzili przez plastikową zasłonę, przez mgnienie oka Cheryl ujrzała przerażający widok. Wstrząsnął ją nawet po tym wszystkim, co widziała w ciągu ostatnich potwornych godzin. Kobieta na szpitalnym łóżku miała poważne problemy. Cheryl nie dostrzegła jej twarzy, widziała ją tylko od klatki piersiowej w dół. To wystarczyło, by stwierdzić że dzieje się z nią coś niedobrego. Biedactwo wiło się i trzęsło w konwulsjach.

Cheryl oczywiście nie mogła wiedzieć, że pewien wydalony z kościoła, okryty hańbą ksiądz przeżywał identyczny atak. Nie zdawała sobie też sprawy ze znaczenia bransoletki medycznej na nadgarstku cierpiącej kobiety. I nie miała pojęcia, że kobieta na łóżku jest zaginioną agentką FBI, obecnie uznaną już za martwą.

Wiedziała natomiast, że wreszcie dana jest jej jakaś szansa. Gdy ponury lekarz wraz z dwójką asystentów w kitlach i czepkach przeszli za plastikową zasłonę, by zająć się pacjentką, drzwi drewnianej celi Cheryl pozostały otwarte.

Ponieważ pobudzone zamieszaniem psy wokół niej czekały jak opętane, Cheryl wykorzystała sytuację i pchnęła drzwi skrzyni. Wypełzła, stanęła na równe nogi i zaczęła szukać wzrokiem drogi ucieczki - drzwi, okien, czegokolwiek... Dostrzegła jednak tylko wyjście dla psów, przez które lekarz i pielęgniarka wypuszczali pitbulle na wieczorny spacer.

Wiedziała, że noc jest mroźna i że ma na sobie tylko szpitalną koszulę. Wiedziała, że zapewne znajdzie się na ogrodzonym płotem wybiegu dla psów. Ale psy były przecież w klatkach. Poza tym umiała wspiąć się na każdy płot. Wolałaby zamarznąć na zewnątrz niż umrzeć tu, w tym gabinecie grozy. Przy odrobinie szczęścia uda jej się dotrzeć do jakiejś drogi bądź domu albo przynajmniej znaleźć jakieś ciepłe schronienie.

Na czworakach, jak zwierzę, Cheryl precyzyjnie się przemieściła przez przejście dla psów i wczołgała się do ciasnego tunelu. Psie drzwiczki z trzaskiem zamknęły się za nią i otoczyła ją całkowita ciemność. Przerażona, czołgała się dalej, gnana do przodu adrenaliną. Posuwała się w kierunku niewyraźnego zarysu drugich drzwiczek na przeciwnym końcu tunelu.

Przemieszczała się coraz szybciej. Wzywało ją zimne powietrze.

Wolność - nieważne, ile miałyby kosztować - była po drugiej stronie drzwiczek. Uderzyła w nie głową niczym taranem i wypchnęła ramiona w ciemność i mróz, wciąż w połowie pozostając w tunelu.

Łyknęła zimne powietrze. Smakowało wolnością.

I naraz spoza zaśnieżonego terenu, z ciemności dobiegły ją odgłosy biegnącej istoty. Nie człowieka, lecz zwierzęcia - warczącego i kłapiącego zębami. Łapy uderzały o pokrytą ubitym śniegiem ziemię. Nim Cheryl zdołała się przyjrzeć, z czym ma do czynienia, w panice wycofała się do tunelu.

Drzwiczki się zatrzasnęły i Cheryl zamarła.

Zaraz jednak się otworzyły, a do tunelu wsunęła się głowa pitbulla. Pies kłapał na nią zębami i kąsał powietrze przed nią. Po chwili dołączyła druga rozpryskująca ślinę psia głowa o obnażonych zębach i wściekłych oczach. Cheryl zaczęła krzyczeć i wycofywać się szybciej, niż wydawało się jej to możliwe. Psy nie mogły zmieścić się w tunelu.

Gdy wparowała z powrotem do psiarni, prosto w objęcia porywaczy, nie była przekonana, czy widziała dwa pitbulle. Ale czy mogła widzieć to, co wydawało jej się, że widziała? Czy też przemęczony mózg i upiorne otoczenie przyprawiły ją o obłęd?

A może rzeczywiście widziała dwugłowego pitbulla?

11

## **Internat dla przestępców seksualnych**

### **Richmond. Wirginia**

#### **11 stycznia**

Jego oddech parował na mrozie. Fox Mulder opuścił tylne siedzenie forda expedition, a Dakota Whitney otworzyła przednie prawe drzwi. Gdy Drummy wygramolił się zza kierownicy, dwójka pasażerów już wchodziła w krąg czerwono-niebieskich odblasków, jakie rzucał wirujący kogut zaparkowanego ambulansu.

Mulder, przejęty, pośpieszył do karetki. Whitney szła kilka kroków za nim. Spozrzegł, jak dwóch sanitariuszy taszczy nosze, a trzeci ciągnie podłączony do pacjenta zestaw ratunkowy.

Ojciec Joe.

Choć większą część twarzy pacjenta zakrywała maseczka tlenowa, Mulder rozpoznał go natychmiast po bujnej czuprynie. Z tego, co widział, stan Crissmana był poważny.

Na miejscu był jednak lekarz, Dana Scully.

Ubrana w brązowy kaszmirowy płaszcz, szła wraz z innymi do oczekującej karetki. Gdy jej wzrok napotkał spojrzenie Muldera, zdumiała się nie mniej niż on.

Mulder szybko dołączył do partnerki. Obłoki ich oddechów mieszały się ze sobą.

- Co się stało? - zagadnął.

- Miał atak padaczkowy i zapaść. Tyle wiemy na pewno.

Mulder szedł krok w krok ze Scully. Nie do końca rozumiał, co się dzieje. Czuł też napięcie pozostałe po konfrontacji w szpitalnej szatni.

- Kto cię wezwał? - zapytał.

- Nikt.

- Co w takim razie tu robiłaś?

Whitney właśnie zrównała z nimi krok. Scully jakby się wahała, czy odpowiadać w jej obecności.

- Zagłędałam w otchłań - mruknęła do Muldera.

Zachowywała się trochę jak lunatyczka, a jej słowa jeszcze bardziej zamąciły Mulderowi w głowie. Skupił uwagę na ojcu Joem, którego ratownicy właśnie wsuwali na noszach do ambulansu.

Wraz ze Scully przystanął i przyglądał się ich zabiegom.

- Musimy porozmawiać z ojcem Joem - odezwał się wreszcie.

- Nie wydaje mi się, by to było możliwe. Przynajmniej w najbliższym czasie.

- To ważne. Mamy podejrzanego - poinformowała Whitney.

Zastępca naczelnika szybko naświetliła Scully sprawę podejrzanego, którego biuro prokuratora okręgowego przesłuchało pod kątem czarnorynkowego handlu ludzkimi organami.

- Jest w areszcie? - spytała Scully, marszcząc brwi.

- Nie - odparła Whitney - został zwolniony po przesłuchaniu. Staram się jednak o nakaz przeszukania siedziby jego pracodawcy. To nasz główny podejrzany.

Whitney wręczyła Scully powiększoną kserokopię pochodzącego z prawa jazdy zdjęcia Janke Dacyszyna. Mulder przyglądał się, jak partnerka studiuje tę nierówną, kanciastą twarz, okoloną długimi sklejonymi w strąki włosami. Trzeba przyznać, że poświęciła mu całą uwagę.

- Mamy wiarygodnego świadka, który twierdzi, że podejrzany uczęszczał na ten sam basen, co zaginione kobiety - relacjonowała Whitney. - Widziano go tam nawet w tym samym czasie, co Cheryl

Cunningham, drugą ofiarę.

Scully wciąż studiowała fotografię.

- Ten świadek jest wystarczająco wiarygodny, by aresztować gościa?

Whitney skinęła głową.

- Tak, moi agenci jadą po niego.

Zdezorientowana Scully zmarszczyła brwi.

- Po co wam w takim razie ojciec Joe?

- Chcemy mu pokazać zdjęcie - odparł Mulder, ledwie zachowując spokój.

Podjechało drugie auto FBI. Drummy wyszedł mu na spotkanie.

Mulder patrzył, jak olbrzym rozmawia z agentem wychylającym głowę z samochodu, by wreszcie wskazać palcem Whitney.

- Przepraszam - rzuciła agentka i udała się w kierunku nowo przybyłej terenówki, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Mulder wskazał palcem, trzymane przez Scully ksero.

- Jestem pewien, że to facet z wizji ojca Joego.

- Kto? - Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Podejrzany. Janke Dacyszyn. - Postukał palcem w zdjęcie.

Przewróciła oczami.

- Teraz ty marnujesz ich czas, Mulder.

Z początku nic nie powiedział. Tylko na nią patrzył. Miesiące trwało, nim stała się jego partnerem, lata nim zaczęła wierzyć, a teraz byli znów w punkcie wyjścia. On usiłował odkryć prawdę, a ona rzucała mu kłody pod nogi. Jak to się mogło stać, do diabła?

Zmarszczył brwi.

- Co tutaj robiłaś?

Nie odpowiedziała. Oddała mu ksero.

Podjechał do nich prowadzony przez Drummy'ego ford, w którym wcześniej przyjechał

Mulder. Wychylając się niczym klient płacący za jedzenie na wynos w restauracji dla zmotoryzowanych, Drummy z kwaśnym uśmiechem wręczył im skserowane zdjęcie innej osoby.

- Oto wizja dla ciebie - skwitował Drummy, podając zdjęcie Mulderowi - przywieziona przez moich chłopców.

Mulder spojrział na nowe zdjęcie, nową twarz. Kolejne szorstkie i kanciaste męskie oblicze, obdarzone jasnymi, niemal kobiecymi oczami. Mężczyzna również nosił

środkowoeuropejskie nazwisko - Franz Tomczeszyn.

Były agent FBI nie mógł wiedzieć, że trzyma w rękach zdjęcia dwóch mężczyzn, którzy napadli na agentkę, Monicę Bannan.

- Oto pracodawca naszego podejrzanego i, jak się właśnie dowiedzieliśmy, stary znajomy ojca Joego - poinformował Drummy z wyższością w głosie.

Muldera ścisnęło w dołku. Oczy Scully się zwęziły.

- Mówisz, że ojciec Joe zna faceta, zajmującego się transportowaniem przeznaczonych na czarny rynek organów?

- Podejrzanego o ich transportowanie - poprawił go Drummy - ale zgadza się. Ojciec Joe zna Franza. Jak-mu-tam od pewnego czasu. Od jakichś dwudziestu lat.

Teraz z kolei oczy Scully zrobiły się okrągłe.

- Dwadzieścia lat?

- Skąd go zna? - spytał z kolei Mulder.

Drummy napawał się chwilą swego triumfu.

- Wygląda na to, że Franz był jednym z trzydziestu siedmiu wyróżnionych ministrantów ojca Joego. No i sto punktów za odpowiedź na pytanie, kto jest małżonkiem naszego Franza, poślubionym zgodnie z prawem stanu Massachusetts? Otóż nikt inny, jak tylko nasz podejrzany -

Janke Jakoś-tam.

Mulder milczał. Był szczerze zdumiony, wręcz zszokowany. Nie wierzył.

- Panujemy nad sytuacją - oznajmiła Whitney, podchodząc do nich. - Mam nakaz rewizji ich biura.

Mulder czuł na sobie wzrok Scully. Choć nie emanowała od niej ta buta, którą prezentował Drummy, Mulder i Scully byli razem od bardzo dawna, wiedział, że będzie mu współczuć, nawet jeśli jego porażka będzie dowodzić jej racji.

I tak było.

Jednak wciąż nie potrafił zdobyć się na to, by na nią spojrzeć.

Drumy ruszył z piskiem opon. Mulder wyszedł na jezdnię i zatrzymał drugi wóz FBI.

Chciał w tym uczestniczyć. Nieważne, jak się to potoczy, chciał wziąć w tym udział.

- Mulder...? - Zza pleców usłyszał głos Scully.

Odwrócił się wreszcie i spojrzał na nią.

- To koniec - rzekła spokojnie. Była smutna. - Reszta należy do nich.

Nie odpowiedział. Nie wyglądała na zadowoloną z siebie, lecz i tak rósł w nim gniew.

Wsiadł do drugiego forda i zatrzasnął drzwiczki.

W lusterku widział, jak Scully znikła w oddali. Stała tam i patrzyła, jak odjeżdża. Coraz mniejsza i mniejsza...

## **Instytut Nauk Medycznych**

### **Richmond, Wirginia**

#### **11 stycznia**

Dwa fordy szybko pokonywały zaśnieżone ulice. Bez syren, gdyż o tak późnej porze nie było dużego ruchu. Wozy zatrzymały się przed starym trzypiętrowym budynkiem instytutu medycznego. Wśród mrugających świateł miasta agenci z Drummy na czele wysypali się z samochodów. Gdy Mulder wysiadł z drugiego auta, podeszła do niego Whitney. Zatrzymała go uniesioną dłonią, niczym policjantka z drogówki.

- Może dasz sobie na wstrzymanie, Mulder? - zasugerowała. Zastąpiła mu drogę. - Pozwól ludziom robić, co do nich należy.

Dopiekła mu tymi słowami. Tak jak Scully. Whitney oczekiwała, że pozwoli federalnym zamknąć tę sprawę. Nie miał odznaki, nie miał broni ani władzy... Nie był już nawet wiarygodnym konsultantem.

- Posłuchaj - ciągnęła Whitney. - Wszyscy daliśmy się nabrać. Chciałam wierzyć tak samo jak wszyscy inni.

- Tego nie wiem - Odparł Mulder, przypatrując się budynkowi, w którym zniknęli agenci.

- Nie takiego rozwiązania się spodziewaliśmy - kontynuowała, wzruszając ramionami. -

Ale masz w tym swój udział. Ty to rozwikłałeś.

Spojrzał na nią.

- Słuchaj... Nie potrzebuję pocieszenia. Jestem już dużym chłopcem.

- Ale to prawda - odpowiedziała, znów wzruszając ramionami - przyprowadziłeś nas tutaj.

- Nie. Ojciec Joe nas tu przyprowadził, pod fałszywym pretekstem. W to właśnie wierzysz.

- Wezwałam cię, bo myślałam, że możesz mi pomóc przy tej sprawie. Ponieważ ceniłam twoją wiarę w zjawiska paranormalne.

- Tak? A teraz co o tym myślisz?

- Myślę... że to temat na dłuższą rozmowę.

Sposób, w jaki wlepiła w niego oczy, zdradzał niekoniecznie profesjonalne zainteresowanie Mulderem. Do tego nie trzeba było telepaty.

Schlebiało mu to, ale w jego życiu była już jedna piękna kobieta przekonana, że jego obsesje wymykają się spod kontroli. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to druga do kompletu.

Oboje zauważyli furgonetkę, skręcającą w przecznicę. Żadne z nich nie dostrzegło jednak napisu: „Służba transportu organów”. Ze swojego miejsca nie mogli też widzieć, jak samochód parkuje w garażu przyległym do budynku Instytutu Nauk Medycznych.

Wewnątrz budynku Mosley Drummy prowadził swój zespół przez atrium do schodów.

Każdy agent miał w rękach broń gotową do strzału. Na nieme polecenie Drummy'ego para agentów - jeden z niedużym cylindrycznym taranem - oddzieliła się, żeby pojechać windą.

Chwilę później na trzecim piętrze Drummy sprawdzał numery na drzwiach. Skromna grupa uderzeniowa w schludnych garniturkach poruszała się niemal bezgłośnie.

Pierwszym wyraźnie słyszalnym dźwiękiem był gong windy, który rozbrzmiał, gdy wysiadła z niej dwójka agentów i dołączyła do reszty ekipy. Po kilku chwilach Drummy stał

przed drzwiami z tabliczką „Służba transportu organów”.

- Mówi agent specjalny Drummy z FBI! - krzyknął na tyle głośno, że było go słychać na całym piętrze.

- Mamy nakaz przeszukania tych pomieszczeń. Jeśli ktoś jest w środku, proszę podejść i otworzyć drzwi.

Czekali.

Gdy uznali, że potrwało to wystarczająco długo, Drummy gestem ręki przywołał

mężczyznę z żelaznym taranem. Kiedy agent zajął pozycję gotowy do użycia narzędzia, Drummy

krzyknął raz jeszcze.

- Jesteśmy agentami federalnymi i jesteśmy uzbrojeni. Otwórzcie drzwi albo my to zrobimy.

Czekali.

Wreszcie Drummy kiwnął głową. Drzwi stanęły otworem i oczom agentów ukazało się pograżone w ciemności pomieszczenie.

- Na ziemię! Na ziemię! - krzyczał Drummy, gdy światło latarek przecinało mrok -

Ktokolwiek tu jest, na ziemię! Położyć się na podłodze!

Reszta agentów wbiegała do biura, a odgłosy zamieszania zagłuszyły gong windy. Nie widzieli, jak wysiada z niej ich podejrzany - ubrany w brązową skórzaną kurtkę i ciemne dżinsy, taszczący pojemnik do transportu organów, Rosjanin Janke Dacyszyn.

Z początku Dacyszyn nie zauważył agentów, choć zmarszczył brwi na dochodzące z biura odgłosy. Kiedy zbliżył się do roztrzaskanych drzwi, wyraźnie usłyszał Drummy'ego i agentów w biurze. Zaryzykował rzut oka do środka. Latarki omiatały ciemne wnętrza, ukazując rzędy chłodziarek i pojemników.

Niezauważony przez nikogo Dacyszyn czym prędzej udał się w kierunku schodów. Nie rozstawał się z pojemnikiem.

Przed budynkiem, na chodniku obok zaparkowanych terenówek Mulder przestępował z nogi na nogę, a Whitney wciąż próbowała go udobruchać. Prawie jej nie słuchał.

- To, że tutaj dotarliśmy - mówiła - to twoja zasługa. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. - Zapewniam cię, że my tak. Tkwiliśmy w martwym punkcie, a ty pchnąłeś nas do przodu, nieważne jaki obraliśmy kierunek.

- Tak... - skwitował Mulder.

- Wciąż mam nadzieję, że znajdziemy naszą agentkę żywą. Przecież o to w tym wszystkim chodzi.

Mulder zmrużył oczy, gdy budynek instytutu opuściła jakaś postać. Mężczyzna w brązowej skórzanym kurtce i czarnych dżinsach pośpiesznie wyszedł głównymi drzwiami.

Trzymał coś w ręce.

Pojemnik. Pojemnik z lodem?

Facet zszedł po schodkach na chodnik. Spoglądał na nich ukradkiem. Osilek miał długie strąki na głowie i kanciastą twarz.

- Kto to jest? - Whitney zmarszczyła czoło.



- Podejrzany - odparł Mulder i ruszył w ślad za nim.

- Hej! - krzyknął.

Facet rzucił pojemnik na chodnik i puścił się biegiem w ciemność. Zeskoczył z chodnika i pobiegł wzdłuż zaparkowanych samochodów. Musiał tylko uważać na nieliczne poruszające się auta.

Mulder rzucił się za nim. Deptał zbiegowi po piętach. Chwilę później Whitney włączyła się do pościgu.

Jednak po dwóch przecznicach pogoni po zaśnieżonym betonie atletycznie zbudowany zbior zaczął się oddalać. Ledwie łapiący oddech Mulder w łopoczącym płaszczu był prawie jedną trzecią przecznicy za nim, a Whitney, choć z bronią gotową do strzału, biegła daleko z tyłu.

Mulder miał nadzieję, że nie trafi stopą na oblodzoną nawierzchnię. Jezdnia była już przyprószona bielą, lecz wilgotne chodniki wskazywały, że lód powinien stopnieć. Powinien. W

każdej chwili mógł paść na tyłek i nakryć się nogami, a już czuł ogień w płucach. Ścigany zabijaka był w lepszej formie niż były agent, spędzający całe dni przed komputerem w swoim domowym biurze...

Podejrzany zniknął za rogiem. Gdy Mulder skręcił w tę samą przecznicę, przeciął drogę hamującemu z piskiem autobusowi, który zatrzymał się w samą porę, żeby uniknąć zmiżdżenia Muldera. Były agent wymienił z kierowcą przerażone spojrzenia.

To była bardziej uczęszczana arteria, choć i tu nie było teraz dużego ruchu. Mulder w oddali widział uciekiniera. Biegł jak maratończyk. Stracił natomiast z oczu Whitney, choć ta poruszała się na tyle szybko, by zdążyć przed stojącym autobusem.

Mulder dyszał, ale nawet nie przyszło mu do głowy, by przystanąć i odsapnąć - chciał

dopaść tego gnoja. Mieli teraz z górki, co trochę ułatwiało bieg. Podejrzany może i był

wysportowany, ale wciąż zerkał przez ramię i widział kogoś, kto nie zamierzał poniechać pościgu.

Biegnąc teraz truchtem, Mulder gonił mężczyznę przez duże skrzyżowanie. Choć po ulicach jeździły niemal wyłącznie taksówki, było ich wystarczająco dużo, żeby musiał

zachowywać ostrożność. Gdy podejrzany nieustraszenie przebiegał przed maskami samochodów, Mulder niemal odbił się od przejeżdżającej taksówki.

Ruch na ulicy się nasilał. Ścigany zaczął biec po linii dzielącej pasy ruchu. Mulder poszedł w jego ślady. Oddychał ciężko, lecz nie zwalniał kroku. Czujący się względnie bezpiecznie zbior w brązowej kurtce miał przewagę długości może trzech samochodów. Wtem pewny siebie sukinsyn niczym płotkarz przeskoczył nad rozpiętym między słupkami łańcuchem.

Chwilę później Mulder zrobił to samo, modląc się, by mu się udało.

Pędzący dobrze oświetloną arterią podejrzany zepchnął przecinającego ulicę przechodnia w bluzie z kapturem i przeskoczył nad kolejnym łańcuchem, by zręcznie uskoczyć przed zakręcającą ciężarówką. Niczym niezrażony, przebiegł obok niedużego parku, gdzie drzewa błyskały resztkami niebieskich bożonarodzeniowych lampek. Nie zwalniając kroku, Mulder ujrzał majaczący z przodu plac budowy.

Gdy mijała ich wielka ciężarówka z koparko-ładowarką na lawecie, podejrzany wbiegł na drewniany zadaszony chodnik. Mulder pobiegł za nim. Tupał głośno po zbitym z desek podłożu.

Ścigany obejrzał się za siebie. Mulder uśmiechnął się pod nosem. Nie dziś, pomyślał. Dzisiaj się nie wymkniesz.

Na końcu chodnika uciekinier czmychnął w lewo i ponownie znalazł się na ulicy, wyskakując tuż za klekoczącą lawetą. Mulder też zeskoczył z chodnika. W uszach huczało mu od hałasu przejeżdżającego gdzieś w pobliżu pociągu.

Zbliżali się do rozległego placu budowy, gdzie powstawał jakiś wieżowiec. Podejrzany pobiegł za ciężarówką, która po rampie zjechała pod ziemię. Ścigający zbira Mulder trafił do ciemnego wykopu rozświetlanego od czasu do czasu błyskami spawarek.

Świat tutaj był skąpany w odcieniach błękitu, łamanego jasnym światłem iskier. Mulder biegł po betonowej posadzce. Uświadomił sobie, że jest w niewykończonym garażu. Wokół było mnóstwo gruzu, narzędzi i rusztowań. Spod sufitu zwisały arkusze folii. W podmuchach powietrza falowały niczym leniwe duchy. Podejrzany był daleko z przodu. Zgubił go w chwili, gdy puścili się za ciężarówką. Nagle Mulder spostrzegł zaparkowaną lawetę. Obok niej biała furgonetka ruszyła z miejsca, odsłaniając podejrzanego.

Mulder parł do przodu. Krzyczał do pracujących tu i tam robotników w kaskach.

- Hej! Hej! Zatrzymajcie go! FBI! To podejrzany! Zatrzymać go!

Furgonetka o mało nie potrafiła ściganego, ale odskoczył i skierował się ku terenowi odgrodzonemu stalową siatką. Rosjanin przebiegł przez przejście oznaczone tablicą „Brama B”.

Mulder był daleko w tyle, ale wszystko widział i nie zwalniał kroku. Nie wiedział, że Whitney, z bronią w ręku, tuż za nim zbiega po rampie do wykopu.

Podejrzany uciekał wzdłuż siatki, zręcznie omijając rozsypany gruz. Wbiegli na ogrodzone czerwoną taśmą i oznaczone znakiem „Niebezpieczeństwo” zaimprovizowane wysypisko śmieci. Podejrzany przystanął wśród rusztowań i się rozglądał. Muldera nie było w zasięgu wzroku.

Rosjanin ruszył, mijając kolejnych robotników. Mulder jednak nie był daleko. Biegł

wzdłuż rusztowania. Omal nie potknął się o porozrzucane materiały budowlane.

- Kurwa! - wyrwało mu się.

Znajdowali się w sercu budowy. Ściany gdzieniegdzie pokrywały arkusze plastikowej folii, tu i

ówdzie kapala woda, a ze wszystkich stron otaczały ich rusztowania. Mulder dostrzegł, że mężczyzna przemyka przez drzwi. Pobiegł za nim, by znaleźć się u podnóża betonowych schodów przyszłego garażu.

- Mulder!

Dobiegający z tyłu głos Whitney odbił się echem od ścian betonowego pomieszczenia.

Nad głową słyszał ciężkie kroki podejrzanego.

- Wchodzi na górę! - krzyknął. Słyszał echo własnego głosu.

Wbiegł po schodach. Gdy kroki ucichły, wyszedł z klatki schodowej na najbliższą kondygnację budowanego wieżowca. Był w każdym razie pod dachem.

Z dołu klatki schodowej dobiegło go wołanie Whitney.

- Mulder! Mulder!

- Jestem na górze! - zameldował się.

Za rozwieszoną folią poruszył się jakiś cień. Mulder natychmiast tam pobiegł. Za foliową zasłoną zastał wilgotnawe pomieszczenie pełne prętów zbrojeniowych. Słyszał kroki zbiega.

Pobiegł po zdradliwym, usianym gruzem i narzędziami podłożu. Po chwili dotarł do zasłony z żółtej folii, przeleciał przez nią i popędził za odgłosami kroków.

Dostrzegł podejrzanego. Ścigany biegł wzdłuż rusztowania, przez plamę światła rzucanego przez jupitery, aby - niczym mistrz w biegu przez płotki - dać susa nad wielką okrągłą rurą kanalizacyjną. Muldera nie było stać na coś tak fantastycznego. Uderzył rurę ręką i przeszedł

przez nią.

Znalazł się w usianym gruzem pomieszczeniu. Zbira nigdzie nie było! Zatrzymał się i nasłuchiwał. Coś się poruszyło za pozbawioną drzwi futryną, za którą oparta o ścianę stała stalowa drabina.

Mulder ruszył w górę.

Dotarł na dach. Właściwie nie był to prawdziwy dach. Wokół niego majaczyły migające światełkami gmachy, które były skończonymi i kompletnymi drapaczami chmur, a nie wieżowcami w trakcie budowy jak ten. Był to tylko tymczasowy dach, który wkrótce stanie się podłogą kolejnego piętra. Na razie jednak był płataniną prętów zbrojeniowych oczekujących na zalanie betonem, który nada im solidny kształt.

Materiały budowlane, narzędzia i gruz wały się wszędzie wokół. Mulder przystanął i nasłuchiwał. Nie słyszał nic prócz zimnego wiatru. Orzeźwiony chłodem wydychał kłęby pary.

Czuł, że żyje.

Podejrzany, który chował się gdzieś do tej pory, wyłonił się nagle i przez coś przeskoczył.

Mulder nie potrafił stwierdzić, co to było.

Wznowił pościg i ujrzał, jak ścigany wskakuje w jakiś otwór. Gdy Mulder doń dotarł, otwór okazał się wejściem do szybu windy. Mężczyzna był na dole. Wylądował twardo na drewnianej platformie, Mulder, przekonany że już ma go w garści, oceniał wysokość i gotował

się do skoku, gdy podejrzany zeskoczył z pomostu i uchwycił się stalowego zbrojenia ściany szybu.

Niech to szlag, pomyślał Mulder i zeskoczył. Twardo wylądował na pomoście i przez chwilę zaplątał się we własny płaszcz. Wstał i zaczął rozglądać się za uciekinierem.

Facet schodził w dół szybu po metalowej drabinie.

Gdzieś z dołu dobiegł go głos Whitney.

- Mulder!

- Schodzi na dół! - odkrzyknął.

Nie miał wyboru. Zeskoczył z platformy na stalowy szkielet. Zatrzymał się, żeby złapać oddech, po czym dotarł do drabiny i ruszył w dół.

Dakota Whitney była tuż pod tymczasowym dachem. Szła za głosem Muldera. Gdy przecisnęła się przez żółtą folię, usłyszała jakiś dźwięk i obróciła się gwałtownie. Wymierzyła broń w uciekającą sylwetkę, biegnącą po pokrytej gruzem posadzce.

Nie strzeliła, opuściła pistolet i ruszyła za zbiegiem. Słyszała kroki, lecz mężczyzna zdawał się być gdzieś nad nią, może na rusztowaniu. Weszła do pomieszczenia zaśmieconego kawałkami prętów i innymi odpadami. Stała z bronią gotową do strzału, rozglądając się po tej upiornej, na wpół ukończonej budowie.

Ominęła filar i ujrzała zabezpieczony żółtą taśmą, pozbawiony drzwi otwór. Co to jest? -

pomyślała. Miejsce zbrodni? Pochyliła się i uświadomiła sobie, iż stoi na krawędzi szybu windy.

Zrobiła krok do tyłu i się odwróciła. Stała twarzą w twarz z podejrzany, który zakradł się do niej cichaczem. Pchnął ją z całych sił, zrywając żółtą taśmę i spychając Whitney do szybu, na pastwę hulającego tam wiatru.

Uwieszony na drabinie Fox Mulder nie mógł jej pomóc. Mógł tylko patrzeć, jak Whitney z krzykiem na ustach spada na spotkanie ze śmiercią. Krzyczała nie dlatego, że się bała. Była zaskoczona.

# **Instytut Nauk Medycznych**

## **Richmond, Wirginia**

### **11 stycznia**

Gdy Fox Mulder wraz z Dakotą Whitney ścigali podejrzanego, ekipa FBI znalazła pojemnik porzucony przez Janke Dacyszyna na chodniku przed budynkiem.

Drummy włożył lateksowe rękawiczki, przyklęknął i ostrożnie uniósł wieko. W środku znalazł czarny worek na śmieci. Zawierał coś okrągłego, wielkości kuli do kręgli, lecz bardziej jajowatego. Worek nie był ani zawiązany, ani zamknięty zapinką i łatwo było się do niego dostać, lecz Drummy podszedł do zadania z ostrożnością adekwatną do wagi materiału dowodowego.

Niczym dzieciak rozpakowujący pod choinką paczuszkę, niepewny, czy w środku znajduje się wymarzony prezent, Drummy odciągnął folię, by przyjrzeć się zawartości pojemnika. Agent stał twardo na nogach i w swej piętnastoletniej karierze widział już chyba wszystko.

Ale nigdy wcześniej nie widział odciętej głowy agentki FBI, Moniki Bannan.

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

## **Richmond, Wirginia**

### **12 stycznia**

Dana Scully zmierzała do swego biura w kitlu narzuconym na rudy sweter i szare flanelowe spodnie, gdy na przeciwnym końcu korytarza ujrzała znajomą, sylwetkę.

Czekał na nią Mulder. Aż za dobrze znała to przygnębione spojrzenie. Stał z rękami w kieszeni brązowego palta. Na jego twarzy malował się ból.

Przecisnęła się między lekarzami, pielęgniarkami, pacjentami i zakonnicami, by do niego dołączyć. Para usunęła się pod ścianę. Stali i patrzyli sobie w oczy tak, jak potrafią tylko nieznajomi lub zakochani.

- Wiem - odezwał się nieśmiało i przepraszająco - wolałabyś, żebym się nie mieszał.

Wzięła go za rękę. Coś zmiękło w jego twarzy. Zamknął oczy. Mulder, Mulder...

Wydawał się wycieńczony w każdy możliwy sposób: fizycznie, emocjonalnie, duchowo...

- Już dobrze - szeptała czule - Mulder, już dobrze.

Uśmiechnął się kwaśno, choć niemal niewidocznie.

- Chyba jestem trochę zmęczony. I mocno skołowany. Jakim cudem tak się to potoczyło?

Kiwnęła głową, całując go.

- I jak szybko się to potoczyło. Wiesz już o Dakocie Whitney?

- Wiem. Słyszałam, - Jej uśmiech był ciepły i oddany, choć zdawała sobie sprawę, że niewiele pomoże. - Dzwoniłam...

- Wyłączyłem komórkę na jakiś czas. - Pokręcił głową. - Prawie go miałem, Scully. Ten podejrzany, ten cały Janke.

- Wszystko mi powiedzieli - ścisnęła mu dłoń. - Nie zmuszaj się, by przeżywać to raz jeszcze.

- Jak mogliśmy ją stracić?

Zwiesił głowę. Wiedziała, jak bardzo Mulder starał się utrzymać emocje za chłodną fasadą, zdawała sobie jednak też sprawę, że cierpi przede wszystkim dlatego, że zadręczał się tym, co z przekonaniem uważał za swoją winę.

- Monica Bannan nie żyje - westchnął i znów pokręcił głową.

- Myślałem, że dobrze nam idzie, Scully.

Dopiero po chwili zrozumiała, że przez „nam” rozumiał „Mulderowi i Whitney”, a nie

„Mulderowi i Scully”. Poczowała ukłucie irracjonalnej zazdrości i natychmiast się zawstydzila.

- Wiem. - Pocieszyła go i zabrała rękę.

Wrócili do przykryj rzeczywistości.

Mulder przełknął ślinę i wyciągnął rękę z rulonikiem kartek. Scully rozpoznała kserokopie zdjęć podejrzanych.

- Przyszedłem zobaczyć się z ojcem Joem - wyjaśnił. - Chcę go zapytać o tych mężczyzn.

Zaląła ją fala rozczarowania.

- Wciąż chcesz mu wierzyć?

Patrzył na nią bez słowa, lecz tym spojrzeniem jakby przyznawał jej rację. Tylko pomyśleć, że to ona go w to wciągnęła, choć opierał się ze wszystkich sił...

Musiała mu coś powiedzieć.

- Powinieneś wiedzieć, że zdiagnozowano u niego nieuleczalną chorobę - raportowała zwięźle. - Joseph Crissman ma zaawansowanego raka szpiku kostnego.

Mulder zmrużył oczy. Po chwili na jego twarz wrócił wyraz pozornej pustki, świadczący o

zdecydowaniu.

- I tak muszę z nim porozmawiać - odrzekł. - Muszę mieć pewność.

Scully nie mogła mu tego odmówić, choć nie zmieniła zdania w tej kwestii.

- Musisz mieć pewność, że jest nie tylko zbrojcem, ale także kłamcą?

Posłał jej puste spojrzenie.

- No dobra - odparła i wyciągnęła rękę po kserówki. - Daj mi to.

W takim razie ja go zapytam.

- Dobrze. Chciałbym ci towarzyszyć.

Kiwnęła głową i ruszyła korytarzem. Mulder za nią.

Na oddziale onkologicznym wśród kilku innych pacjentów i przemykających w milczeniu pielęgniarek ojciec Joe w szpitalnym łóżku wyglądał na słabowitego i znacznie starszego.

Zupełnie jakby atak, którego Scully była świadkiem, dołożył mu wiele lat. Gdy zbliżyła się z Mulderem, duchowny wyglądał, jakby spał. Otworzył jednak oczy, gdy stanęli przy jego łóżku.

- Ojciec Joe - przywitała się cicho Scully.

Wzrok byłego duchownego powędrował jednak wprost ku Mulderowi.

- Uwierzyłybyś, że myślałem o tobie? - zapytał.

Mulder skinął głową na potwierdzenie, zupełnie jakby dokładnie czegoś takiego należało spodziewać się z ust starego pacjenta.

- Miałem wizję, która mogłaby cię zainteresować - podparł się na łokciu. - Widziałem mężczyznę. Mówił w obcym języku.

Mulder ukradkiem zerknął na Scully, która odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym wątpliwości.

W końcu rozwinięła jedną z kserokopii i pokazała ją rozmówcy.

- Czy to może ten mężczyzna?

Oczy ojca Joego zapłonęły, gdy studiował grubo ciosaną twarz Janke Dacyszyna.

- Tak! To ten człowiek...

Czy to przedstawienie nigdy się nie skończy?

- Wielkie nieba! Skąd wiedzieliście?

- Uważamy, że ten osobnik uprowadził Monicę Bannan, agentkę FBI... i Cheryl Cunningham, drugą kobietę, którą ojciec ponoć widział. Możliwe, że porwał znacznie więcej kobiet. A pomagał mu ten mężczyzna...

Pokazała byłemu księdzu zdjęcie szefa Służby Transportu Organów, Franza Tomczeszyna.

Ojciec Joe wpatrywał się w nie dłuższą chwilę. Studiował fotokopię tak intensywnie, że gdyby nie tragizm całej sytuacji, Scully wybuchłaby śmiechem.

- Przykro mi. Nie wiem kto to jest - stwierdził po dłuższej chwili.

Scully czuła, iż dowiodła swoich racji. Oszustwo klechy rzuciło się w oczy. Nie miała jednak poczucia satysfakcji. Źle jej było z myślą, że rzuca Mulderowi kłody pod nogi. Partner spoglądał na nią, najwyraźniej wyczuwając jej niecierpliwość.

- Jest ojciec pewien? - drażył Mulder. - Może ojciec zna go z przeszłości, a nie ze swoich wizji?

Rozmówca pokręcił głową.

- Jestem prawie pewien, że nie znam tego człowieka.

Mulder wpatrywał się w ojca Joego, ewidentnie pragnąc uczciwej odpowiedzi z ust byłego księdza.

Scully postanowiła położyć kres tym podchodom.

- A ja jestem pewna, że ojciec go zna - stwierdziła lakonicznie.

Stary pacjent odwrócił się do Scully, niby zdumiony.

- Właściwie - ciągnęła Scully z jadowitym uśmiechem - zna go ojciec, odkąd był chłopcem... Ministrantem.

Wciąż zwrócone na Scully oczy byłego księdza się rozszerzyły. Ojciec Joe przesunął wzrok na wciąż trzymaną przez kobietę kserówkę.

- O, nie! - Westchnął, - Dobry Boże, nie...

Były kapłan wyrwał kartkę z ręki Scully i z otwartymi ustami przyglądał się kopii zdjęcia.

W oczach zbierały mu się łzy. Trząsł się z nadmiaru emocji.

- To nie może być prawda! Nie wierzę, że to się dzieje...

- Nikt nie wierzy - sucho skwitowała Scully.



Patrzył na nią przez łzy. Nie współczuła mu. Nie miała czasu na jego cholerne kłamstwa...

Wreszcie przemówił cicho. Głos mu drżał, ale nie wiązał w gardle.

- To on musi być moim połączeniem z tą dziewczyną... moje wizje miały uchronić ją przed nim...

Scully nawet nie próbowała kryć pogardy, jaką żywiła do byłego klechy. Crissman spoglądał na Muldera.

- Musisz mi uwierzyć, synu. To dzieło Boga. Dzieło Boga...

Mulder szukał odpowiednich słów, lecz Scully go ubiegła.

- Zadam ojcu pytanie. Jedno, ostatnie, proste pytanie. Czy ona jeszcze żyje? Ta dziewczyna, którą ojciec widzi. Agentka FBI, Monica Bannan. Czy żyje?

Człowiek w szpitalnym łóżku przełknął ślinę. Widać wyczuł, że Scully chce go zwabić w pułapkę.

No dawaj, ojczulku, myślała Scully, szansa jeden do dwóch... wal śmiało...

- Wyczuwam ją - odparł były ksiądz. - Tak. Wciąż jest przy życiu.

Na twarzy Scully zagościł wyraz dzikiej satysfakcji. Spojrzała na Muldera. Jej wzrok mówił: „Jakich jeszcze dowodów ci trzeba?”

Mulder tylko kiwnął głową i bez słowa opuścił oddział.

Kilka chwil później Scully próbowała go dogonić na korytarzu, gdy kierował się do wyjścia.

- Mulder...

Spojrzał na nią przez ramię, lecz się nie zatrzymał.

Usiłowała zrównać z nim krok.

- Dokąd idziesz? - chciała wiedzieć. - Mulder?

Przystanął.

Odwrócił się do niej. Mówił cicho, lecz stanowczym głosem.

- Możliwe, że mówił o drugiej kobiecie, Scully. Wiesz równie dobrze, jak ja, że prawdziwi telepaci bywają nie do końca dokładni. Możliwe, że druga z uprowadzonych kobiet jeszcze żyje.

- Mulder...

- Wszyscy sobie odpuścili. Ale co, jeśli ona wciąż żyje? Znajdę ją.

Skinęła głową. Rozumiała.

Przechylił głowę i otaksował ją spojrzeniem. Możliwe, że się zastanawiał, czy nie traktuje go protekcjonalnie.

- Myślisz, że nie rozumiem - powiedziała - ale się mylisz.

Teraz on skinął głową. On też rozumiał. Zdawał się wyczuwać smutek ukryty w jej słowach.

- Dlatego właśnie się w tobie zakochałam - stwierdziła.

- I... - Mulderowi trudno było wydusić to z siebie. - Dlatego właśnie nie możemy być razem.

Chciała wyciągnąć rękę, okazać miłość. Ale było za późno. Mulder zdążył się odwrócić i zostawić ją samą w zatłoczonym szpitalnym korytarzu.

Samą. Z bezgranicznym poczuciem straty.

## **Ośrodek**

### **Gdzieś w Wirginii**

#### **12 stycznia**

Plastikowa zasłona oddzielająca psiarnię od pokoju, w którym pracowali lekarze, była uchylona, tak że Cheryl Cunningham, kucająca przy otworze swojej drewnianej klatki, mogła częściowo dojrzeć, co się za nią dzieje.

Drugi jeniec, którego zobaczyła - pacjent czy też królik doświadczalny, bo tego nie sposób było odgadnąć - leżał na szpitalnym łóżku, zakryty kocem cały prócz głowy. Musiał być bardzo chory. Cerę miał poszarzałą i z trudem oddychał.

Przerażający porywacz o skołtunionych włosach, którego w myślach nazywała Rasputinem, ubrany w koszulkę i czarne dżinsy, właśnie się awanturował. Wrzeszczał coś do wychudzonego starszego lekarza. Nie wiedziała, co tak zdenerwowało Rasputina. Nie potrafiła też stwierdzić, czym właściwie było to pomieszczenie, gdzie pracowali lekarze. Widziała tylko rozmazane kontury sprzętu medycznego, błyszczące w jasnym świetle.

Zdawali się kłócić o chorego na łóżku. Rasputin żywo gestykulował, wskazując pacjenta.

Gniew zabarwiony był innymi emocjami, nie potrafiła jednak powiedzieć, jakimi. Troską?

Strachem? Czy Rasputin mógł się czegokolwiek bać?

Wysoki, wychudzony doktor, choć zazwyczaj uprzejmy, postawił się Rasputinowi. Bez reszty zaangażował się w gorący spór. Pozostała dwójka - asystenci - stali z tyłu, z pełną uwagą śledząc starcie.

I wówczas Cheryl Cunningham ujrzała coś, co sprawiło, że uznała, iż albo oszalała, albo trafiła do piekła.

W trakcie kłótni Rasputin uniósł koc, przykrywający mężczyznę na łóżku, chcąc wskazać kryjące się pod nim ciało. Jednak to, co odkrył, wcale nie było ciałem mężczyzny!

Koc zaraz opadł na dawne miejsce, skrywając wszystko poza głową pacjenta. Cheryl zaczęła się zastanawiać, czy została odurzona i miała halucynacje. A może rzeczywiście zobaczyła, odziane w szpitalną koszulę - zupełnie jak ona - kobiece ciało, na którym osadzono męską głowę?

Konflikt zakończył się równie prędko, jak się zaczął. Rasputin wypadł z pomieszczenia, minął dwoje asystentów i przelazł przez plastikową zasłonę, znikając Cheryl z oczu. Następnie usłyszała, jak chuderlawy doktor wydaje po rosyjsku rozkazy swoim pomocnikom. Szybko ruszyli do dzieła.

Ściślej rzecz biorąc, ruszyli w jej kierunku!

Cheryl cofnęła się w przestachu, gdy para w bieli podeszła do jej drewnianego więzienia.

Szybko otworzyli drzwiczki i sięgnęli do środka.

Krzyczała, gdy wyciągali ją na zewnątrz.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **12 stycznia**

Fox Mulder brnął przez biały krajobraz niczym lunatyk. Buty grzęzły mu w śniegu.

Wracał. Ale dokąd? Na miejsce przestępstwa? Ojciec Joe już dwukrotnie prowadził Muldera i ekipę z FBI przez tę białą pustkę, by odkopywać ludzkie szczątki.

Były agent czegoś szukał. Szkoda, że nie miał pojęcia, czego. Jednak coś przyciągało go w miejsce, gdzie spod lodowej pokrywy wydobyto blok lodu, by przewieźć go do laboratorium kryminalistycznego i w makabrycznych wykopaliskach wydobyć poodcinane kończyny i fragmenty ciała. Teraz ziała tu tylko dziura w ziemi, ogrodzona kijkami geodezyjnymi oraz taśmą oznaczającą miejsce przestępstwa.

Mulder stał tam, przyglądając się niczym gość w świątyni - ktoś, kto utracił wiarę i przybył tu w nadziei jej odzyskania. Dłonie w rękawiczkach wepchnął do kieszeni płaszcza.

Oddech parował mu na mrozie. Wolnym krokiem obszedł rozpadlinę, rozglądając się dokoła.

Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na miejsce zbrodni.

Nie potrafiłby racjonalnie wyjaśnić, dlaczego zdecydował się przyjrzeć bliżej szczytowi pagórka. Kiedy się tam wspiał, stwierdził, że rozpościera się stąd doskonały widok na całą okolicę. Kiedy zaś popatrzył w przeciwnym kierunku, ujrzał biegnącą w pobliżu wąską drogę.

Może to było tylko przeczucie, a może chodziło o to, że była to jedyna wiejska droga na tych peryferiach, którą nie przemierzył wraz z ekipą z FBI?

W każdym razie wkrótce jechał tą drogą białym taurusem. Nie było to wcale takie proste -

trasy nie odśnieżano od ostatnich opadów. Musiał trzymać się kolein pozostawionych przez bardziej odporne na warunki atmosferyczne pojazdy z napędem na cztery koła, które przemierzały te okolice przed nim. Choć słońce wisiało jeszcze wysoko - a przynajmniej powinno, bo niebo zasnuwały chmury - widoczność zakłócał padający śnieg. Wycieraczki robiły, co mogły, jednak i one, i samochód nie były przeznaczone do jazdy w takich warunkach. Będzie miał szczęście, jeśli nie utknie w tej zapomnianej przez Boga i ludzi głuszy.

Droga biegła teraz przez las, by potem wypaść na przesiekę. Z ulgą wyjechał na odśnieżoną, dobrze utrzymaną szosę. Miał do wyboru skręt w prawo i lewo. Jego intuicja milczała. Po krótkim namyśle skręcił w lewo. Nie mając pojęcia, gdzie się znajduje, jechał dalej przez wciąż nasilającą się śnieżycę, aż dotarł do niewielkiego miasteczka.

Zwolnił, gdy wjechał między zabudowania. Jechał teraz wzdłuż świeżo odśnieżonych chodników. Miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego. Stare niskie budyneczki w większości pogrążone były w ciemności, jedynie od czasu do czasu napotykał pojazdy sunące ulicą, sprawiającą wrażenie głównej. Już prawie wyjeżdżał z zapadłej miejsciny, kiedy jego wzrok padł

na stary drewniany budynek, na którego froncie dostrzegł sporych rozmiarów szyld: „Pasza i akcesoria dla zwierząt Nuttera”.

Zapadający zmrok kazał przypuszczać, że zbliżała się pora zamknięcia sklepu. Przez frontowe drzwi widać było, jak przysadzisty mężczyzna w błękitnej koszuli w kratę zwija interes.

Mulder zaparkował przed sklepem. Zastukał w witrynę. Po chwili pojawił się łysy mężczyzna o podejrzliwie zmrużonych oczkach. Uchylił nieco drzwi.

- Zamknięte - oświadczył. Nie był chamski, ale też trudno było dopatrzeć się w nim przychylności.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął Mulder.

Sprzedawca popatrzył ponad jego ramieniem na zaparkowanego taurusa.

- Jeśli w tę pogodę wybierasz się gdzieś takim samochodem, synu - odezwał się - to lepiej dojedź tam szybko.

- Zajmę panu tylko chwilę - ciągnął niezrażony Mulder.

- No to lepiej włącz do środka. Zimno zostawmy na dworze.

Cofnął się o krok, otwierając drzwi dla zapóźnionego klienta. Mulder poszedł za nim.

Podążył śladem mężczyzny między półki z artykułami dla zwierząt, aż do staromodnego drewnianego

kontuaru, z wagami szalkowymi i innym ezoterycznym sprzętem, który wyglądał na muzealny.

Musiał się zatrzymać, ponieważ pulchny właściciel szybko wrócił za ladę i zniknął na zapleczu.

- Czego ci trzeba, synu? - zawołał stamtąd.

- Zastanawiałem się, czy macie na stanie środek uspokajający dla zwierząt...

acepromazyne.

- Pewno, że tak - mówiąc to, sprzedawca wyłonił się z naręczem papierów. Jego świdrujące oczka patrzyły podejrzliwie. - Oczywiście, jeśli masz na nią receptę.

- Nie mam.

- No to ci jej nie sprzedam.

Mulder sięgnął do tylnej kieszeni. Właściciel sklepu, myśląc pewnie, że chodzi o łapówkę, spojrzął na swego późnego klienta z podejrzliwością i trochę niecierpliwie.

- Momencik, synu... - odezwał się.

- Nie chcę jej kupić - tłumaczył Mulder. - Zastanawiałem się tylko, czy kiedykolwiek sprzedał ją pan temu człowiekowi.

Mulder wyciągnął złożone ksero zdjęcia Janke Dacyszyna i zaprezentował sprzedawcy.

Ten już miał spojrzeć na fotografię, kiedy rozdzwonił się telefon na zapleczu.

- Niech to szlag - rzucił pogodnym tonem, idąc, by go odebrać - nigdy stąd nie wyjdę...

Mulder stał i czekał na powrót gospodarza. Słyszał, jak rozmawia, ale nie rozróżniał słów

- zresztą nawet nie usiłował podsłuchiwać rozmowy. Rozglądając się, zauważył światła kolejnego samochodu parkującego przed sklepem. Wóz był całkiem spory i Mulder poszedł

sprawdzić, kogo diabli niosą.

Zobaczył starą ciężarówkę z pługiem. Kierowca zgasił silnik i wysiadł z kabiny. Był

nim... człowiek, który umknął mu na placu budowy.

Janke Dacyszyn we własnej osobie.

Kiedy Tom Gibbons, właściciel sklepu z paszą i akcesoriami dla zwierząt Nuttera, wrócił

z zaplecza, młodego przybysza już nie było.

Jego miejsce zajął kolejny - stały klient, wielkolud z ciemnymi włosami w strąkach i twarzy równie przyjaznej, co pitbull.

- A co się stało z tamtym facetem? - zagadnął Gibbons ostatniego już chyba dziś klienta.

- Jakim facetem?

- Tym, który dopiero co tutaj stał!

Janke Dacyszyn wzruszył tylko ramionami, składając zamówienie.

Guzik go to obchodziło.

W kilka minut później, kiedy już zataszczył do ciężarówki kilka toreb z zapasami, Rosjanin wgramolił się do kabiny i wyruszył w śnieżny zmierzch, szybko ustępujący miejsca nocy. Nie zauważył, że biały ford, który wcześniej parkował przed sklepem, nagle zniknął.

Wkrótce po tym, jak pług odjechał spod sklepu, Mulder w swoim taurusie wyjechał z bocznej uliczki i ruszył w ślad za nim, trzymając odpowiedni dystans.

Tym razem drań mu nie ucieknie.

**13**

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

### **Richmond, Wirginia**

**12 stycznia**

Pogrążona w niemal fizycznie bolesnej tęsknocie Dana Scully przemierzała szpitalny hol niczym w transie. Na przecięciu korytarzy minął ją ojciec Ybarra. Rzucił jej karcące spojrzenie, po czym bez słowa poszedł dalej. Dwie zakonnice zdawały się płynąć obok niej w powietrzu, choć pozdrowiły ją skinieniem głowy i uśmiechem. Czuła się, jakby rzeczywistość zmieniła się w sen.

Wróciła do rzeczywistości, kiedy spojrzała ku drzwiom na końcu korytarza, prowadzącym do pokoju Christiana Fearona. W środku ujrzała ubranego w szpitalny szlafrok bosonogiego ojca Joego, który stał przy łóżku chłopca i zwrócony plecami do Scully pochylał się nad dzieckiem.

Rzuciła się biegiem. Niepokojący widok jeszcze się wyostrzył. To nie był sen tylko koszmar na jawie. Były ksiądz stał nad łóżkiem chłopca i przyglądał mu się z góry. Dłoń uniósł

w geście, który mógł być co prawda błogosławieństwem, ale znacznie bardziej prawdopodobne, że oznaczał co innego.

Ogarnięta żądzą mordy Scully wpadła do pokoju.

- Odsuń się od niego! - wrzasnęła. - Ale już!

Kiedy się do nich zbliżyła, z ulgą odkryła, iż ojciec Joe po prostu głaszcze dziecko. Wątki chłopiec o obandażowanej wygolonej głowie uśmiechał się do gościa. Mimo wszystko Scully chwyciła księdza i odciągnęła go od łóżka.

- Wynocha! Wynos się stąd! - krzyczała.

Ojciec Joe odwrócił się do niej. Zdawał się być w transie albo udawał, że tak jest.

- Ja właśnie... - zaczął.

Nie dała mu dokończyć.

- Ty gównozjadzie - wyszeptała jadowitym tonem. Jej górna warga się odwinęła, odsłaniając zęby. - Ty chory popaprańcu...

Były ksiądz pokręcił głową z miną ofiary, nie kata.

- Nie, nie... nie rozumiesz... ja tylko...

- Nie - ucięła. - Nie chcę tego słuchać.

Chciała natomiast chwycić go, wywlec z pokoju i stłuc na kwaśne jabłko. Na korytarzu zebrał się jednak spory tłumek ludzi - pielęgniarki, siostry, pacjenci - więc na pewno tego nie zrobi.

Leżący na łóżku chłopiec zdobył się na słaby uśmiech. Wyglądał jak pisklę, które wypadło z gniazda.

- W porządku, pani doktor. Ten pan nie zrobił nic złego. Jest miły.

Smutny, ale miły.

Anielski głos przebił nabrzmiały balon napięcia, ale Scully wciąż czuła wzbierający w niej gniew. Tymczasem ojciec Joe stał w milczeniu, niczym posąg, najwyraźniej zaszokowany wybuchem lekarki.

- Ten chłopiec to twój pacjent - powiedział w końcu powoli.

To było pytanie czy stwierdzenie faktu? Scully popatrzyła zaskoczona na rozmówcę.

Zdumienie chwilowo wzięło górę nad gniewem.

- Kto ci powiedział? - spytała.

- Nikt - odparł, lekko wzruszając ramionami.

- To co u diabła robisz w tym pokoju?

- Byłem już tutaj...

Spojrzała na chłopca.

- Czy ten człowiek odwiedzał cię kiedykolwiek wcześniej, Christianie?

- Nie, pani doktor.

Odwróciła się z powrotem do ojca Joego.

- Nigdy wcześniej tu nie byłeś. Nie wmawiaj mi...

- Byłem tu już wcześniej.

- Że co? - Prostota i pewność jego słów niemal przekonały ją, że mówił szczerze. Była jednak zbyt wściekła, by myśleć o nim inaczej, jak tylko o szarlatanie i pedofilu.

- Tu, w tym pokoju - ciągnął. Ton głosu miał dziwny. Nie mrugał wcale oczami, jakby dopiero teraz to do niego dotarło. - Ty i ten chłopiec. To wszystko już się zdarzyło. Zdarzyło się już wcześniej...

Czując, jak kręci się jej w głowie, Scully stała oniemiała. Co on do diabła ma na myśli? -

zastanawiała się. Zabrakło jej słów, żeby mu zaprzeczyć. Nadal stała w tym samym miejscu, gdy zjawili się dwóch strażników szpitalnych. Stanęli za jej plecami, niczym odsiecz - którą zresztą byli.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by minęli ją i podeszli do duchownego. Wiedziała, że powinna zostać w pokoju i porozmawiać z Christianem, jednak w tej chwili była zbyt wstrząśnięta, by to zrobić. Kiedy jedną nogą przekroczyła już próg, ksiądz, otoczony przez strażników, odezwał się znów do niej.

- Poddałaś się, prawda? - zapytał. - Całkiem się poddałaś.

Odwróciła się na pięcie i zamarła w miejscu. Mogła tylko wpatrywać się w oczy ojca Joego. Rozgorzały ogniem religijnego żaru, który wstrząsnął nią do głębi duszy.

- Nie możesz się poddać - powiedział stanowczo.

Poruszona do głębi, Scully odwróciła się i wypadła z pokoju, ścigana słowami byłego księdza.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **12 stycznia**

Fox Mulder prowadził białego taurusa odśnieżoną dwupasmówką przez śnieżną zadymkę.

Zapadał zmrok. Przed sobą widział światła pługu. Kiedy jeszcze służył w FBI, śledzenie pojazdów nie należało do jego specjalności, ale wydawało mu się, że radzi sobie całkiem nieźle.

Od tylnych świateł ciężarówki dzieliła go bezpieczna odległość.



Jechał szybciej, niżby chciał po takiej drodze - bez łańcuchów czy choćby opon zimowych, do tego z wyłączonymi światłami. Tymczasem pług sunął do przodu z podziwu godną prędkością, zważywszy na warunki i pogodę.

Mimo wszystko trwało to już trochę i Mulder nabrał pewności siebie. Sięgnął właśnie po komórkę, nie odrywając oczu od drogi. Jadący przed nim wehikuł wszedł z zadziwiającą łatwością w ostry zakręt i zniknął z widoku.

Biorąc ten sam zakręt, Mulder jednocześnie walczył z telefonem, usiłując znaleźć właściwy klawisz szybkiego wybierania. Kiedy wyszedł z zakrętu zobaczył pług, który zatrzymał się na środku szosy!

Skręcił gwałtownie i depnął na hamulec. Poczł, jak zalewa go fala bezradności. Taurus wymknął się spod kontroli.

Sedan uderzył bokiem w pług z siłą, od której Mulderowi zaszczękały zęby. Odbił się od niej, prawie jej nie uszkadzając, po czym ześliznął się ku śnieżnemu wałowi na poboczu i zatrzymał na nim raptownie. Impet uderzenia uruchomił poduszki powietrzne.

Z poduszki powoli schodziło powietrze. Mulder siedział oszołomiony za kierownicą.

Czuł, że traci świadomość. Walcząc z tym, nie zauważył zbliżającego się pługu.

Gdy pojazd zderzył się z fordem, Mulder rozbudził się gwałtownie, jakby w jego głowie rozdzwonił się niewidzialny budzik. Wciąż nieco zamroczone, wyrzwał przez okno i zza opadającej poduszki powietrznej dla pasażera ujrzwał Janke Dacyszyna, który patrzył nań spode łba zza przedniej szyby pługu. Wielki lemiesz maszyny wgniatał się w prawy bok taurusa, wpychając go coraz głębiej w śnieżny wał.

Mulder odzyskał na tyle przytomność umysłu, by zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Próbował wysiąść przez drzwi od strony kierowcy, ale śnieg nie pozwalał ich otworzyć. W

desperacji usiłował otworzyć okno. Nie do wiary - dało się opuścić! Śnieg okrywający okno zaczął odpadać! Ulga Muldera nie trwała długo - odpadał tylko dlatego, że pojazd zawisł w powietrzu.

Pług spychał taurusa z nasypu w dół.

Z wnętrza samochodu, który nader szybko zamieniał się w trumnę, Mulder i tak nie widział najgorszego. Nasyp był stromy i opadał daleko w dół, ku zamrożonemu strumieniowi.

Nieszczęsny były agent widział natomiast pług, napierający na jego samochód z uporem - który w końcu posłał taurusa w dół...

Mulder wciąż jeszcze był przytomny, gdy jego wóz koziołkował po zboczu. Słyszał

dźwięk uderzeń w metal. Wreszcie samochód zatrzymał się z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Nie było już poduszek powietrznych, które mogłyby zamortyzować wstrząs.

Uderzenie pozbawiło byłego agenta świadomości.

Tymczasem na górze pług wycofał się, rozcinając reflektorami ciemność, która zastąpiła zmierzch. Potem ruszył w swoją stronę po pustej drodze, zostawiając rozbity samochód w miejscu, w którym szansa na jego odnalezienie była równie nikła jak szansa na to, że kierowca przeżył upadek.

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

### **Richmond, Wirginia**

#### **12 stycznia**

Dana Scully, wciąż poruszona dziwną wymianą zdań z ojcem Joem, wkroczyła w przyjazną ciemność biura. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, próbując się zebrać w sobie.

Wreszcie podeszła do biurka, zapaliła lampkę i zasiadła do komputera. Jedną ręką wpisując hasło, a drugą przecierając oczy, siedziała w ciszy, czekając, aż maszyna zbudzi się do życia.

Odruchowo sięgnęła po stosik wykonanych wcześniej wydruków. Kartki leżały nieskładnie na kupie i trzeba je było uporządkować. Kiedy je układała, plik spiętych spinaczem kartek upadł na podłogę. Schyliła się, by go podnieść, i umieściła starannie na wierzchu poskładanej sterty. Jej wzrok przyciągnął wytłuszczony nagłówek:

„Rosyjska terapia oparta na komórkach macierzystych w transplantologii”.

Pod spodem zamieszczono zdjęcie naukowca z psem.

Zmarszczyła brwi, patrząc w zamyśleniu na stronę tytułową. Przekartkowała artykuł.

Natrafiała na kolejne zdjęcie. Szokujące. Znow przedstawiło naukowca z psem. Jednak ten pies był niezwykle.

Miał na szyi przeszczepioną głowę całkiem innego psa.

Przez chwilę osłupiała wpatrywała się z kolei w to zdjęcie. Potem nagle zerwała się z krzesła i rzuciła do drzwi, wyławiając jednocześnie komórkę z kieszeni laboratoryjnego fartucha.

Wypadła z biura, naciskając przycisk szybkiego wybierania.

Idąc korytarzem, z telefonem przyciśniętym do ucha, słyszała głos Muldera: „Widocznie jestem zajęty. Zostaw wiadomość po sygnale”.

- Oż kurde! - powiedziała głośno. Puściła mimo uszu przydługie instrukcje recytowane przez mechaniczny kobiecy głos, po czym wreszcie nagrała wiadomość:

- Mulder! Muszę z tobą porozmawiać. Musisz do mnie zadzwonić, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Wierz albo nie, ale ta agentka FBI rzeczywiście żyje. A przynajmniej jakaś jej część.

## **Waszyngton**

### **Kwatera Główna FBI**

**12 stycznia**

W sali konferencyjnej, zamienionej na prowizoryczne stanowisko dowodzenia, garstka agentów FBI wciąż pracowała nad sprawą. Jednak gwar i zgiełk należały już do przeszłości.

Agentka Monica Bannan nie żyła, tak samo jak zastępca naczelnika biura terenowego FBI, Dakota Whitney. Obecnie dochodzenie miało bardzo ograniczony zakres i koncentrowało się na przebywającym w szpitalu ojcu Joem Crissmanie, któremu dowiedziono powiązania z domniemanym czarnorynkowym handlarzem organami, Franzem Tomczeszynem.

Zadzwonił telefon stacjonarny. Odebrała Fossa - ciemnowłosa, wiecznie niezadowolona agentka, którą Fox Mulder i Dana Scully zauważyli podczas pierwszej wizyty w tym miejscu. Na szczęście nie mieli wątpliwej przyjemności porozmawiać z nią.

Teraz jednak Fossa miała okazję posłuchać głosu Dany Scully. Nie podjęła jednak rozmowy.

- Do ciebie - odezwała się do Drummy'ego, który siedział w pobliżu nad laptopem.

Drummy podszedł do telefonu. Przedstawił się.

- Mulder zaginął, potrzebuję waszej pomocy - odezwał się żeński głos w słuchawce. -

Dzwonił do mnie chwilę temu. Usłyszałam jego krzyk, po czym rozmowa została przerwana.

- Czy to pani, doktor Scully? - zapytał, patrząc jak agentka Fossa przygląda mu się spod zmarszczonych brwi.

- Tak - potwierdziła niecierpliwie Scully. - To ja. Chodzi o to, że...

- Proszę się uspokoić i powiedzieć dokładnie, w czym problem.

- Nie mogę się skontaktować z Mulderem.

- Gdzie on jest?

- Czy dzwoniłabym, gdybym to wiedziała?

- Chwileczkę. - Drummy spojrzał na Fosę, która stała na tyle blisko, by słyszeć całą konwersację. Kobieta pokręciła głową. Z ciężkim westchnieniem Drummy powrócił do przerwanej rozmowy. - Sugeruję, żeby zadzwoniła pani na policję.

- Że co, proszę?
- To nie jest sprawa dla FBI.
- Ale on tam pracuje nad waszą sprawą!
- Wykonał pracę, do której go zatrudniliśmy. Na tym kończą się jego konsultacje.
- Sami się do niego zwróciliście! Sami go wezwaliście!
- No cóż, to nie była moja decyzja.
- Nie, to decyzja Whitney. A ona zginęła, kiedy wraz z Mulderem ściagała podejrzanego.
- Nie musi mi pani o tym przypominać.
- Proszę mnie posłuchać... Potrzebuję waszej pomocy!

Drummy zacisnęła szczęki. Miała rację. Byli jej to winni. Ale szefowa, Fossa, obserwowała go wzrokiem tyleż chłodnym, co bezwzględny.

Więc Drummy powiedział tylko:

- Przykro mi. Nie mogę pani pomóc.
- To proszę dać do telefonu kogoś z jajami, kto może mi pomóc!

Odwiesił słuchawkę, choć wiedział, że miała cholernie dużo racji.

Wiedział też, że osoba z jajami - Fossa - nie dałaby Danie Scully nic ponadto, co mógł jej dać on sam.

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

### **Richmond, Wirginia**

#### **12 stycznia**

Przemierzając zamaszystym krokiem szpitalny korytarz, Dana Scully przyciągała ciekawskie spojrzenia. Ludzie unosili znacząco brwi, widząc, jak pomstuje pod adresem Bogu ducha winnej komórki. Nie zwalniając kroku, wybrała numer, który nie był już przypisany do przycisku szybkiego wybierania, ale którego nie potrafiła wymazać z pamięci.

- Federalne Biuro Śledcze - usłyszała głos operatora.
- Proszę mnie połączyć z zastępcą dyrektora - poleciała.
- Kogo mam zapowiedzieć?

- Byłą agentkę Danę Scully.

Następnym głosem, który usłyszała, był głos Waltera Skinnera.

14

## Gdzieś w Wirginii

12 stycznia

Tom Gibbons, właściciel sklepu z paszą i akcesoriami dla zwierząt Nuttera, wracał

właśnie na farmę. Mimo mroku zauważył wyłom w śnieżnym wale, którego nie zrobiła raczej matka natura - sądząc po licznych śladach opon w białym puchu na poboczu żuźlowej drogi.

Wyglądało to, jakby jakiś samochód stracił przyczepność i przebił się przez wał.

Gibbons znał okolicę i wiedział, że po drugiej stronie czai się przepaść.

Wysoki łysielec w pikowanej kamizelce, kurtce w kratę i błękitnych dżinsach wysiadł ze swego pikapa, podszedł do wyłomu, zrobionego przez nieszczęsnego kierowcę, przeszedł na drugą stronę i popatrzył w dół, na koryto strumienia. Pechowy samochód okazał się białym fordem tego idioty z miasta, który wpadł zadać pytanie i szybko się zmył, Gibbons pokręcił

głową. Przecież ostrzegał gościa przed jazdą w tych warunkach!

Wrócił do pikapa i chwycił za komórkę.

- Jim? Tak, mówi Tom. Jestem właśnie na sto pięćdziesiątceczwórce i patrzę na spód samochodu jakiegoś faceta, który dachował przy drodze. Biedny sukinkot pewnie zginął na miejscu.

Gibbons nie wiedział, że ledwie kilka minut temu, ów „biedny sukinkot” nie tylko żył, ale robił wszystko, co w jego mocy, by nie zmieniać tego stanu rzeczy.

Fox Mulder ocknął się i odkrył, że wisi głową w dół, w mocnym uścisku pasów bezpieczeństwa. Próbował się oswobodzić. Po dłuższej chwili udało mu się to. Z hukiem wylądował na suficie leżącego na dachu samochodu.

Do połowy zakopany w śniegu pojazd stał się pułapką. Zaczął kopać tunel na zewnątrz, korzystając z okna po stronie kierowcy, które wcześniej otworzył.

Wykopał sobie w końcu drogę ku wolności, wyłonił się spod śniegu niczym suseł z nory.

Zaczerpnął w płuca lodowatego powietrza. Pierwsze, co zobaczył, to światła stojącego na drodze powyżej samochodu. Nie wiedział, że należą do wozu faceta ze sklepu z paszą, Toma Gibbonsa.

- Hej! - krzyknął Mulder.

Stanął już na nogi. Przeszedł po podwoziu wywróconego do góry kołami forda, by dotrzeć do brzegu strumienia. Zadarł głowę i spojrzął na długie i strome podejście, nie przestając krzyczeć. Ale światła po chwili zniknęły.

Mulder stał z okrwawioną twarzą, w ciemności i chłodzie, rozważając możliwości.

Przetrzęsnał ubranie w poszukiwaniu komórki - ale musiał zostawić ją gdzieś w aucie, a nie miał najmniejszej ochoty wracać tam przez śnieg. Nie pozostawało mu nic innego, jak wspinać się po tym stromym, zaśnieżonym nasypie.

Zabrał się do dzieła, wyszukując gałęzie wystające ze śniegu, których mógł się złapać.

Czasem się odłamywały, ale nie ustawał w wysiłkach, ostrożnie posuwając się w górę, by powrócić na drogę.

Podczas gdy Mulder wdrapywał się po zboczu, pług oddalał się z dużą prędkością.

Kierujący nim Rosjanin był wyjątkowo zadowolony z siebie. Poradził sobie z agentem FBI!

Janke Dacyszyn natknął się na agentów FBI przeszukujących biura DTS i dlatego był

przekonany, że Mulder jest jednym z nich. Wziął ostry zakręt i poprowadził starego pikapa zaniedbaną przecinką przez okryte bielą lasy.

Będzie musiał odśnieżyć drogę, ale to nie powinno stanowić problemu. Zaprzągnął lemiesz pojazdu do roboty, spychając hałdy śniegu z drogi na muldy usypane na poboczu.

Przez jakiś czas radził sobie całkiem nieźle. Torując sobie drogę, sunął przed siebie wąską drogą, okoloną uginającymi się pod ciężarem śniegu drzewami. Nagle pojazd się zatrzymał.

Ogromne opony buksowały w miejscu, a silnik ryczał niczym ranny zwierz. Poirytowany Rosjanin wygramolił się z kabiny, żeby zobaczyć, co się do diabła dzieje...

To, co ujrzał, zmieniło irytację w gniew. Pług złamał się podczas spychania białego taurusa z drogi i teraz odgiął się na bok. Janke zaklął szpetnie w ojczystym języku, a echo poniosło słowa gdzieś w las - kolejna ranna bestia zanosząca skargę do obojętnego Boga.

Przemarznięty i wycieńczony Mulder wyłonił się z wyrwy, przez którą wypadł taurus.

Krew na jego twarzy zdążyła zamarznąć. Chwiejnym krokiem wydostał się na pobocze. Oparł

dłonie na kolanach, łapiąc oddech. Wiejska droga ciągnęła się w obu stronach przez białe pustkowie. Nie mógł dostrzec, jak daleko, bo padający śnieg, niesiony wiatrem, ograniczał

widoczność. Mulder wiedział, że w kierunku, z którego przybył, może natknąć się tylko na to żałośnie małe miasteczko, a i to diabli wiedzą, ile kilometrów stąd. Więc udał się w przeciwnym kierunku,

mając nadzieję, że napotka na swojej drodze jakiś samochód.

Jednak w miarę, jak szedł przed siebie, śnieg padał coraz mocniej, a wiatr przybierał na sile. Żeby pozostać na drodze, musiał posuwać się bokiem pod wiatr, co niemal całkiem uniemożliwiało mu dostrzeżenie czegokolwiek. Na twarzy czuł pierwsze ukąszenia mrozu.

Gdy pracował jako agent i miał do czynienia ze sprawami z Archiwum X, stawiał czoło wielu niebezpiecznym sytuacjom. Napotykał na swojej drodze monstra w ludzkiej i nieludzkiej postaci. Skazali go na śmierć konspiratorzy z kręgów rządowych. Uciekał nie tylko śmierci, ale i cudacznym wariacjom na jej temat, jakich nie przeżył żaden człowiek. Jak widać tylko po to, żeby zamarznąć na śmierć na wiejskiej drodze gdzieś w Wirginii.

Kiedy dotarł do zaniedbanej przecinki skręcającej w las, nie wiedział, że to właśnie tam skierował swój pług jego prześladowca. Widział tylko część drogi odśnieżoną przez pług, nim ten utknął na dobre.

Jednak samego pojazdu nie można było dostrzec z miejsca, gdzie stał Mulder. Były agent patrzył, jak padający śnieg z wolna przykrywa ślady pojazdu.

Mulder oczywiście wziął pod uwagę, że ciężarówka z pługiem, która zepchnęła go z drogi, mogła odśnieżyć i tę przecinkę, ale nie miał co do tego pewności. Wiejska droga, którą przemierzał, była na tyle ważnym szlakiem komunikacyjnym, że ktoś z pewnością w końcu się tu zjawi. Wiedział, że walcząc z chłodem, nie powinien zapuszczać się w tę przesiekę i mroczniejsze lasy.

Wybrał więc względne bezpieczeństwo na wiejskiej drodze i ruszył dalej. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie, jak kiedyś znalazł się na rozdrożu razem ze Scully. Skręcić główną drogą w prawo czy w lewo? Oto pytanie!

Zamiast tego Mulder pojechał prosto, najmniej uczęszczaną drogą.

Tam właśnie znaleźli odpowiedź, której szukali.

Więc i teraz zawrócił - zmrożona na kość postać, która wciąż trzymała się jakoś na nogach

- i ruszył boczną drogą.

Przez mroczne lasy.

**Ośrodek**

**Gdzieś w Wirginii**

**12 stycznia**

Oślepiająco jasne światło, padające prosto na twarz zbudziło Cheryl Cunningham. Jego nagły rozbłysk zaniepokoił też psy w pobliskich klatkach - zaczęły szczekać i ujadać. Cheryl przysunęła się do okrągłego otworu w drewnianej skrzyni. Zobaczyła, jak asystent lekarza przytrzymuje plastikową

zasłonę przed asystentką, która jego śladem wkroczyła do psiarni, wpuszczając do niej jeszcze więcej światła z jasnego pomieszczenia, gdzie pracowali wśród maszyn i sprzętu laboratoryjnego.

Cheryl zwinęła się na powrót w kłębek, gdy asystent otworzył drzwi drewnianej klatki.

Wyciągnął ręce. Za jego plecami Cheryl zobaczyła, jak kobieta przygotowuje strzykawkę, usuwając z niej powietrze. Cheryl dobrze wiedziała, co to będzie za zastrzyk...

- Nie! Zostaw mnie! Nie waż się...

Ale dłonie asystenta zacisnęły się już na rękawach brudnej szpitalnej koszuli.

- Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie!

Mężczyzna i kobieta rozmawiali po rosyjsku, zupełnie nie przejmując się jej protestami.

Dyskusja miała czysto profesjonalny charakter.

Wrzeszcząca Cheryl została zawleczona do otworu wyjściowego klatki, a kobieta wbiła w jej ciało igłę.

W ciągu kilku sekund Cheryl umilkła, a jej ciało zwiotczało. Ubrana w szpitalną biel para wzięła ją pod ramiona i powlokła ku jasnemu światłu za plastikową zasłoną.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **12 stycznia**

Mulderowi przyszły na myśl dwie rzeczy.

Po pierwsze, prawdopodobnie popełnił błąd, skręcając w tę pogrążoną w mroku przesiekę; powinien zawrócić. Po drugie, zastanawiał się, czy nie mógłby po prostu znaleźć sobie jakiegoś rozłożystego drzewa, pod którym się ułoży i utnie sobie krótką drzemkę. I nigdy się nie obudzę, myślał jeszcze jakiś czas temu. Teraz zupełnie go to nie obchodziło.

Nagle ujrzał coś, co sprawiło, że zamarł w miejscu - bynajmniej nie z powodu warunków atmosferycznych. Tuż przed nim, na środku drogi stał pług.

Puścił się biegiem. Jeszcze chwilę temu sama myśl o bieganiu wydawała mu się absurdalna. Teraz biegł niczym wyczynowiec, pchany do przodu adrenaliną. Nie mógł go powstrzymać cały śnieg świata ani całe zimno kosmosu.

Pług stał w odległości odpowiadającej mniej więcej długości boiska futbolowego. Światła miał wygaszone. Niezgrabną sylwetkę oświetlał jedynie przysłonięty chmurami rogal księżyca.

Nie troszcząc się o bezpieczeństwo, Mulder podbiegł do kabiny od strony kierowcy. Nie zastanawiał się, jakie groziłyby mu kłopoty, gdyby zastał tam Rosjanina.



W stanie, w jakim się znajdował - podmrażany, poobijany i skrajnie wycieńczony - nie było to jego największym zmartwieniem.

Kabina wydawała się pusta. Kiedy Mulder otworzył szarpnięciem jej drzwi, przypuszczenie się potwierdziło. Dopiero wtedy dotarło do niego, że powinien zachować ostrożność na wypadek, gdyby Janke czaił się gdzieś w pobliżu. Poświęcił zatem jakąś minutę i obszedł pojazd, rozglądając się wokół - nie tyle w poszukiwaniu kryjówki, ile samego zbira.

Rosjanina nie było jednak nigdzie w zasięgu wzroku. Był za to dowód na to, że się stąd oddalił - wyraźne ślady stóp w świeżym śniegu, wiodące w ciemność. Pierwszą myślą Muldera było ruszyć tym tropem.

Po chwili jednak wpadł na inny pomysł. Wrócił do kabiny pług i przetrząsnął ją w poszukiwaniu odpowiedniej broni. Dopiero kiedy ją znalazł, podążył za śladami stóp w ciemną noc. W ręce trzymał łyżkę do opon.

## **Ośrodek**

### **Gdzieś w Wirginii**

#### **12 stycznia**

Tymczasem w sali operacyjnej ubrany w kitel i czepek Janke Dacyszyn pochylał się nad osobą, na której zależało mu najbardziej na świecie - nad Franzem Tomczeszynem. Mężczyzna leżał na szpitalnym łóżku pod prześcieradłem, z odstłoniętą głową, w jasnym świetle chirurgicznej lampy. Janke nachylił się nad prawym uchem mężczyzny.

- Wszystko będzie dobrze, Franz - szepnął do niego z miłością po rosyjsku. - Będziemy razem - uspokajał go. - Wreszcie będziemy razem.

- Boję się - wyszeptał Franz ledwo słyszalnym głosem.

- Nie pozwolimy ci umrzeć.

Para asystentów wtoczyła drugie łóżko na kółkach, na którym spoczywała nieprzytomna Cheryl Cunningham, wciąż ubrana w zabrudzoną szpitalną koszulę. Minęli Janke i Franza i podjechali łóżkiem do chuderławego doktora w chirurgicznym fartuchu.

Starszy lekarz sprawdzał temperaturę wody w dużej plastikowej wannie, wypełnionej topniejącym lodem.

Następnie odwrócił się do asystentów, by wydać im surowo brzmiące, zdawkowe polecenia po rosyjsku. Przenieśli Cheryl Cunningham z łóżka do wanny z lodową breją, rozebrali ją z ubrudzonego szpitalnego szlafroka i ułożyli starannie w lodzie, upewniwszy się, że głowa znajduje się wyżej niż ciało, tak aby mogła oddychać.

Choć silnie odurzona środkami uspokajającymi, Cheryl zareagowała na przeraźliwe zimno.

Próbowała usiąść, jednak para asystentów siłą ułożyła ją w wannie, zanurzając w mrożonej brei - oczywiście z wyjątkiem głowy.

Na twarzy wysokiego, chudego doktora, który przedtem wydawał się współczuć Cheryl, nie malowały się teraz żadne uczucia z wyjątkiem determinacji. Przeszedł do łóżka Franza i uniósł prześcieradło, odkrywając szwy na szyi pacjenta - linię oddzielającą głowę mężczyzny od kobiecego ciała.

Ciało Moniki Bannan wciąż żyło - ale tylko z technicznego punktu widzenia. Jej skóra przybrała brudnoszary odcień martwej tkanki. Ciało kobiety, przymocowane grubymi ciemnymi szwami do męskiej głowy, umierało.

Wychudzony doktor zaczął przecinać szwy. Za chwilę miał przystąpić do operacji.

Rozpocznie ją, kiedy tylko usuną i zutylizują pozostałości po pierwszej, nieudanej próbie - bezgłowe ciało agentki FBI.

Mulder stapał po dziewiczym śniegu, oprószonym z wierzchu świeżo opadłymi płatkami.

Podążając tropem Rosjanina, dotarł wreszcie na polanę.

Przed sobą widział jakieś dziwaczne zabudowania. Za płotem z siatki, w brudnożółtym przyćmionym świetle zewnętrznych lamp, zasilanych z buczonego generatora, majaczył

niekształtny zarys jakiejś konstrukcji. Budynku? Zespołu mieszkalnego?

Mulder zobaczył cztery, stojące obok siebie, podniszczone przyczepy kempingowe, do których dobudowano prowizoryczną konstrukcję ze sklejki. Z dala od cywilizacji, ale nie opuszczone...

Zgięty w pół, z łyżką do opon w pogotowiu, podszedł bliżej.

Grube chirurgiczne okulary groteskowo powiększały oczy wysokiego chuderlawego lekarza, który oddał się bez reszty swojej pracy.

Wymierzył ostrze skalpela w szyję Franza Tomczeszyna. Poprosił asystentkę o narzędzie.

Podawała mu szczypce. Zszyta arteria, nad którą pracował, odbijała się w okularach.

Janke Dacyszyn, w fartuchu i czepku, przypominał kolejnego asystenta. Tak naprawdę jednak tylko pętał się pod nogami i przeszkadzał.

Teraz nachylił się nad leżącym na szpitalnym łóżku Franzem.

- Będziesz żył, Franz - wyszeptał z naciskiem po rosyjsku. - Będziesz znów mieć piękne, silne ciało... ciało, o jakim zawsze marzyłeś.

Franz próbował odpowiedzieć coś słabym głosem, ale szczupły lekarz warknął coś do nich po rosyjsku. Muskularny Janke wycofał się pokornie niczym złajany chłopiec. Jakby na pociechę, przeniósł swój wzrok na wannę, pełną topniejącego lodu, w którym zanurzono rozebraną do naga, znieczuloną Cheryl Cunningham. Podziwiał to „piękne, silne ciało”, o którym wspominał.

Teraz nadeszła pora na przygotowanie Cheryl. Asystent wymalował jodyną żółtą obwódkę wokół jej szyi, zaznaczając miejsce cięcia, w którym głowa zostanie oddzielona od ciała.

Mulder wspiął się na płot. Płaszcz i rękawice chroniły go przed drutem kolczastym.

Względnie cicho wylądował na śniegu po drugiej stronie na podwórzu zaimprovizowanego ośrodka. Nisko pochylony przemknął w kierunku przyczep, stojących pośrodku ogrodzonego terenu. Naraz jego uwagę przyciągnął jakiś ruch za plecami. Odwrócił się w samą porę, by ujrzeć ciemną sylwetkę psa.

Zwierzę zawarczało. Zawtórował mu inny pies. Najwyraźniej znajdował się gdzieś w pobliżu, jednak Mulder widział tylko jedno zwierzę. Już miał zamiar zawrócić do płotu, gdy kreatura rzuciła się na niego. Przypominała bardziej rozmyty kształt niż cokolwiek prawdziwego, jednak zajadły warkot w stereo był aż nadto realny. Ale gdzie był ten drugi pies?

Mulder przygotował się na atak. Biegnące nisko przy ziemi zwierzę wpadło na niego z pełną szybkością i oderwało się od ziemi, celując w gardło. Wskoczywszy w górę, pies znalazł

się w kręgu żółtawego światła. W jego blasku Mulder zobaczył nie jedną, a dwie głowy kreatury.

Dwie plujące śliną i kłapiące zębiskami paszcze na jednym psim ciele.

W sali operacyjnej szczupły lekarz wbijał wzrok w skalpel przy szyi Franza Tomczeszyna.

Nagle usłyszał szczekanie psów. Dobiegało z zewnątrz, jednak natychmiast odpowiedziały mu hałaśliwe zwierzęta w przylegającej do pomieszczenia psiarni. Doktor krzyknął coś po rosyjsku.

Dwoje asystentów natychmiast znalazło się u jego boku.

Wówczas lekarz zwrócił się do Janke Dacyszyna.

- Spodziewasz się, że dokonam cudu w tym domu wariatów?! - warknął po rosyjsku. -

Zrób coś z tym!

Janke szybko opuścił salę operacyjną. Odsunął plastikową zasłonę i przeszedł do psiarni.

Chuderlawy lekarz zbliżył się tymczasem do plastikowej wanny, gdzie czekała na niego Cheryl Cunningham. Jej bezwładne ciało niemal zniknęło pod warstwą lodowej brei, jednak żółta kreska z jodyny doskonale odznaczała się na jej szyi.

Doktor przyłożył do niej skalpel.

Tymczasem Janke wyszedł na zewnątrz. Rozglądał się uważnie po ogrodzonym płotem podwórku, skąpanym w żółtej poświacie nocy. Szukał źródła hałasu. Wciąż ubrany w szpitalny fartuch i czepek Rosjanin, nie usłyszał ani nie dostrzegł niczego godnego uwagi. Wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na jakimś brązowym kształcie pod płotem.

Podszedł do tego czegoś, by odkryć, że to ten sam brązowy płaszcz, który nosił agent FBI!

Z bliska widać było, że okrycie jest rozdarte, właściwie rozszarpane. Janke domyślił się, że jedno ze zwierząt dorwało intruza.

Domysł ten potwierdził rozciągnięty na śniegu kształt, który z kolei okazał się zakrwawionym ciężko rannym psem. Zwierzek był dosłownie na wpół martwy. Jedna głowa dyszała jeszcze ciężko. Czaszka drugiej została rozłupana.

Rosjanin dostrzegł krwawy ślad wiodący od pokonanej bestii. Ślady stóp dobrze odznaczały się w śniegu. Wiodły w kierunku ośrodka. Janke podążył tropem intruza wokół

przyczep, gdzie znikły z oczu na błotnistej ścieżce.

Ani śladu nieproszonego gościa na całym ogrodzonym terenie. Ale Janke w końcu go znajdzie.

Znajdzie i dokończy robotę dwugłowego potwora.

**15**

## **Gdzieś w Wirginii**

**12 stycznia**

Pomoc drogowa wyciągała właśnie poobijanego białego taurusa z koryta strumienia, kiedy wiejską drogą nadjechał czarny ford expedition.

Kierowca ostro zahamował, zatrzymując wóz za radiowozem, którego kogut rzucał na przemian czerwone i niebieskie rozbłyski na hałdy śniegu, które dzięki temu przypominały lody owocowe. Mimo to cała scena sprawiała ponure wrażenie.

Dana Scully szybko opuściła miejsce dla pasażera. Brązowy kaszmirowy płaszcz łopotał na zimowym wietrze. Podeszła do niedorzecznie młodego, umundurowanego policjanta.

- Jestem Dana Scully - przedstawiła się. - To mój samochód - dodała, pokazując głową wyciągany pojazd.

- Jasna sprawa - odparł mundurowy. - Mam tu pani dane. Rozmawiałem z jakąś szychą z FBI. Gość dzwonił aż z Waszyngtonu.

- Z Walterem Skinnerem - uzupełniła Scully, znów kiwając głową.

Glina popatrzył na wysokiego mężczyznę za plecami Scully. Postać w ciemnym płaszczu wysiadała właśnie z terenówki po stronie kierowcy.

- To właśnie on - wyjaśniła Scully.

Dzięki rozmowie, jaką Skinner odbył wcześniej, wiedziała już, że rozbity pojazd jest pusty. Mimo to zadała pytanie.

- Wiecie coś o kierowcy?

W odpowiedzi policjant uniósł coś w prawej ręce. Był to telefon komórkowy Muldera, Głośnik upstrzony był jakąś czerwono-czarną substancją.

- Znaleźliśmy to w zaspie - wyjaśnił. - Chyba kierowca rozmawiał przez komórkę, w momencie wypadku i z jakiegoś powodu miał opuszczone okno.

Scully ujęła telefon w dłoń. Mina gliniarza świadczyła o tym, że powinien zaprotestować, ale powstrzymuje się, żeby tego nie zrobić.

Scully odwróciła się i spotkała Skinnera w połowie drogi.

- Policjant to znalazł - oznajmiła, cała roztrzęsiona. - Jest na nim krew.

Zastępca dyrektora FBI, Walter Skinner, był iście majestatyczną figurą. Miał niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu i górował nad drobną eksagentką. Łysy, w okularach sprawiał wrażenie wykładowcy akademickiego - ale o budowie atlety. Roztaczał wokół siebie zwodniczą atmosferę spokoju i opanowania, ale potrafił okazywać emocje. Dla Scully i Muldera ten człowiek był kimś znacznie więcej niż tylko szefem.

Co więcej, potrafił wkroczyć do akcji, jakby miał o połowę mniej niż pięćdziesiąt kilka lat.

Fakt, że odkrycie zakrwawionego telefonu zaniepokoiło Scully, nie umknął uwadze Skinnera.

- Tylko spokojnie - odezwał się do niej. - Zastanów się przez chwilę.

Miał rację, ale Scully nie potrafiła zachować spokoju. Mój Boże, weź się w garść! -

powiedziała sobie.

Skinner delikatnie położył ręce na jej ramionach.

- Słuchaj, nic mu nie jest. Musiał wyjść z tego cało. Przyjrzyj się temu miejscu okiem śledczego.

Przełknęła ślinę i skinęła głową. Odwróciła się, by przyjrzeć się wrakowi, wyciąganemu ostrożnie i umiejętnie przez Murzynkę za kierownicą półciężarówki.

Zamyślony Skinner wolnym krokiem podszedł bliżej. Scully dołączyła do niego, by posłuchać, co ma

do powiedzenia.

- Jakoś się stamtąd wydostał, a potem zapewne wspiał się na górę...

- Brzmi rozsądnie - przyznała, już nieco spokojniej. - Ale dokąd poszedł?

- Cienkie wargi Skinnera wykrzywiły się ni to w uśmiechu, ni to w grymasie niezadowolenia. Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Tak jak Scully.

## **Ośrodek**

### **Gdzieś w Wirginii**

#### **12 stycznia**

Gdy Dana Scully i Walter Skinner zastanawiali się, gdzie u diabła podziwia się Fox Mulder, Janke Dacyszyn głowił się nad tą samą kwestią, okrążając błotnistą ścieżką przyczepy kempingowe. Oczywiście imię i nazwisko Foksa Muldera nic dla niego nie znaczyły.

Zidentyfikował mężczyznę jako agenta FBI. Zakładał, że to właśnie on, posługując się jakiegoś rodzaju bronią, rozłupał jeden z łbów martwego już dwugłowego psa.

Kontynuując poszukiwania, Rosjanin przeszedł obok drzwiczek dla psów, nieświadomy że znalazł się dwa kroki od celu. Mulder wczołgał się do ciemnego tunelu. Otwór przeznaczony był co prawda dla psów, zmieścił jednak, choć z trudem, zakrwawionego, wyziębionego i wycieńczonego byłego agenta FBI.

Mulder przeczołgał się przez tunel, żeby trafić do ciasnej psiarni, gdzie pochrapywało sobie całe stadko zwyczajnych jednogłowych czworonogów. Nie chcąc ich budzić, a tym samym zdradzić swojej obecności, po cichu się podniósł i rozejrzał dokoła.

Jego uwagę natychmiast przyciągnęła plastikowa zasłona, oddzielająca psiarnię od przylegającego do niej jasno oświetlonego pomieszczenia, gdzie poruszały się cienie i skąd dobiegały wypowiedane po rosyjsku słowa. Mulder rozpoznał język. Co z tego, skoro i tak go nie rozumiał. Mimo wszystko wyczuł, co jest grane. Jedna z widmowych postaci za plastikową kurtyną wydawała rozkazy, pozostałe skrupulatnie je wykonywały.

Tyle pojął bez trudu.

Potem dostrzegł większą klatkę - drewnianą skrzynię z wywierconymi otworami, zapewniającymi dostęp powietrza. Drzwi były otwarte na oścież, a wewnątrz, na sklejkowej podłodze, leżał zwinięty koc.

Było więcej niż oczywiste, że ta klatka nie była przeznaczona dla psów, lecz dla człowieka. Mulder wiedział, że cokolwiek ma miejsce za tą kurtyną, trzeba to natychmiast przerwać.

Zakrwawiony, ubłocony, w samej koszulce i dżinsach były agent przeszedł przez zasłonę, unosząc złowieszczo łyżkę do opon.

Nie zdążył jeszcze dobrze ogarnąć wzrokiem dziwacznej sali operacyjnej, a już przemówił

- głosem zachrypłym, ale pełnym mocy.

- Cokolwiek robicie, macie natychmiast przestać! Cofnąć się pod ścianę!

Unosząc łyżkę do opon w okrwawionej ręce, postąpił krok do przodu, by pokazać, że nie żartuje. Przed sobą ujrzał wysokiego, na oko starszawego mężczyznę, wyglądającego na lekarza -

w lekarskim kitlu, czepku i masce chirurgicznej - oraz dwoje asystentów, również w maskach, znad których spoglądały na Muldera szeroko rozwarte ze zdumienia oczy.

Cała trójka zaczęła cofać się przed nim ze strachu. Wysoki lekarz krzychał na niego po rosyjsku.

- Zamknij się! - Mulder nie wytrzymał.

Jednak doktorowi nie zamykały się usta. Wciąż wrzeszczał, wyrzucając z siebie dziwaczne rosyjskie słowa. Mulder z przerażeniem spostrzegł dwoje pacjentów tego

„uzdrowiciela”.

Na stole operacyjnym spoczywała pozbawiona ciała głowa, mężczyzny. Ściślej rzecz ujmując - Franza Tomczeszyna, który działalność gospodarczą polegającą na handlu organami do przeszczepów doprowadził do straszliwego, choć na swój sposób logicznego ekstremum.

Plastikowe rurki łączyły głowę mężczyzny z szyją nagiej kobiety, która niemal bez przytomności pływała w wielkiej plastikowej wannie pełnej wodnistej szarej brei. Płynęła przez nie krew. Cheryl Cunningham utrzymywała przy życiu pozbawioną ciała głowę Franza Tomczeszyna.

Doktor wciąż krzychał po rosyjsku.

- Stul pysk! - warknął Mulder, potrząsając łyżką do opon. - Niech to szlag, zamknij się, mówię! Znasz angielski? - Jego spojrzenie padło na asystentów. - Ktoś tu mówi po angielsku?

Doktor nieco się uspokoił, jednak wciąż wyrzucał z siebie potoki niezrozumiałych dla Muldera słów. Para asystentów patrzyła tylko tępo.

- Słuchajcie - ciągnął Mulder mimo braku reakcji z ich strony - chcę ją stąd zabrać. Macie wyjąć z niej te rurki i ją zaszyć. Tylko porządnie. Ale już!

Asystenci zdawali się nie rozumieć, a chudzielec wciąż nadawał coś po rosyjsku. Istny koszmar. Osłabiony i obolały Mulder nie miał zielonego pojęcia, co zrobić.

Doktor naraz przestał gadać i zaczął przesuwać się w kierunku pacjentów, połączonych życiodajnymi

plastikowymi rurkami. Czyżby staruszek jednak znał angielski?

Mulder uniósł łyżkę do opon i podszedł bliżej.

- Zrobisz, co mówię? - spytał.

Dwoje asystentów wycofało się pod ściany jasno oświetlonej sali operacyjnej. Tymczasem doktor znów zaczął mówić coś po rosyjsku.

Tym razem nie krzyczał, raczej tłumaczył coś rzeczowym tonem, gestykulując w kierunku dwojga pacjentów.

- Nie rozumiem - odezwał się Mulder. - Nie mam pojęcia, co do mnie mówisz...

Starając się mimo to pojąć sens tej całej sceny z piekła rodem, nie zauważył

wyrastającego za jego plecami cienia. Postać w bieli zjawiała się za plastikową zasłoną. Wkrótce potem wystrzeliły zza niej ramiona, a dłonie zacisnęły się na szyi Muldera, dławiąc go i dusząc.

Mulder okręcił się i stanął czoła napastnikowi, w którym rozpoznał Janke Dacyszyna. Nie potrafił wysliznąć się z żelaznego uścisku Rosjanina. Nie widział też, jak wysoki chudy doktor bierze coś z tacy na instrumenty chirurgiczne. Lekarz wrócił ze strzykawką w rękę, po czym jednym ruchem wbił ją w ramię byłego agenta.

Mulder poczuł, jak opuszczają go siły. Ciemność nadciągnęła tak szybko, że przegapił moment, gdy stracił przytomność.

## **Gdzieś w Wirginii**

### **12 stycznia**

Zastępca dyrektora FBI, Walter Skinner, siedział za kierownicą forda expedition, przemierzając zadupie między zapadłymi wiochami. Jediną jasną stroną sytuacji był fakt, że w końcu przestał padać śnieg. Zajmująca miejsce dla pasażera Dana Scully wyglądała w zamyśleniu na przemykający za oknem ośnieżony krajobraz.

Choć sam się zamartwiał, Skinner robił co w jego mocy, by ją uspokoić:

- Znajdziemy go - zapewniał.

Skinienie głową było niemal niezauważalne.

- Znam Muldera - ciągnął Skinner. - Najpierw dotrze do telefonu i zadzwoni. Nie powędrowałby w nieznane. Nie zrobiłby niczego szalonego.

Popatrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: „Jaja sobie robisz?”



Skinner przełknął ślinę. Wzruszył ramionami.

- Niczego nazbyt szalonego - poprawił się.

Scully odwróciła się do okna. Były przełożony wciąż na nią spoglądał. Widział, jak prostuje się na siedzeniu. Przejeżdżali właśnie skrzyżowanie z zaniedbaną drogą. Ani Skinner, ani Scully nie zdawali sobie sprawy, że to przecinka, w którą niedawno wjechał pług i za którym wkrótce potem na piechotę podążył Fox Mulder. Świeży śnieg ukrył pod białą kołderką ślady odśnieżania i ludzkich stóp.

Skinner nie wiedział, co przykuło uwagę Scully, Cokolwiek to było, już minęło. Była agentka z powrotem opadła na fotel. Przez kilka sekund podróżowali w milczeniu. Naraz odwróciła się gwałtownie do Skinnera.

- Zatrzymaj się, proszę - wyrzuciła z siebie. - Zatrzymaj się tutaj.

Nacisnął hamulec.

- O co chodzi, Dana? - spytał.

Ale ona już wysiadała z samochodu. Kiedy do niej dołączył, spostrzegł, że przygląda się rzędomi dwudziestu skrzynek pocztowych - zwykły widok przy wiejskiej drodze.

- O co chodzi? - powtórzył.

Przeszła wzdłuż skrzynek, najwyraźniej w poszukiwaniu czegoś konkretnego. Może nazwiska? - zastanawiał się Skinner.

Zatrzymała się przy jednej ze skrzynek. Z adresu odpadła cyfra.

Pozostało **25 2**".

Dana wpatrywała się w skrzynkę jak urzeczona.

- Dana?

- Biblia.

- Że co proszę?

- Biblia. Księga Przysłów, rozdział dwudziesty piąty, werset drugi - Pokręciła głową, zszokowana i pełna nadziei. - To nie do wiary...

Otworzyła drzwiczki i zaczęła wyciągać pocztę ze skrzynki. W większości były to ulotki reklamowe. Skinner nie miał pojęcia, co kombinowała, ale z pewnością coś jej chodziło po głowie.

- „Chwałą Bożą jest rzeczy strzec w tajemnicy” - cytowała „A chwałą królów te rzeczy roztrząsać” ...

Mam!

Skinner zajrzał jej przez ramię. Trzymała w dłoni zaadresowany list.

- Faktura za artykuły medyczne - wyjaśniła. - Zaadresowana do doktora Uroffa-Koltoffa.

To musi być on.

- Kto taki?

- Lekarz, który zajmował się tymi rosyjskimi przeszczepami, o których opowiadałam. Ma adres na Nine Mile Road.

Jak na komendę oboje zaczęli rozglądać się po wiejskiej drodze. Były tu w ogóle jakieś tabliczki z nazwami?

Scully zmrużyła oczy. Jej oddech parował na mrozie.

- Gdzie do cholery jest Nine Mile Road? - Irytowała się.

Skinner wyjął swojego iPhone'a.

- Może to wygugłam - zasugerował.

- Jasne. Proszę wpisać „szalony naukowiec”. - Zmarszczyła czoło, odwracając się tyłem od byłego przełożonego. - Słyszał pan to? - spytała. - Proszę posłuchać!

Pracujący silnik samochodu skutecznie wszystko zagłuszał. Odeszła na bok, by lepiej słyszeć. Skinner poszedł za nią.

- Co takiego? - chciał wiedzieć.

- Psy - odparła.

Wtedy też to usłyszał - odległe, lecz wyraźne szczekanie.

Dlaczego, zastanawiał się, głosy ujadających czworonogów rozjaśniły twarz Dany Scully płomieniem nadziei?

**Ośrodek**

**Gdzieś w Wirginii**

**12 stycznia**

Fox Mulder nie słyszał już szczekających psów. Otumaniony narkotykiem, leżał

nieprzytomny na podłodze sali operacyjnej, podczas gdy chuderlawy doktor wydawał rozkazy

asystentom - na tyle głośno, by pobudzić psy, ale już nie tak gniewnie, jak wówczas, gdy mówił do intruza.

Teraz ów intruz nie stanowił już dla nich zmartwienia. Doktor i dwójka asystentów przechodzili nad nieruchomym ciałem, kontynuując swoje diabelskie dzieło. Ledwie zauważyli, jak Janke Dacyszyn chwyciła Muldera pod ramiona i wywlekała go spod ich stóp z powrotem do psiarni.

Chwilę później Rosjanin kopniakiem otworzył sobie drzwi przyczepy i wyszedł na mróz, ubrany tylko w lekarski kitel. Następnie wyciągnął Muldera z domu na kółkach na błotnistą ścieżkę. Tak samo jak wcześniej włożył po niej kolejne worki na śmieci z odrąbanymi kończynami, tak samo teraz ciągnął za sobą bezwładne, ciężkie ciało byłego agenta. Kiedy wywlekał go na ogrodzone siatką podwórko, stopy intruza złościły głębokie koleiny w świeżym śniegu.

Mniej więcej w połowie drogi z przyczepy do małej drewnianej szopy w rogu zabudowań Mulder zaczął dochodzić do siebie. Musiał walczyć o odzyskanie przytomności - bezradny wobec narkotyku, nie wspominając już o wlokącym go osiłku.

Wreszcie Rosjanin zaciągnął go przed szopę, przed którą stał pieńek do rąbania drewna.

Obok oparto siekiere. Przy ścianie budynku ułożono sąg drewna na opał, ale w błocie leżało coś jeszcze - bezgłowe, nagie ciało kobiety! Dopiero ten widok ostatecznie obudził byłego agenta.

Fox Mulder zrozumiał, że wreszcie znalazł Monicę Bannan. Leżała twarzą w dół... a raczej leżałaby, gdyby miała jeszcze twarz - obok pieńka do rąbania drewna, w towarzystwie siekiery. W chwilę później Mulder spoczął obok bezgłowego trupa. Były agent poczuł się równie bezradny, co Monica Bannan. Mógł tylko patrzeć, jak jego prześladowca przystaje na chwilę, żeby złapać oddech.

Potem podszedł bliżej. Mulder poczuł, jak żołądek zaciska mu się ze strachu, jednak Rosjanina bardziej interesowało bezgłowe ciało. Przyciągnął je w pobliże pieńka i położył na nim jedno z ramion. Najwyraźniej szykował się, by porąbać je na kawałki.

Rosjanin unosił siekiere, by rozpocząć makabryczną pracę, a wewnątrz przyczepy nadal trwała operacja. Proces, który się właśnie zaczynał, miał wiele wspólnego z pracami porządkowymi, jakim oddawał się właśnie Janke Dacyszyn.

Pozbawiona ciała głowa Franza Tomczeszyna mogła się wydawać kolejnym fragmentem ciała, przeznaczonym do utylizacji. Mogłaby, gdyby nie jeden szczegół. Jej oczy od czasu do czasu mrugały. Na swój sposób mężczyzna nadal żył - połączony z Cheryl Cunningham za pośrednictwem przetaczających krew rurek, wystających z rozcięcia na jej gardle.

To samo gardło stało się właśnie przedmiotem zainteresowania doktora Uroffa-Koltoffa, który zbliżył skalpel do nakreślonej jodyną linii, gotując się do odcięcia głowy kobiecie.

Na podwórku obok szopy Janke Dacyszyn sprawiał się lepiej niż chuderlawy doktor. Jego rzeźnicza robota przebiegła szybko i sprawnie. Mulder zmusił się, by wszystko obserwować, wciąż walcząc, by w pełni odzyskać i zachować przytomność. Może była jeszcze szansa, żeby nie skończył jak

Monica Bannan, której okrwawione członki leżały porozrzucane na ziemi wokół

pieńka.

Rosjanin odłożył siekiere, znów opierając ją o pieńek. Podeszedł do Muldera, który wciąż próbował zmusić do pracy mięśnie - nim przestaną pracować na zawsze. Były agent poczuł, jak drab układa go na pieńku - najwyraźniej chciał zacząć od głowy. Może Mulder zdoła się odtoczyć i umknąć, ale czy mógł uciec przed ciosem siekiery ścigającego go rzeźnika?

Rosjanin właśnie wznosił siekiere nad karkiem Muldera, kiedy w pobliżu odezwał się znajomy głos.

- Hej...!

Potem Mulder ujrzał coś, co musiało być wywołaną działaniem narkotyku halucynacją.

Widział, jak Scully wali kawałkiem drewna w głowę jego prześladowcy, nogi mężczyzny uginają się i pada nieprzytomny na ziemię, między odrąbane przez siebie kawałki ciała.

Czyżby umierał? Czy wszystko to było jedynie wytworem pozbawionego tlenu mózgu?

A może Scully naprawdę tu była, naprawdę trzymała jego głowę w swoich dłoniach, raz za razem wymawiając jego imię?

W środku, na sali operacyjnej, doktor Uroff-Koltoff ostrożnie naciął skórę na szyi Cheryl Cunningham - czysto i z wyczuciem znacząc skalpelem krąg - kiedy psy znów się rozszczękały.

Lekarz się zawahał. Uniósł wzrok... i ujrzał, jak na salę wpada łysy wielkolud. Przybysz wymierzył do niego z pistoletu, patrząc spod zmarszczonych brwi z absolutnym obrzydzeniem.

- Trzymać ręce tak, żebym je widział - rozkazał Skinner. - I to już!

Dwoje asystentów nie znało angielskiego, zaś doktor Uroff-Koltoff mógł go znać, ale wcale nie musiał - jednak cała trójka doskonale rozumiała znaczenie broni w rękach Skinnera.

Odsunęli się od szpitalnych łóżek.

Doktor Uroff-Koltoff mówił coś po rosyjsku, najwyraźniej próbując apelować do rozsądku kolejnego intruza, ale Skinner nie zwracał na niego uwagi. Oczy zastępcy szefa FBI rozszerzyły się, gdy ogarnął wzrokiem widok, jakiego długo nie zapomni - pozbawiona ciała głowa, połączona tłoczącymi krew rurkami z nagą kobietą w lodowej kąpieli, której życie właśnie ratował.

- Dobry Boże... - zdołał tylko wydusić.

Scully odchyliła plastikową zasłonę. Wszystkie lata, które przepracowała jako lekarz, i cały czas spędzony nad sprawami z Archiwum X nie przygotowały jej na tę groteskową scenę.

Przewyciężyła przerażenie i podeszła do szpitalnych łóżek.

- Mulder potrzebuje ciepłych ubrań i musi uzupełnić płyny - odezwała się do Skinnera. -

Zajmij się tym. Mam tu coś do zrobienia.

Skinner przykuł doktora Uroff-Koltoffa do jednej z maszyn i zostawił dwoje asystentów do pomocy Scully, która już przygotowywała się do zabiegu - myjąc ręce z typowym dla siebie spokojem.

Wkrótce potem Skinner wypadł przez drzwi przyczepy i pognął przez podwórko do drewnianej szopy. Szybko sprawdził, czy Rosjanin nadal jest nieprzytomny, skuł mu ręce na plecach, po czym zbliżył się do Muldera. Były agent leżał półprzytomny na ziemi w pobliżu szopy, między rozrzuconymi ludzkimi szczątkami, niegdyś będącymi agentką FBI.

- Mulder - odezwał się Skinner, klękając przy nim.

Zdejmował płaszcz, gdy Mulder dostrzegł go wreszcie przez narkotykową mgłę.

- Dziewczyna... w środku... potrzebuje pomocy... - zdołał z siebie wydusić.

- Jest z nią Scully - uspokoił go Skinner, narzucając płaszcz na ramiona Muldera. -

Pacjentka jest w dobrych rękach.

Były agent wpatrywał się w swojego ekszszefa, próbując się upewnić, że wzrok go nie zawodzi... że nie ma halucynacji.

- Skinner?

Zastępca dyrektora FBI pozwolił sobie na uśmiech.

- Cieszę się, że cię widzę żywego.

- Zimno mi, ty łysy przystojniaku - wykrztusił Mulder.

A Walter Skinner, nie zważając na wiatr, objął go mocno.

16

## **Gdzieś w Wirginii**

**13 stycznia**

Nagłówek w gazecie przypominał Foksowi Mulderowi tytuły, jakie można zobaczyć w wystawionych w supermarkecie tabloidach. Ten jednak ukazał się w jednej z głównych waszyngtońskich gazet, zaś historię dostarczyła agencja Associated Press.

„FBI aresztuje współczesnego doktora Frankenstein", głosił ów nagłówek. Towarzyszące mu zdjęcie było dla Muldera szczególnie satysfakcjonujące. Agent Drummy - którego zastępca dyrektora

FBI, Skinner, wezwał na miejsce wraz z innymi agentami pracującymi nad sprawą zaginięcia Moniki Bannan - stał obok psiej klatki, którą ładowano na ciężarówkę. W klatce umieszczono na czas transportu doktora Uroffa-Koltoffa, którego wychudzona facjata gapiła się ponuro zza drucianej siatki.

Mulder siedział w swetrze i džinsach przy biurku w swoim domowym biurze i znów wycinał z gazet relacje z dziwnych wydarzeń. Tyle że ta akurat dotyczyła dziwnego wydarzenia, w którym sam brał udział. Wypadki ostatnich dwudziestu czterech godzin wydawały się teraz odległe. Jedyne siniaki i otarcia na twarzy świadczyły, że przydarzyło mu się coś niezwykłego.

- Mulder...

Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach ukochaną kobietę - zjawiskową piękność w brązowym swetrze i spódnicy.

- Co jest, doktorku? - spytał z ostrożną wesołością. Wiele przeszli przez tych kilka dni.

Wkroczyła do jego zagraconego królestwa, obejmując się ramionami, jakby wciąż było jej zimno, choć w domu panowało gorąco.

- Ojciec Joe nie żyje - oznajmiła cicho.

Siedział przez chwilę w szoku, aż skinęła głową, podkreślając prawdziwość swoich słów.

- Był bez wątpienia bardzo chorym człowiekiem - dodała dość dwuznacznie.

Mulder upuścił nożyczki na blat, ale historia „doktora Frankenstein” była już niemal wycięta. Oderwał ostatni kawałek.

- Czytałaś? - zagadnął, potrząsając wycinkiem. - Oficjalny komunikat FBI głosi, że upadły ksiądz Joseph Crissman był ich współnikiem... Nie ma ani słowa o konsultacjach w sprawie, nic o telepatycznej więzi...

Uniosła brwi.

- On nie żyje, Mulder. Odszedł. Równie dobrze mógł być współnikiem. Nigdy nie poznamy prawdy.

- Ale ja ją znam, Scully - oświadczył, podchodząc do niej. - Ty zresztą też.

- Nie znam.

- Naprawdę? Cóż, potrafię tego dowieść, zmarł na raka szpiku kostnego, prawda? Tak samo, jak ten facet, któremu nasz doktor Frankenstein szykował nowe ciało.

- Mulder...

- A kiedy to wyciągnęłaś rurki z szyi Cheryl Cunningham? O której odcięłaś dopływ krwi do głowy

Franza Tomczeszyna?

Przechyliła głowę. Zmęczony wyraz jej twarzy świadczył, iż dokładnie wiedziała, do czego zmierzał.

- Wtedy właśnie zmarł ojciec Joe, Scully. Zdobądź mi akt zgonu, a pokażę ci to czarno na białym. A potem wezmę go i wsadzę... wsadzę do skrzynki i wyślę do FBI.

Jej uśmiech był zbyt smutny, zbyt wymęczony, by być czymś więcej niż tylko cieniem prawdziwego uśmiechu.

- Naprawdę sądzisz, że chcą z tobą gadać? Skinner by chciał, ale go przegłosują, nie sądzisz?

Mulder miał zamiar coś odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma żadnej odpowiedzi. Scully miała rację.

Dotknęła jego rękawa.

- Odpuść sobie, Mulder.

Pokręcił głową.

- To niesprawiedliwe, jak się uwłacza jego pamięci. To ojciec Joe uratował tę kobietę.

Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Tym razem uniosła tylko jedną brew.

- Uwłacza jego pamięci? A jakaż to była pamięć? Pamiętasz zbrodnie, jakich się dopuścił wobec tych chłopców? Kogo obchodzi, co zrobił potem?

- Mnie. Myślę, że ciebie też.

Zmarszczyła brwi.

- Scully, to dzięki ojcu Joemu Cheryl Cunningham wciąż żyje.

- Mulder... to dzięki tobie ta kobieta ciągle żyje - zaproponowała. - I chyba także dzięki mnie - dodała, wzruszając ramionami. - I dzięki Skinnerowi. Bez względu na to, co sądzisz o ojcu Joem, to my byliśmy zespołem ratunkowym.

Przyglądał się jej twarzy.

- Powiedziałaś, że też mu uwierzyłaś - podjął.

Westchnęła, po czym odpowiedziała, starannie ważąc słowa.

- Chciałam wierzyć. I owszem, masz rację, rzeczywiście mu uwierzyłam. I postąpiłam tak, jak mi ta

wiara nakazywała.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatniej doby zaczęli tę dyskusję. W tym miejscu zawsze się urywała.

Mimo wszystko spróbował jeszcze raz.

- Dlaczego mi nie zdradzisz, co ci powiedział ojciec Joe?

Scully znów westchnęła. Przewróciła oczami. Wreszcie niechętnie odparła:

- Powiedział: „Nie poddawaj się”.

Mulder nie wiedział, co na to rzec. Od razu zrozumiał, że były ksiądz nie miał na myśli jedynie sprawy Moniki Bannan, ale też pacjenta Scully, małego Fearona.

Wiedział dokładnie, przed jakim dylematem stała.

- No i się nie poddałam. I tak, uratowałam ci życie. - Przełknęła ślinę. - Ale jednocześnie przeze mnie ten chłopiec przechodzi przez piekło. Na dziś rano zaplanowano kolejną operację po tym, jak porozmawiałam z jego rodzicami... a wiesz, dlaczego? Ponieważ wierzyłam, że tak każe mi Bóg.

Mulder nie odpowiedział. Widział, że czuje się winna.

- Wierzyłam, że Bóg do mnie przemawia - ciągnęła - ustami księdza-pedofila...

wyobrażasz to sobie? Ustami człowieka, który naruszył najświętsze boskie przykazania.

Znów przewróciła oczami, kręcąc głową, jakby nie mogła uwierzyć we własną naiwność.

- Ale czy to się nie układa w spójną całość? - mówiąc to, położył dłoń na jej ramieniu. -

Jeśli ojciec Joe szukał odkupienia, czy mógł zasłużyć sobie na nie bardziej, niż pomagając ocalić życie Christiana? A co, jeśli Bóg wybaczył ojcu Joemu? Co, jeśli jego modlitwy zostały w końcu wysłuchane?

Scully uniosła na niego wzrok, porzucając irytację i zanurzając się w pasji Muldera.

- Dlaczego miałoby się tak stać? - zaoponowała. - Tyle modlitw pozostaje bez odpowiedzi... Dlaczego Bóg miałby wybrać takiego grzesznika, jak ojciec Joe?

Wzruszył na to ramionami, - Może dlatego... że on się poddał?

- Jasne - wypuściła powietrze. Na jej twarzy pojawił się tak dobrze mu znany powątpiewający uśmiezek. - Spróbuj to udowodnić, Mulder.

Nawet po tym, co widział przez te wszystkie lata, Mulder nadal nie sądził, by było to możliwe. Miała



rację.

- Tak czy siak - westchnęła - czas na mnie. Zbieram się do szpitala.

Wkrótce potem, w płaszczu i grubych butach, z neseserem w dłoni, zmierzała ku wypożyczonemu sedanowi. Śniegu wprawdzie nie ubyło, za to wreszcie wyszło słońce. Ubrany tylko w sweter i dżinsy Mulder obserwował ją z ganku.

- Scully! - zawołał, kiedy miała już wsiąść do samochodu.

Odwróciła się.

- Dlaczego to powiedział? - rzucił Mulder, schodząc z ganku i podchodząc do niej.

Oddech mu parował. - Żebyś się nie poddawała? Dlaczego miałby to mówić właśnie tobie, skoro okazywałaś mu taką pogardę?

- Z pewnością chodziło o ciebie, Mulder. Żeby nie ustawać w próbach ocalenia tej kobiety.

- Ale on nie powiedział tego mnie, a przecież miał mnóstwo okazji. Powiedział to tobie.

Dlaczego tobie, Scully?

Pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Uśmiechnął się przebiegle.

- Jeśli ojciec Joe był diabłem wcielonym, to dlaczego powiedział coś wręcz przeciwnego do tego, co powiedziałby diabeł? Diabeł wysłałby cię w ślepią uliczkę, a nie tam, gdzie można było uratować tę biedną kobietę.

To jej dało do myślenia. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej...

- Może to właśnie jest odpowiedź - naciskał Mulder. - Może to właśnie chce nam powiedzieć Bóg. Nie tylko mnie ani temu chłopcu. Ani nawet nie tylko tobie, Scully. Nam wszystkim.

- Co takiego?

- Nie poddawaj się.

Mocne. Usłyszeć słowa ojca Joego z ust Muldera. Widział, że niemal ją to zabolalo.

Widział też jednak - jak wiele razy wcześniej - że włącza się jej racjonalny umysł, uciszając emocje.

- Proszę, Mulder - odezwała się, niemal nie mogąc na niego spojrzeć. - I bez tego jest mi trudno.

- Wiem.

Objął ją i przytulił.

- Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, Scully - wyszeptał - nie rób tego. Odwołaj dzisiejszą operację.

Spojrzała na niego. Z jej twarzy wyczytał cierpienie, jakim okupiła swoją decyzję. Nie unikała jednak jego wzroku. Patrzyła wprost na niego - z miłością, ufnością... a nawet z nadzieją.

- Tak czy siak - powiedział - wyjedźmy stąd.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, nie wiedząc, czy się nie przesłyszała.

- Dokąd?

- Wyobraź sobie wyspę z białymi plażami. Błękitny bezkres oceanu. Ty w kostiumie kąpielowym i...

- Ty w czerwonych kąpielówkach?

- Może jeszcze mam w sobie trochę pary. Tylko my dwoje w małej łódce, a wokoło cały ten błękit i piasek. Spieczemy się na skwarki, kiedy wreszcie wyjdziemy z zimna i ciemności na słońce. Oddalimy się od tej ciemności tak daleko, jak to tylko możliwe.

Uśmiechnęła się, ale był w tym uśmiechu cień smutku.

- Nie sądzę, byś mógł uciec ciemności, Mulder - zaproponowała. - Myślę, że ona cię znajdzie.

- Masz rację - przytaknął. Potem jednak się uśmiechnął. - Ale przynajmniej spróbujmy.

Po czym ją pocałował.

Wzięła się w garść. Dotknęła jego twarzy, a on wypuścił ją z objęć i popatrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

Nie poddawaj się, pomyślał. Nie poddawaj się.

## **Szpital Matki Boskiej Bolesnej**

### **Richmond, Wirginia**

#### **13 stycznia**

Dana Scully, w pełnym rynsztunku chirurga, studiowała uważnie kartę choroby, idąc szpitalnym korytarzem. Uniosła wzrok i ujrzała ojca Ybarre. Stał na końcu korytarza i rozmawiał

z rodzicami Christiana. Mogła się tylko domyślać, że administrator po raz ostatni próbuje odwieść

Fearonów od zgody na jej plan działania po tym, ile czasu i wysiłków kosztowało ją, by ich przekonać.

Ojciec Ybarra nie spoglądał na nią przychylnie. Prawdę powiedziawszy, Fearonowie też nie. Wydawało się, iż oczekują, że zatrzyma się, by porozmawiać, ale czas na pogaduszki się skończył. Scully nawet nie zwolniła.

- Pani Fearon, panie Fearon, ojcze... - powiedziała tylko, mijając ich.

Odpowiedzieli ukłonami. Jeśli nawet którekolwiek z nich miało wątpliwości, nie zdecydowali się ich wyrazić.

Scully zatrzymała się w drzwiach sali operacyjnej.

- Przepraszam państwa - rzekła do nich uprzejmie, po czym weszła do środka.

W sali operacyjnej wrzało jak w ulu. Pielęgniarki przygotowywały pomieszczenie - i samego Christiana - do operacji. Ogoloną głowę chłopca umieszczono na odrażającym wyciągu chirurgicznym.

Oczy chłopca napotkały spojrzenie Scully, kiedy tylko weszła do sali. Natychmiast przystanęła. Przez chwilę przyglądała się, jak anestezjolog zaczyna szykować chłopca do operacji, po czym odwróciła się do umywalki. Znow ogarnął ją strach, tak jak wcześniej, kiedy Christian przechodził pierwszy zabieg. Teraz ryzyko wzrastało. Stawka była jeszcze wyższa.

Nie potrafiła spojrzeć w oczy ludziom ze swojego zespołu, którzy czekali już w pogotowiu. Włożyła lateksowe rękawiczki i podeszła do stołu operacyjnego. Jej oczy znow napotkały wzrok Christiana.

Chłopiec z głową na tym koszmarnym wyciągu wyglądał na wyjątkowo kruchego i niewinnego. Jednak jego oczy wpatrywały się w nią z intensywnością dojrzałego człowieka.

Nieustraszenie.

Patrząc na niego jak zahipnotyzowana, nie zauważyła, jak zespół wymienia ukradkowe, nerwowe spojrzenia.

- Czy możemy zaczynać, doktor Scully? - spytała pielęgniarka z wahaniem.

Nie poddawaj się, powiedział głos w jej głowie.

Nie mówił tego jednak ojciec Joe, tylko Mulder. To był głos Muldera.

W jej umyśle pojawił się obraz opalanej pary w łódce, leniwie kołyszącej się na błękitnych falach pod słonecznym niebem przy plaży z bielutkim piaskiem. Prawie się uśmiechnęła na tę myśl.

Wreszcie spojrzała chłopcu w oczy, równie śmiało jak on wpatrywał się w nią.

- Tak - oznajmiła zespołowi. - Zaczynamy.



# Table of Contents

...

ona2.

P3

oe4".

IS5.

dobraq6.

gnol7.

s8.

ć9.

???